

Ciąg dalszy bestsellera *Love me Never*

Forget me Always

SARA WOLF


AMBER

*Forget me
Always*

SARA WOLF

Przekład
JULIA WOLIN



Korekta
Barbara Cywińska
Alicja Jedynak

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Dima Aslanian/Shutterstock

Tytuł oryginału
Forget Me Always

Copyright © 2016 by Sara Wolf.
First published in the United States under the title FORGET ME
ALWAYS by Entangled Publishing.
This translation published by arrangement with Entangled
Publishing, LLC through RightsMix.
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6456-1

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dla A.

Śmierć naprawdę jest dopiero początkiem, słowo.

Rozdział 1

Wszystko w porządku, proszę pana?

Podnoszę głowę. Boy hotelowy uśmiecha się pogodnie. Nie ma pojęcia, kim jestem ani przez co przeszedłem, a jednak ma czelność się uśmiechać. Minęło dziewiętnaście dni, odkąd Isis Blake o mnie zapomniała, a on śmie pytać, czy wszystko w porządku.

Zapalam kolejnego papierosa.

– Zejdź mi z oczu.

Mina mu rzednie i wycofuje się.

– J-jasne. Miłego wieczoru.

Parskam i opieram się o kolumnę przed pełnym marmurów wejściem do Hiltona. Obserwuję, jak nedorzecznie wypasione czarne auta podjeżdżają i odjeżdżają, wysadzając równie nedorzecznie nadętych starych i bogatych ludzi. Boye i konsjerże przemykają to tu, to tam, wzywają taksówki i wydają polecenia pokojowym. Obrotowe szklane drzwi ze złotymi elementami nieustannie się kręcą, a ich szum jest tłem dla bezmyślnej paplaniny. Kobiety chichoczą piskliwie, mężczyźni rubasznie rechoczą – nieświadomi niczego, zadowoleni idioci. Po ich ubraniach i postawie widzę, jaka jest prawda: pięciu zdradza żony. Dwóch ze znacznie młodszymi kobietami, jeden z prostytutkami. Niezbyt subtelnie klepie w pupę mijającą go blondynkę w dwurzędowym płaszczu. Blondynka z

wystudiowanym uśmiechem ukrywa grymas. Kiedy mnie dostrzega, podchodzi, stukając obcasami, i uśmiecha się o wiele radośniej.

– Jaden! Boże! Milion lat cię nie widziałam.

– Tylko trzy miesiące – poprawiam ją. „Jaden” to pseudonim, jakiego używam w pracy. Nikt w branży nie zna mojego prawdziwego imienia.

– Trzy czy milion, co za różnica. – Śmieje się. Otacza ją chmura perfum, mocnych, drogich. Takich, które się kupuje, żeby zamaskować wszechogarniającą woń seksu.

– Już po pracy? – pytam i wskazuję głową na wciąż lubieżnie się w nią wpatrującego mężczyznę. Niczego nieświadoma żona trzyma go pod ramię.

Lily wzdycha.

– Tak, na dzisiaj. Wracam do domu. A ty?

– Córka burmistrza. – Pokazuję na smoking, w który się ubrałem. – Bal zimowy.

– Na pewno będziesz najseksowniejszym facetem na sali.

– To katolicka szkoła żeńska.

– Czyli także najseksowniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek miała.

Lily jest tylko o kilka lat starsza ode mnie, ale w Rose Club pracuje znacznie dłużej. Ona też nie ma na imię Lily, tak jak ja nie nazywam się Jaden. Nie znam jej w prawdziwym życiu ani ona nie zna mnie. Czasem pracujemy w tych samych hotelach i jest jedną z niewielu dziewczyn w klubie, które nie są idiotkami. Więc gadamy.

– Ale tak serio... – Lily trąca mnie łokciem. – Widziałam ją. Jak ma dobry dzień, wygląda jak nierasowy szpic.

– Hola, hola! – wołam i wydmuchuję dym w niebo. – Nie

bądźmy złośliwi. Dobrze płaci. A ja szanuję i doceniam pieniądze.

Lily czeka, aż przejedzie sznur taksówek i bacznie mi się przygląda. Ściąga cienkie brwi.

– A co z twoim balem? – pyta.

– Jak to?

– Idziesz? Jesteś z kimś? A przynajmniej masz partnerkę?

Na poprzedni bal zabrałem Sophię, uwięzioną w szpitalu dziewczynę, którą znam od gimnazjum, pierwszą, w której się zakochałem i moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką. Ale to nie Sophia przychodzi mi do głowy. Widzę Isis w jedwabnej sukience. Czerwonej? Niebieskiej? Pewnie purpurowej, żeby pasowała do włosów. Tańczyłaby, piła i wszczęła co najmniej cztery awantury. Byłoby strasznie. I obłędnie. Uśmiecham się do tej myśli, ale ona szybko blednie. Isis też jest w szpitalu. I dzięki temu złamasowi, zwanemu chłopakiem jej matki, nie pamięta mnie. Minęły już trzy tygodnie, odkąd z tym swoim beztroskim uśmiechem spytała, kim jestem, a do mnie dopiero teraz to dociera tak naprawdę.

– Nie. Nie idę na bal. Po co? I tak za pięć miesięcy kończę szkołę. Liceum już nie ma znaczenia.

Wyjmuje mi papierosa z ust i depcze.

– Od kiedy palisz?

– A ty od kiedy bawisz się w moją matkę?

– To niezdrowe.

– Seks dla pieniędzy też.

Robi się zła.

– Dotrzymujemy towarzystwa! I oboje mamy swoje powody. Ale palić nie musisz. Chyba że chcesz umrzeć młodo i w mękach.

– Może i chcę, to nie twoja sprawa.

Krzywi się, jakbym ją uderzył. Zatrzymuje przejeżdżającą

taksówkę, ale przystaje w otwartych drzwiach i na chwilę się odwraca.

– Jesteś jednym z nas – mruczy. – Społeczeństwo nami gardzi. Klienci traktują nas jak rzeczy. Mamy tylko siebie. Więc to jest moja sprawa. – Wyjmuje swoją wizytówkę z Rose Club, białą w cienkie złote paski, i mi podaje. – Gdybyś czegoś potrzebował albo zwyczajnie chciał pogadać, zadzwoń.

Znika, zanim zdążę jej oddać kartonik. Zanim ziejąca rana w mojej piersi zacznie krwawić. Nie pozwalam na to. Nazywam się Jack Hunter. Nie krwawię z niczyjego powodu.

Nie licząc pewnej dziewczyny, na imprezie, prawie pięć miesięcy temu.

Zapalam kolejnego papierosa, żeby zamaskować smród słabości, który zaczyna mnie otaczać. Kobiety kręcące się przy wejściu na mnie łypią. Wystarczy, żebym choć mrugnął, a przybędą, żeby flirtować. One i ich wymęczone taktyki, znużona zapalczywość. Są równie marne jak tamci faceci. Pragną ładnych rzeczy. A jeśli nie mogą mieć tego, czego chcą, żrą się i rzucają na siebie w żalonym przejawie drapieżnego instynktu posiadania.

Wrzucę wizytówkę Lily do kałuży. Nie ma pojęcia, przez co przechodzę. Nawet ja nie mam pojęcia. Nie może mi pomóc. Zaoferowała to tylko dlatego, że na mnie leci. Nawet idiota by zauważył.

„Nie każda istota z pochwą na ciebie leci, idioto”.

Obracam się na dźwięk tego głosu. Jest tak czysty, głośny i drażniący, że po prostu musi to być ona. Ale w tłumie nie migoczą purpurowe kosmyki. Nie widzę ciepłych brązowych oczu podszytych złością.

Opieram się z powrotem o kolumnę i śmieję się. Chowam twarz w dłoniach, bo znów dopada mnie rzeczywistość. Weź się

w garść, Jack. Za siedem miesięcy idziesz na Harvard. Matka czeka w domu. Sophia na ciebie liczy. Operacja już wkrótce. Nie możesz oszaleć. Jesteś odpowiedzialny za innych. Masz życie do przeżycia i nieważne, ile spadających gwiazd wypatrzysz i co zaoferujesz Bogu albo lekarzom, życie będzie musiało się toczyć bez Isis Blake. Stałeś się dla niej obcym człowiekiem.

Dziura, którą wypaliła w lodzie, będzie musiała się zasklepić.

Nie ma już ciepła. Ledwie go zakosztowałeś, przelotnie poczułeś na skórze. Przemknęło obok ciebie. Coś tak drobnego nie uniesie ciężaru. To by było wbrew logice. I ty też postępujesz wbrew niej, pozwalając, żeby to aż tak na ciebie wpłynęło.

Nie ma ciepła, Jack. W każdym razie dla takich jak ty.

Masz krew na rękach. Masz obowiązki, ciąży na tobie wina, nie ma od tego ucieczki. Nikt ci nie pomoże.

Nawet ona.

– Jaden! – Przenikliwy okrzyk sprawia, że podnoszę wzrok. Cynthia, córka burmistrza, macha do mnie z limuzyny. Ciemne włosy są za mocno skręcone, wygląda idiotycznie. Różowa sukienka jest za ciasna i zbyt jaskrawa. Stadko jej mizdrzących się przyjaciółek poprawia makijaż i jadą na after party. To znaczy my jedziemy. Płacą mi, żebym był jednym z nich.

Gaszę papierosa i przywołuję na twarz mój najlepszy uśmiech.

Aktualnie moje życie wypełniają ludzie pytający, czy już mi lepiej.

Siedzę na szpitalnym łóżku z wielkim bandażem na głowie, w którym wyglądam jak w turbanie. No więc nie, nie jest lepiej.

Ale oni nadal pytają, bo tak się okazuje troskę komuś, na kim nam zależy. Tak mi się przynajmniej zdaje, chociaż przyznam, że wielkie pudło truflí w czekoladzie albo tron w niewielkim

królestwie zupełnie by mi wystarczyły.

Nie chodzę do szkoły. Nie wracam do domu. Siedzę całymi dniami w tym łóżku i oglądam gówniane opery mydlane, w których ktoś co chwilę mdleje. Jezu, naprawdę, to jakaś epidemia. Nudzi mi się tak strasznie, że też udaję, że mdleję, ale różnica jest taka, że mnie łapią pielęgniarki i mówią:

– Doznałaś urazu głowy.

Albo:

– Wbrew szerzącym się plotkom, podłoga nadal jest twarda.

Czy też inne bzdury, więc naprawdę nikt nie powinien mieć do mnie pretensji, że przy pierwszej okazji kradnę porzucony wózek inwalidzki, rozpędzam się i mknę korytarzem na łeb, na szyję.

– Dobry wieczór, panowie. – Kłaniam się dwóm stażystom. Patrzą jeden na drugiego, ale zanim zdołają wezwać ochronę, biorę ostry zakręt i znikam za rogiem. – Diabło dobrą pogodę dziś mamy! – Uśmiecham się do faceta w łóżku, gdy mijam jego pokój. Serdecznie odwzajemnia moje powitanie, emitując odbijające się echem od ścian.

– Idź w cholerę!

– Dobry wieczór, skarbie. Może filiżankę herbaty? – proponuję pielęgniarce.

– Nie jesteś Angielką, Isis – odpowiada beznamiętnie Naomi.

– Mogę być, kim chcę! – upieram się.

– Świetnie, ale ja jestem zainteresowana kimś, kto leży w łóżku i dochodzi do zdrowia. A już na pewno nie chcę widzieć nikogo, kto miota się po szpitalu jak szalowiec na kółkach.

– Szalowiec pobiegł tamtędy. – Wskazuję palcem za siebie. Jak na zawołanie rozlega się głośny krzyk: „Niech to jasna cholera!” Naomi mruży oczy i wskazuje na mój pokój.

– Z powrotem do łóżka. Natychmiast.

– Dlaczego tak musi być? – wzdycham. – Na pewno da się coś zrobić. Mogę panią przekupić. Pieniędźmi. Albo czym innym. Lubi pani przygody? Jestem jedną wielką przygodą. Mam do zaoferowania co najmniej dziewięć przygód.

– Zaoferowałaś mi już dość jak na jeden dzień. Jeśli za chwilę nie znajdziesz się w łóżku, nie pozwolę wieczorem przyjść Sophii. Aż mnie zatyka.

– Nie zrobiłaby pani tego!

– Zrobiłabym!

Wstaję i zabieram się do spektakularnego omdlenia, ale łapie mnie umięśnionymi rękami, pcha z powrotem na wózek i odwodzi do mojego pokoju. Przez całą drogę złorzeczę. W progu zsuwam się na podłogę, czołgam się do łóżka i udaję, że łkam. Potem padam na materac.

– Daj spokój, królowo skandalu – beszta mnie Naomi i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

– Cesarzowo, jeśli już! – wrzeszczę za nią. – Ten tytuł bardziej mi odpowiada!

Zapada cisza. Stanowczo za cicha. Parskam, zaplatam ręce na piersi i zdmuchuję grzywkę z oczu. Muszę obciąć włosy. I opracować plan ucieczki. Ale uciekając, trzeba wyglądać obłędnie, więc lista priorytetów klaruje się sama.

Sięgam po telefon i piszę do Sophii.

„Martwe białko usiłuje wyżreć mi oczy. Przynieś ostry przedmiot”.

Odpowiedź przychodzi natychmiast:

„Masz na myśli ten, którym groziłaś jądrom sanitariusza?”

Na wspomnienie własnego geniuszu wzdycham z rozkoszą. Ależ mam szczęście, że jestem mną!

„Tenże sam”.

Odpowiada uśmiechniętą buźką.

Sophia i ja jesteśmy najmłodsze w całym szpitalu, jeśli nie liczyć oddziału dziecięcego, ale tam nie wpuszczają nikogo z wyjątkiem lekarzy i rodziców. Można wejść za pozwoleniem, ale trudno je uzyskać. Dlatego wchodzę przez okno. Nie znoszę galaretki, a dostaję ją do każdego posiłku, więc kolekcjonuję je i zanoszę dzieciakom niczym galaretowaty Święty Mikołaj. To absolutny hit. Ale nie dla pielęgniarek. Dla ochrony też nie. Zresztą nieważne. Grunt, że ja i Sophia się dogadujemy. Od kiedy kilka tygodni temu spotkałyśmy się w czasie lunchu, a ja dałam jej jabłko, czuję, że znamy się od zawsze. Przebywanie z nią jest jak gigantyczne galopujące *déjà vu*. Gdy się przedstawiła, wypaliłam:

– Ach, to ty jesteś Sophia! – Jakbym od dawna chciała ją poznać. Spytała, co miałam na myśli, ale chociaż długo i starannie przeszukałam swój – niemały przecież – mózg, nie znalazłam odpowiedzi. Po prostu tak powiedziałam, bez namysłu, nie wiem dlaczego. Wielu rzeczy nie wiem i szlag mnie od tego trafia, a nie tak łatwo radzić sobie z frustracją, kiedy wszyscy każą ci całe dni siedzieć w łóżku i jeść.

Poza tą jedną kwestią układa nam się genialnie. Wiem to, bo: a) jeszcze nie uciekła z płaczem i b) zawsze na końcu esemesa stawia uśmiechniętą buźkę. Robią tak tylko ludzie, którzy cię lubią. Albo ci, którzy chcieliby cię zamordować, ale naprawdę wątpię, żeby ktoś tak delikatny i śliczny jak Sophia chciał kogokolwiek zamordować. Chyba że chce być delikatna, śliczna i zabójcza, co – nie ukrywam – nadałoby jej osobowości głębszego wymiaru.

– Isis! – woła od drzwi. – Znowu myślałaś na głos.

Odwracam się do niej. Ubrała się w kwiecistą sukienkę, a na

wierzch włożyła gruby, miękki sweter. Jej platynowe delikatne włosy są długie i wyglądają jak pasma srebra. Biała jak mleko skóra niemal świeci. Na tle tej całej bladości oczy wydają się głębokie jak morze i granatowe jak ocean. W jednej ręce niesie książkę, a w drugiej...

– Nożyczki! – krzyczę. – Dobra, spokojnie, niech wszyscy oddychają, bo zaraz powiem coś, co odmieni losy świata. – Sophia wciąga powietrze i zatrzymuje je w płucach. Wskazuję na nią palcem. – Obetniesz mi grzywkę!

Wypuszcza powietrze i triumfalnie wymachuje pięścią.

– Tak! Utnę całą!

– Soph, słodka Soph, miękka sofko, jesteśmy razem dopiero od trzech tygodni, kocham cię jak siostrę, jesteśmy jak sarnie siostrzyczki brykające razem po lesie, ale grzywka to wartość kluczowa dla mojego istnienia, więc to tak, jakbym powierzyła ci życie.

– Rozumiem. – Siada na łóżku i ze zrozumieniem kiwa głową. – W grzywce masz wszystkie kluczowe organy?

– Jak również plany na wspólne życie z Tomem Hiddlestonem. Więc chyba rozumiesz, jakie to dla mnie ważne.

– Naturalnie.

– Mówię poważnie.

– Wręcz śmiertelnie.

– Nie sprawisz, że będę wyglądała mniej oszalamiająco, bo to fizycznie niewykonalne, ale mówiąc oględnie... Nie spieprz tego.

Nie wyglądam oszalamiająco, a już na pewno w porównaniu z kimś takim jak ona, ale stawiam na brawurę. Sophia przeczesuje palcami moją zmierzwioną grzywkę.

– Trochę ukośnie?

– Ty tu jesteś ikoną mody. Ja tylko zarzucam na grzbiet jakieś

rzeczy, optymalnie bez dziur, i modłę się, żeby jakoś wyglądało. No nie, raz w kłocie czytałam „Cosmo”. Liczy się?

– Zależy, ile czasu tam spędziłaś. – Sophia na próbę układa mi włosy.

– Całe wieki. Pisali o kształtach twarzy. No wiesz, czy mam kwadratową twarz, czy w kształcie serca...

– Zdecydowanie w kształcie serca.

– Serio? Bo myślałam, że w kształcie pechowego Skittlesa, który leżał na samym dnie.

Sophia wybucha śmiechem.

– Nie ruszaj się i zamknij oczy. Obiecuję, że nie oszpecę cię na resztę życia.

Słyszę cichy odgłos cięcia i czuję delikatne palce Sophii. Potem każe mi otworzyć oczy. Wyskakuję z łóżka i pędzę do łazienki. W poplamionym ze starości szpitalnym lustrze widzę dziewczynę z krótką grzywką. Lekko wyblakłe purpurowe pasma opadają jej na czoło. Pojedynczy bandaż oplata nasadę jej czaszki i biegnie na czubek głowy, wyglądając jak chustka. Reszta głowy jest odsłonięta. Dziewczyna wygląda staro, jest zmęczona. Na brodzie ma ślady po dwóch wybuchach wulkanów, kolejny na nosie, a wory pod oczami mogłaby zgłosić do księgi rekordów. Coś tu jest nie tak. Coś głęboko w niej nie działa, jak powinno.

Jest brzydka.

– Co się stało? Nie podoba ci się? – Sophia pojawia się za mną. W lustrzanym odbiciu niemal promienieje bladością i wymizerowanym pięknem, a ja...

– Nie, jest cudownie! Świetnie ci poszło. Genialnie. Wszystko gra! Nie mam żadnych uwag. Zero! Zero uwag. Zimno tu, co?

Pędzę z powrotem do łóżka i zawijam się w kołdrę jak burrito.

– Jeśli ci się nie podoba, nie musisz kłamać.

– Podoba mi się! Cholera, naprawdę. Przepraszam. Nie w tym rzecz. Chodzi o... Dawniejsze sprawy.

– Ach. – Mości się w nogach mojego łóżka. – O ten ciężki kaliber? Którego nie leczą w szpitalach?

Kiwam głową. Spojrzenie Sophii nie jest przeszywające, ale spoczywa na mnie z takim ciężarem, jakby była o dekady starsza niż jest. Nie mówiłam jej o Bezimiennym, przede wszystkim dlatego, że nie musi wiedzieć takich rzeczy, i tak jest dostatecznie smutna. Bezimienny był moją pierwszą i ostatnią miłością, jeszcze na Florydzie, i skrzywdził mnie tak, że moje serce zostało rozorane na zawsze.

Sophia też mi nie powiedziała nic o swojej przeszłości, i tak jest lepiej. Widzę, że spotkało ją coś gorszego niż mnie. Węsenie ludzkich tragedii jest moją specjalnością.

– Chodzi o chłopaka? – pyta w końcu.

To był chłopak? Czy potwór? Nadal nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie, więc idę po linii najmniejszego oporu.

– Tak.

Składa ręce na kolanie jak dama i po raz miliardowy przypominam sobie, jaka jest dojrzała w porównaniu do mnie. Pielęgniarki plotkują na jej temat. Że jest w szpitalu od pięciu lat, że nie ma rodziny – rodzice zginęli w jakimś tragicznym „wypadku”, a ją wychowała babcia, ale zmarła kilka lat temu i Sophia została na świecie całkiem sama. Ale głównie szepczą o chłopaku, który do niej przychodzi, o Jacku, tym samym, który zobaczył, że drzwi do naszego domu są otwarte i uratował mnie i mamę przed Leo. Nie powstrzymał go od ciśnięcia mną w ścianę i rozplątania mi czaszki, ale zdążył uratować mamę i tylko to się liczy.

Jest irytująco przystojny i wkurzająco dobrosamarytański.

Wygląda na to, że często Sopię odwiedza. Ale zdaje się też, że odkąd trafiłam do szpitala, w ogóle nie przychodzi. Píše do niej listy (listy! w dzisiejszych czasach!), ale się nie pojawia. O tym pielęgniarki też uwielbiają gadać. Poprawiam je uprzejmie przy każdej okazji: nie znam go! A on prawie mnie nie zna! Oczywiście, jestem jego dłużniczką, ale nic się między nami nie dzieje i nigdy się nie zadzieje, bo hello, faceci, którzy nie są hollywoodzkimi gwiazdorami i nie grają superbohaterów są obrzydliwi!

– Przepraszam – wypalam.

– Za co?

– Za twojego chłopaka. Przestał przychodzić, odkąd tu jestem i jeśli to przeze mnie, to przepraszam. Wiem, że to aroganckie, że tak myślę, ale pielęgniarki paplają i zaczęłam się zastanawiać...

Sophia klepie mnie po ręce i uśmiecha się.

– Cśś. W porządku. One nic nie wiedzą. Jest po prostu zajęty. Dużo pracuje i ma szkołę.

– Ja też mam – mamrocę.

Wtedy Sophia rzuca mi na kolana książkę, którą przyniosła.

– Właśnie! I musisz przeczytać dwa akty *Czarownic z Salem*, żeby wszystko nadrobić przed powrotem!

Przez moment poważnie rozważam popełnienie seppuku, ale przypominam sobie, ile wyniósł rachunek za leczenie rozbitej głowy, więc rezygnuję. Mama już i tak ma problem z zapłaceniem tego, nie trzeba jej jeszcze rozbryzganych jelit, a do tego totalnej śmierci. Poza tym nie mogę jeszcze umrzeć. Muszę porządnie podziękować Jackowi. Śmierć przed odwdzięceniem się komuś za uratowanie życia twojej matki jest co najmniej nieuprzejma.

– Nie chcę wracać do szkoły – oznajmiam.

– Oczywiście, że chcesz.

– Oczywiście. Tutaj można się rozchorować z nudów.

– Więc bierzmy się do lektury. – Sophia się uśmiecha. Jęczę i odwracam się tyłem, a ona zaczyna czytać na głos. Uwielbia się nade mną znęcać. Albo po prostu cieszy się z towarzystwa. Nie mogę się zdecydować. Świetnie się dogadujemy, ale wciąż jest dla mnie jedną wielką tajemnicą. Dla mnie! Cesarzowej rozkminiania, jacy są ludzie. Czyta, a ja przyglądam się jej twarzy, dłoniom i sukience. Wszyscy w szpitalu ją znają, ale nikt z wyjątkiem jej lekarza nie wie do końca, co jej jest. Pielęgniarki nie lubią o tym mówić. Pytałam Naomi, ale na mnie nawarczała i powiedziała, że to tajemnica lekarska. Czasem Sophia zostaje w swoim pokoju „na zabiegi”, bywa, że na kilka dni. Ale nie kuleje, nie kaszle ani nie wymiotuje. Nie ma bandaży ani szwów. Gdyby nie fakt, że jest taka blada i chuda i czasem narzeka na migreny, wyglądałaby na zupełnie zdrową.

– Soph? – przerywam jej. Podnosi wzrok.

– No?

– Wiem, że to będzie megawielki atak na twoją prywatność, a jak uczy historia, ataki na innych generalnie źle się kończą, ale nie jestem w stanie dłużej powstrzymać ciekawości. To znaczy mogłabym. Ale wtedy z tego napięcia dokonam implozji.

Wybuchła śmiechem.

– W porządku. Pytaj, o co chcesz.

– Czemu jesteś w szpitalu?

Powoli zamyka książkę.

– Ty naprawdę nie pamiętasz?

– Czego?

W jej oczach pojawiają odmęty smutku. Przez dłuższą chwilę patrzy za okno, a potem wzdycha.

– No co? – dopytuję. – O co chodzi?

Spogląda znów na mnie.

– Nie, nic. To po prostu smutne. Żal mi go. Przez jakiś czas był bardzo szczęśliwy. Nawet więcej niż szczęśliwy. Odżył i znów miał ogień w oczach. – Marszczę nos, ale zanim wybuchnę od dalszych pytań, Sophia mówi dalej: – A dolega mi to samo, co tobie. – Stuka się w głowę jednym palcem, a ja otwieram usta.

– Też miałaś czaszkę rozpołowioną jak melon?

Śmieje się, a dźwięk ten przypomina dzwonięcie kryształowego dzwoneczka.

– Coś w tym stylu. Mamy w równym stopniu uszkodzone głowy. Może nie w ten sam sposób, ale popsute.

Zerkam do torby, którą przyniosła. Jest tam stos powieściowych romansideł. Z każdej okładki łypią tajemniczo klony Fabia, zerkające ponuro w kierunku skąpo odzianych kobiet mdlejących gdzieś na skałach, a zazwyczaj osuwających w kierunku jego krocza.

– Czemu lubisz te książki? To chyba same księżniczki, całowanie i mizoginia?

Sophia wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Lubię księżniczki.

– Mają piękne suknie, cudowne włosy i masę pieniędzy. Trudno ich nie lubić.

– Chyba mi się podoba, że te historie zawsze się dobrze kończą. Zwłaszcza... Zwłaszcza że moja się tak nie skończy.

Serce mi się ściska. Jest o tym przekonana.

– Ej! Nie mów tak. Nigdy nie znałam kogoś, kto byłby w takim stopniu księżniczką jak ty. W sensie, że taką prawdziwą księżniczką. No, bez gruźlicy i ślubu z kuzynem. I bez ścięcia głowy.

Sophia wybucha śmiechem.

– Ty też jesteś księżniczką. Bardzo odważną. I szlachetną.

– Ja? Pff! – parskam, a w powietrzu unosi się mgiełka mojej śliny. – Ja jestem raczej... Gdyby to była baśń, byłabym smokiem.

– Czemu?

– Bo to bardziej pasuje. – Przyglądam włosy. – Lśniące łuski. Oczy jak klejnoty...

– Skrzydła zamiast rąk? – podsuwa ze śmiechem Sophia.

– To by była wiwerna! Skrzydła smoków są niezależne od kończyn. Ale wybaczę ci tę pomyłkę. Miałam dzisiaj zgagę i nie mam najmniejszej ochoty na schrupanie kolejnej białogłowy.

– Co byś robiła jako smok?

Wzruszam ramionami.

– No wiesz. Latałabym. Zbierała skarby. Czkałabym piekielnym ogniem na wieśniaków.

Sophia przez chwilę milczy.

– Ale nie rozumiem – stwierdza w końcu. – Czemu do ciebie pasuje smok?

– Zastanów się. Jestem czarnym charakterem. Smoków nikt nie lubi. Zawsze siedzą same w jakimś zimnym cichym miejscu. Nikt cię nie chce, bo jesteś za głośna i ziejesz ogniem. A jeśli jesteś księżniczką, wszyscy cię kochają i przez cały czas szlajasz się po dusznych salach balowych pełnych spoconych ludzi.

Unosi brwi.

– Sale balowe... Bale... Tańce... Fuj.

Znów rozlega się jej dzwoniący śmiech i nie mogę się powstrzymać, żeby do niej nie dołączyć.

– Poza tym wiesz – dodaję – smoki nie mają się czym przejmować. Chodzi mi o to, że księżęta nie zakochują się w smokach...

„Brzydka”.

– Zakochują się w księżniczkach.

„Myślałaś, że co to było? Miłość? Nie umawiam się z grubaskami”.

– Więc wszystko się zgadza.

Sophia kiwa głową i przez chwilę siedzimy obie w milczeniu.

W końcu się uśmiecha.

– Wydaje mi się, że nie doceniasz księżniczek.

– Tak?

– Tak! Wszyscy udają, że je lubią, bo muszą. Ale księżniczki nie mają prawdziwych przyjaciół i cały czas siedzą zamknięte w zamkach. Każda księżniczka chce być wolna. Pragnie tego ponad wszystko.

W jej słowach brzmi głęboka prawda, jakby myślała o tym od lat, a nie od kilku minut. Ale uśmiecha się i napięcie znika. Sięga do torby i wyjmuje skórzaną kosmetyczkę, a z niej małe buteleczki z alkoholem, jakie dają w samolotach.

– Skąd to masz? – pytam.

Niewinnie wzrusza ramionami.

– Jakiegoś bogatego kolesia z uczelnianego bractwa przyjęli w sąsiednim skrzydle na odwyk. Kazali mu opróżnić kieszenie, gdy go przyjmowali. Wystarczyło świsnąć to z wózka ze skonfiskowanymi rzeczami.

– Nie mówiłaś mi, że dorabiasz jako herszt bandy złodziei.

– Jeśli się całe życie spędza w szpitalu, człowiek uczy się obsługiwać YouTube. Sztuczki magiczne też tam pokazują. – Uśmiecha się ciepło. – A na dodatek... – Pokazuje puszkę farby w sprayu. – Woźny zostawił to w swojej szafce.

– Boże, strach cię gdzieś wypuścić!

– Po prostu dobrze znam ten szpital – przyznaje skromnie.

– Więc jakie mamy plany na wieczór, madame?

– Pomyślałam, że najpierw to wypijemy... – Wskazuje na buteleczki. – A potem ozdobimy tę obrzydliwą budkę strażników rysunkiem środkowego palca.

– Wielkie genitalia będzie znacznie trudniej zmyć.

– I to mi się podoba! Jesteś okropna!

– Wolę określenie „kreatywnie zaangażowana”. – Odkręcam buteleczkę i wypijam zawartość, a znajomy zapach wypełnia mi nozdrza.

Rum. Smak rumu i coli na języku. Ciepło rozgrzanych ciał tańczących wokół. Muzyka. Tak głośna, że nie słyszę swoich myśli. Plecami opieram się o czyjąś pierś, miłą i gładką. Podtrzymuje mnie, daje oparcie. Poczucie bezpieczeństwa.

– W porządku?

Głos Sophii przywraca mnie do rzeczywistości. Mrugam raz, cztery razy, pięć, dziesięć i dopiero wtedy przypominam sobie, że jestem w szpitalu. Co to do cholery było? Kto stał za mną, kto sprawiał, że czułam się tak bezpiecznie? Nawet przy mamie się tak nie czuję, odkąd dorosłam. Jest zbyt krucha. Ktokolwiek to był, zapewnił mi wewnętrzny spokój, którego smak wciąż pamiętam.

– Poczuję się lepiej, jak się upiję. – Łapię drugą buteleczkę. Jeśli będę piła, może przypomnę sobie coś więcej.

– Ej, czekaj! Zostaw coś dla mnie! – Łapczywie pije ze swojej flaszeczki. Wymieniamy się alkoholami, a kiedy zaczynamy chichotać bez żadnego powodu, wiem, że jesteśmy pijane.

– Jest mi ciepło i dziwnie. – Sophia się śmieje.

– Czy ty... – Czкам. – Czy ty pijesz pierwszy raz w życiu?

– Nie!

– Tak! – Klepię ją po plecach. – Jestem zaszczyczona, że

towarzyszę ci w dziewiczej podróży w głąb króliczej nory.

– Niepełnoletni nie powinni pić – szeptuje Sophia, a potem zaczyna się śmiać. – Tylko że ja nie mogę czekać, bo wtedy już będę martwa!

Wzdrygam się, a ona przestaje się śmiać. Uśmiech znika jej z twarzy.

– Przepraszam – mówi. – Nie chciałam psuć nastroju.

– Jedyne, co popsułaś, to bilans procentów. – Podaję jej kolejną buteleczkę. – Ty w ogóle możesz pić, co? Nic ci się...

– Nie jestem aż takim mięczakiem. – Marszczy czoło.

– Czasem leki robią z ludzi mięczaków. Tylko się upewniam.

– Co cię to w zasadzie obchodzi? – rzuca Sophia. – Przecież prawie się nie znamy. – Obie zamieramy i widzę, jak szeroko otwiera ciemnoniebieskie oczy. – Przepraszam – mamrocze. – Przepraszam! Czasem tak się zdarza, że mówię coś bez zastanowienia, a potem jest za późno, nie mogę cofnąć słów i tylko się czuję okropnie.

– No już, cicho. – Klepię ją po plecach. – Nic się nie stało.

– Wszyscy tak mówią, że nic się nie stało, chociaż się stało i żal się w nich jątrzy, aż zaczynają mnie nienawidzić.

– Nie wiesz tego. Nie umiesz czytać ludziom w głowach! Byłoby fajnie, gdybyś mogła, na pewno ktoś napisałby o tobie przygodówkę dla młodzieży, ale tak nie jest. Chyba że...? – Zerkam na nią podejrzliwie. – Chyba że umiesz?

– Nie umiem. – Marszczy się. – Ale to nie zmienia faktu, że wszyscy się uczą mnie nienawidzić. Tak to się kończy. Z tobą będzie tak samo.

– Nie. – Zadzieram głowę. – Miałaś rację. Prawie się nie znamy. Święta prawda. Ale to nie znaczy, że mi na tobie nie zależy. Ludzie mówią, że najważniejszy jest czas, ale to nieprawda. Ja się

przejmuję ludźmi, bardziej niż powinnam i szybciej niż powinnam... – Wspomnienie czyichś ust. Chciałam, żeby ten ktoś był szczęśliwy. Zależało mi na nim, zaczynało mi na nim zależeć bardziej niż na kimkolwiek od bardzo dawna... Kręcę głową. – Czas nie ma znaczenia. Jesteś moją przyjaciółką. Nie znienawidzę cię.

– Znienawidzisz. – Ze smutkiem wpatruje się w kolejną butelkę. – Słowa ranią. A ja gadam bez zastanowienia.

– Czemu?

Wzrusza ramionami.

– Mam to w pakiecie z chorobą. Łatwo się wkurzam. Mam huśtawki nastrojów. Zmiany behawioralne. Nie jestem taka jak kiedyś i przez to ludzie ode mnie odchodzą. – Milknie na chwilę, a potem wybucha śmiechem pełnym rozpacz. – Ty się łatwo wywinęłaś. Uraz głowy, ale bez ubytków psychologicznych. No, nie licząc...

– Wspomnień – kończę za nią. Uśmiecha się.

– Czasem niepamięć jest błogosławieństwem. Gdybym mogła o nim zapomnieć tak jak ty, zapomnieć o tym wszystkim, przenieść się gdzieś, zacząć od nowa...

Milknie, a ja nachylam się i łapię ją za ramię.

– Czeka. Co? O jakim nim? O czym ty mówisz?

Zagryza wargę, a potem podrywa się z łóżka i łapie puszkę z farbą.

– Ostatni przy budce strażnika jest głupi i ma wszy! – krzyczy, nagle ożywiona i pełna zapału. Nie wiem, co myśleć, ale biegnę za nią. Lekarze krzyczą za nami, żebyśmy zwolniły, ale Sophia chichocze tak dźwięcznie i głośno, że prawie ich nie słyszę. Biegnę jak pies tropiący na dół po schodach i na zewnątrz wokół żywopłotu. Wschodnie skrzydło szpitala jest bardzo spokojne, nie

ma tu parkingu, tylko ogród, w którym mogą odpoczywać dochodzący do zdrowia. Zwykle strażnik patroluje właśnie parkingi, więc to doskonały moment, żeby popełnić przestępstwo i nie zostać przyłapanym.

– Czekaj! – krzyczę za nią, ale jest szybka. Za szybka, nie powinna być taka, przecież jest chora. A może jest chora tylko w swojej głowie? To jest z nią nie tak? Usiłuję ją dogonić, a przy okazji zastanawiam się nad nową hipotezą. Klęka przy stróżówce i potrząsa puszką. Na próbę psika trochę w powietrze i marszczy nos.

– Ale śmierdzi.

– Masz. – Wyciągam serwetkę, którą zgarnęłam z kolacji i podaję jej. – Zakryj usta i nos, żebyś się nie nawdychała.

– Bawisz się w mamę, jak miło! – Śmieje się, ale bierze serwetkę i zaczyna malować zachwycająco realistyczny środkowy palec na białej ścianie. – Nigdy nie miałam mamy.

Milczę, bo częściowo stoję na czatach, ale częściowo aż płonę z ciekawości.

– No nie, miałam. – Sophia znów potrząsa puszką i kontynuuje rysunek. – Ale postanowiła, że już mnie nie chce. Ani taty. Tak, pani Welles uznała, że ma dość nas obojga.

– Soph...

Kończy graffiti i kiwa głową z uznaniem. Podaje mi puszkę.

– Chcesz coś dodać?

Potrząsam nią raz i podziwiam wyraźny, czarny przejaw obsceniczności, który mam tuż przed nosem. Potem dorysowuję małe, krzywe serduszko, jakby podpis artysty. Sophia się śmieje, a potem ciągnie mnie z powrotem do szpitala. Obie jesteśmy nakręcone od oparów farby i adrenaliny.

Ale to mija, jak wszystko. Ona wraca do siebie, żeby wziąć leki,

a ja zasiadam z laptopem. Facebook jest równie interesujący, co worek gnijących pomidorów, tyle że pomidory nie mają rasistowskich ani seksistowskich poglądów.

Nie wiem nawet, kiedy to się dzieje, ale nagle wpatruję się w puste okienko wyszukiwarki, a potem moje palce fruwią po klawiaturze.

„Sophia Welles Ohio”

Dotąd nie wiedziałam, jak ma na nazwisko. Wiedza ta otwiera przede mną nowy świat, mroczny, pokręcony. Tekst za tekstem, szczegóły tragedii, która spotkała jej rodzinę. Jej mama, która przez lata walczyła ze schizofrenią i uzależnieniem od heroiny, pewnego dnia nie wytrzymała i zabiła ojca Sophii, a sama przedawkowała prochy. Sophia miała siedem lat, gdy ich znalazła po powrocie ze szkoły. Babcia zabrała ją z Columbus, wielkiego miasta, i przywiozła do Northplains, żeby Sophia mogła od tego wszystkiego uciec.

Nie znam nikogo, kto by tyle przeszedł.

Zamykam laptopa i wpatruję się przez chwilę w sufit. Jak do cholery się z czegoś takiego otrząsnąć?

Nie da się.

Kończy się w takim miejscu jak to, z psychiką całą w bliznach.

Dopiero po dwóch dniach zbieram się na odwagę i idę ją odwiedzić. Nie tęskniła, bo przez co najmniej połowę tego czasu miała jedną tomografię za drugą, a do tego drobne zabiegi. Otwieram drzwi do jej pokoju; leży w łóżku, pod oczami ma purpurowe sińce, włosy u podstawy czaszki wygolone, a pośrodku ziejie brzydka rana strasząca nićmi. Uśmiecha się blado.

– Cześć – skrzeczy.

– Co oni ci zrobili? – Głaszczę grzbiet jej dłoni.

– A, takie tam. Porządki w głowie. Wycięli parę guzów, poskładali czaszkę, to co zwykle.

– Masz w głowie guzy?

Wskazuje na butelkę z wodą, na stoliku nocnym. Podaję jej, a ona odkręca i pije. Potem wzdycha.

– Jestem dzieckiem narkomanki. Masa komplikacji. Prawie całe życie z krótkimi przerwami jestem w szpitalu. Któregoś dnia, jak przyszłam na badanie z babcią, znaleźli nowotwór. – Krzywi się. – Ale nie chciałam odpuścić. Przekonałam babcię, żeby pozwoliła mi chodzić do szkoły przynajmniej do początku liceum. Ale potem...

Spogląda na swoje dłonie. Za oknem gorliwie ćwierka ptak, a jego czerwony brzusek jaśnieje na tle szarej panoramy Ohio. Razem patrzymy, jak odlatuje.

– Powinnam umrzeć już dawno temu – mówi cicho. – Ale mi nie pozwalają. Wciąż mnie trzymają przy życiu.

– Bo im na tobie zależy – przekonuję. – Skąd wezmą drugą tak piękną i dobrą osobę? Kto połamie setki męskich serc oraz okrętów, bo... Ten... Twoja twarz wysłała je w morze?

Sophia się uśmiecha.

– Chyba trochę pomieszalaś.

– Mieszanie to moja specjalność – wtrącam. – Jak ciasta. Słodkie i pyszne.

Cichy śmiech sprawia, że cała się rozpromienia, a cienie na chwilę znikają z jej twarzy. Wystraszyłam się. Przez moment brzmiała jak mama, na samym początku, gdy zamieszkałyśmy razem po jej zerwaniu z Leo. Jakby straciła nadzieję.

– Isis? – Do drzwi puka Naomi i zagląda do pokoju. – Ach, jesteś. Wiedziałam, że tu cię znajdę. Chodźmy. Doktor Mernich

czeka. Cześć, Sophia. Jak się czujesz?

– Lepiej. – Sophia się do mnie uśmiecha. – Idź.

– Mhm, dzięki. Pani Mernich będzie pytać o uczucia, a prawdę mówiąc, wolałabym połknąć stonogę niż o tym mówić. A najlepiej zostać stonogą i uciec. Mogłabym zostać stonogą? Amerykańskie prawo to dopuszcza?

– Isis! – mówi ostro Naomi.

– Można zostać inżynierem konserwującym miecze świetlne, więc powinni też zezwalać na bycie robakiem...

– Stawonogiem – poprawia Sophia.

– Stawonogiem! Auć, Naomi, jakie masz wielkie ręce! Specjalnie cię tu z nimi przysłali, żebyś mogła mnie złapać, tak? Ostrożnie, kobieto! Jestem dobrem narodowym!

Naomi wyprowadza mnie z pokoju, a Sophia radośnie macha na do widzenia.

Doktor Mernich to ten typ kobiety, która zawsze zapomina uczesać zmierzwione rude włosy, ale jakimś cudem ten lekko opętańczy image do niej pasuje, co jest o tyle dziwne, że przecież pracuje ze świrami. Nie, żeby było coś złego w byciu świrem. Poznałam kilkoro i pewnie sama jestem świruską, nie wiem. A może wiem. W każdym razie nie pozwalałam, żeby świr zaszkodził mojej domyślnej zjawiskowości w takim stopniu, że będę potrzebowała terapii. Ale nie zmienia to faktu, że Mernich jest moją drogą do wydostania się z tego miejsca. Będzie mnie tu trzymała, aż się upewni, że z moją głową wszystko w porządku. Co jest stratą czasu, bo przecież jestem diamentową fortecą nieprzeniknionego intelektu i powalającego seksapilu.

Odchrząkuje.

– Isis, znów...

– Pewnego dnia przestanę głośno myśleć, i to będzie smutny dzień w dziejach ludzkości. A już na pewno cichszy.

Wzdycha ciężko.

– Jak się dziś czujesz?

– Pewne elementy mojego jestestwa doznają wielu uczuć. Na przykład jelita. Co oznacza, że będę musiała odwiedzić toaletę. Jakoś tak w ciągu najbliższej godziny. Poza tą radosną perspektywą martwię się nieco o nadwątlone finanse mamy oraz jej najnowszą traumę, więc gdyby mogła pani szepnąć komu trzeba, żeby mnie stąd wypuścili, byłabym zobowiązana.

– Co mówiłyśmy o zbaczaniu z tematu za pomocą nonszalanckich żarcików?

Kulę się w fotelu.

– Że to raczej niewskazane. Chyba.

– A czemu tak stwierdziłyśmy? – dopytuje cierpliwie i gryzmoli coś w notesie.

– Bo się z niczym nie konfrontuję, tylko unikam tematu.

– Właśnie.

– Ale, żebyśmy były precyzyjne, uciekam jak gwiazda *Słonecznego patrolu*, nie klasowy pulpet na WF-ie. Oczywiście jestem pulpetem, ale uwodzicielskim, rozumie pani?

– Naprawdę myślisz, że jesteś otyła?

W tym rzecz. Waga mówi, że już jakiś czas temu schudłam trzydzieści osiem i pół kilo, ale nigdy się do tej świadomości nie przyzwyczaiłam. Wciąż łapię się na obawach, że się nie zmieszczę na krześle, na zamartwianiu się, ile miejsca gdzieś zajmę oraz że ludzie to zobaczą, wyśmieją i osądzą mnie z tego powodu. Nadal dostaję ze stresu pokrzywki, gdy mam włożyć kostium kąpielowy. Nawet śliczna bluzka, którą dostałam od macochy, mnie zestresowała.

„Jesteś piękna”.

Te słowa odbijają mi się echem w pamięci, ale nie mogę ich zatrzymać, żeby im się przyjrzeć. Kto to powiedział? I kiedy? Próbuję się skupić na czymś innym.

– Pewnie. Jestem duża – odpowiadam. – I nikt mnie nie kocha. Ale to wiadomo.

Oczy jej rozbłyskują. Oczywiście, że już to wie, od dwóch tygodni rozmawiamy o moim życiu. To znaczy – przez dobry tydzień grałam na zwłokę, zwodziłam ją żartami i kłamstwami, ale potem zdałam sobie sprawę, że to od niej zależy, czy stąd wyjdę. Wtedy musiałam zacząć współpracować jak dorosły człowiek i Zacząć Mówić Prawdę™. Ech.

– Wie pani już o mnie wszystko, prawda? – Przechylam głowę.
– No pliz! Czemu nie może mnie pani wypuścić z tej – *pardon my French* – gównianej dziury?

Poprawia okulary.

– Obawiam się, że nie mogę. Są kwestie, którym musimy się bliżej przyjrzeć. Jesteś coraz bliżej, ale jeszcze nie u celu.

Jest bardzo zadowolona z siebie. Zdradza to jej usatysfakcjonowany uśmiezek oraz dyplomy na ścianach i nagrody.

– Podoba się to pani, że wie pani o ludziach różne rzeczy. Czuje pani władzę.

Doktor Mernich podnosi wzrok znad notatek i wyczuwam, że w jej aurze pojawił się element szoku.

– Słucham?

– Lubi. Pani. Pożywkę. Dla. Ego. Którą. Daje. Pani. Bycie. Terapeutką – informuję powoli. – I proszę tak na mnie nie patrzeć! Przecież ja pani nie oceniam! Rozumiem to! Ja też widzę w ludziach różne rzeczy i też lubię wiedzieć, że wiem. To dziwne.

Głupie. Ale wiedza jest narkotykiem. A poza tym jest fajna i daje przewagę. Może któregoś dnia też zacznę na tym zarabiać. Muszę się zastanowić, w końcu to już pora wybierania college'u i w ogóle.

Mernich nieruchomieje na całe cztery dziesiąte sekundy, ale potem wraca do bazgrolenia, jakby ją ktoś z powrotem podłączył do prądu. Robi to, kiedy powiem coś megainteresującego, co może rozłożyć na czynniki pierwsze. W związku z tym notuje dużo. Gdyż, całkiem obiektywnie, jestem szalenie interesującą osobą. I bardzo dobrze. W końcu ciężko nad tym pracuję, do jasnej cholery!

– Ale co to ja mówiłam? – Drapię się w brodę. – Ach, wiem. Że czuję się tu trochę uwięziona. I mam dość szpitali. Oraz żal mi Sophii. Wie pani, że ona nie ma rodziców? I że jej babcia zmarła? Czy to nie masakra? Masakrycznie masakryczna!

Pani Mernich kiwa głową.

– Jestem jej psychologiem. Ale to silna dziewczyna, mimo tragicznego losu.

– Czyżbym słyszała nutę protekcjonalności? Powiedziałam, że mi jej żal, a pani od razu przykleja łątki, że tragiczny los? Wow. To ciekawe. Wow.

Dostrzegam czającą się za jej okularami wściekłość, ale szybko się opamiętuje i przybiera ten co zwykle, obojętny wyraz twarzy. O tak, jest niezła. Ale nie lepsza ode mnie. I od Jacka.

Zamieram, przestaję nawet dyndać nogami pod krzesłem.

– Jack? – mruczę pod nosem. – O co chodzi?

Skąd miałabym wiedzieć, w czym on jest dobry? Spędziłam w jego towarzystwie jakieś trzydzieści sekund, zaraz, gdy się obudziłam, a on na mnie wrzeszczał.

– Co z Jackiem? – ciśnie pani Mernich.

– Ech, nie wiem. Po prostu... Wpadło mi to do głowy. Co jest dziwne. To znaczy większość rzeczy, które mi wpadają do głowy, jest dziwnych, na przykład kiedy pomyślałam o Shreku w bieliźnie Victoria's Secret. Ale to jest nawet lepsze niż Shrek's Secret.

Mernich odchyła się na fotelu.

– Co pamiętasz sprzed wypadku?

– Składałam podania do college'ów. Nuda.

– A wcześniej?

– Byłam w szkole. I... I krzyczałam. Na kogoś. Nie pamiętam, na kogo. Może na Kaylę. Albo na Wrena? Tak, chyba na Wrena.

– Dlaczego krzyczałaś?

Dłoń nagle zaczyna mnie szczypać i przypominam sobie nieprzyjemne doznanie ciała uderzającego o ciało.

– Spoliczkowałam kogoś. Krzyczałam i uderzyłam go. Wren musiał chyba zrobić coś głupiego. Albo nie wiem.

– Przedtem? Jakies ważniejsze wydarzenia?

– Impreza. Duża. W domu Avery. Na Halloween. Przebrałam się za Batmana. Albo nie. Za Batgirl?

– Kayla też poszła?

– Tak, w przebraniu syreny. Ona i jej chłopak, Jezu, jak on ma na imię? Nie pamiętam, ale wiem, że z deczka nim gardzę.

– Pogarda to bardzo dojmujące uczucie.

– Tak, ale życie też.

– Isis...

– Nie lubiłam go. A może coś w nim źle mi się kojarzyło. Nie wiem.

– Potrafisz przywołać jakies wydarzenia z tej imprezy?

Nagle odczuwam uderzenie w głowie i z bólu zaczyna mnie ćmić kręgosłup. Zaciskam powieki i trę oczy.

– Isis? Co pamiętasz?

Wraca twarz Leo, łypie na mnie od strony drzwi wejściowych. Czuję w ustach smak paniki. Nie dam rady ocalić mamy.

– Nie wiem! Rzeczy.

– Spróbuj przypomnieć sobie szczegóły. Piłaś coś? Tańczyłaś? Kto się jak przebrał?

– Wren był... Zielony. Link! Tak, był Linkiem z gry o Zeldzie. A ja piłam... Colę. Chyba. Z rumem. Tylko proszę nie mówić mamie. Żartujemy sobie z tego, co piję, ale ona nie wie, że naprawdę piję, bo nie chcę jej martwić. Tańczyłam i był tam ktoś...

Zrobi jej krzywdę. Już kogoś skrzywdził. Sopię. Skrzywdził Sopię? Nie, coś jest nie tak. Leo jej nie zna. W takim razie kto skrzywdził Sopię? Kijem do baseballu. Avery zaatakowała mnie kijem, a czyjaś ręka go złapała. Widzę dużą dłoń o chudych palcach, jak zaciska się na kiju i jej go odbiera. Właściciel głosu mówi coś cicho, bardzo rozbawiony, a Avery jest przerażona, nieruchomieje...

Ból odbija się od ścianek mojej czaszki jak płonąca piłka tenisowa.

– Szlag! – Łapię się za głowę i chowam między kolanami.

– Oddychaj głęboko – podpowiada łagodnie pani Mernich. – Świetnie ci idzie, nie wycofuj się teraz. Co się jeszcze stało?

Łóżko. Miękkie łóżko i czyjeś usta, szepczące moje imię.

Ból powraca, rozkwita w mózgu jak przeklęty kwiat. Nic nie widzę. Świat robi się czarny i dzwoni mi w uszach.

„Tak to jest, jak się komuś zaufa”.

„Brzydka”.

„Może cię pokocham, jeśli nie będziesz się ruszała”.

Mernich coś mówi, ale jej nie słyszę. Wszystko mnie boli.

Boli i chcę, żeby przestało.

„Masz jaja. Lubię to”.

„Będzie zajebicie, jak nikomu nie zaufasz do końca życia!”

„Nie umawiam się z brzydkimi dziewczynami”.

„Brzydka”.

„Brzydka”.

– Isis! Spójrz na mnie! – Podnoszę wzrok. Mernich jest blada. – Już dobrze. Nie zmuszaj się. Przepraszam. Oddychaj. Wdech i wydech. Świetnie. Powoli. Usiądź.

Prostuję się i wtedy zdaję sobie sprawę, że ręce mi się trzęsą. Cała dygoczę jak liść na wietrze.

– Dlaczego? – mruczę. – Dlaczego nie pamiętam, co się stało?

Pani Mernich znów sięga po notatnik i długopis.

– Żeby się dowiedzieć, musimy wrócić do początku.

– Jakiego początku, biblijnego? Do Genesis? Bo osobiście kieruję się w życiu trzema zasadami, mającymi mi zapewnić szczęśliwe i spokojne istnienie. „Nigdy nie podróżować w czasie, nigdy!”, jest jedną z nich. Sama pani wie. Dinozaury zabijały. I dżuma też. A umówmy się, biorąc pod uwagę gigantyczne pokłady mojego niezmiernego wdzięku, zostałabym spalona na stosie jako czarownica.

Doktor Mernich chichocze.

– Nie, nie aż tak daleko. Ale chciałabym, żebyś mi opowiedziała swoją historię. Prawdziwą. Tę o Willu.

Wzdrygam się, a skóra mi cierpnie na sam dźwięk jego imienia.

– Wolałabym podpalić sobie język niż o nim mówić.

– Wiem. Ale myślę, że najwyższy czas przestać uciekać. Chyba sama wiesz.

Nienawidzę jej. Nienawidzę jej z całych sił. To przez nią nie

mogę stąd wyjść. I z każdym dniem podwyższam rachunek za szpital. Przez nią mama się martwi. Ale wiem, że naprawdę chce się dowiedzieć wszystkiego o Bezimiennym. Jeśli jej opowiem, może mnie wypuści. Jak dotąd nic innego nie zadziało. Warto spróbować, nawet jeśli ta próba wyrwie mi wnętrzności i porzuci na poboczu, żebym się wykrwawiła.

– Od początku? – pytam cicho.

– Tak. – Kiwa głową.

Wciągam powietrze, a potem powoli wypuszczam. Na zewnątrz ćwierka ptak. O niczym tak nie marzę jak o jego wolności.

– W piątej klasie zabijałam się w jednym chłopaku. To był mój pierwszy błąd. Nie był jakoś wyjątkowo atrakcyjny. Raczej cichy, czasem opryskliwy, ale miał bardzo ładne włosy, ciemne i jedwabiste. Wszystkie nauczycielki się nimi zachwyciły. Napisałam do niego miłosny liścik o treści: „Podobają mi się twoje włosy”, a on się w niego wysmarkał i oddał mi na przerwie. W tych smarkach powinnam dostrzec widmo kłopotów, ale byłam zbyt zachwycona. Zwrócił na mnie uwagę! Na mnie, tłuściocha z szopą potarganych włosów i wiecznie cuchnącego potem. Nie olał mnie, nie wepchnął w kałużę błota ani nie nazwał wielorybem, po prostu wytarł nos w moją deklarację miłości i oddał mi. Był to najbardziej obiecujący kontakt towarzyski, jaki nawiązałam w ciągu dziesięciu lat życia na tej planecie. Tak się zaczęła matnia, w którą wpadłam. Żeby zwrócić na siebie jego uwagę, robiłam wszystko, z wyjątkiem popełniania przestępstw. Chociaż przestępstwa też popełniałam. Po pasie awaryjnym autostrady jechałam na rowerze pod jego dom, żeby gapić się przez okno, jak grał w gry. Ale potem się dowiedziałam, że tak nie wolno! W ogóle nie można jeździć rowerem po autostradzie.

Więc zaczęłam jeździć autobusem, żeby gapić się przez okno, jak grał w gry. Tak wyglądały najlepsze lata mojego dzieciństwa, które w ogóle nie były dobre. Rodzice się rozwodzili, z czym wiązało się mnóstwo krzyków, wydatków i poczucia winy. Ciocia Beth zaproponowała, że weźmie mnie do siebie na kilka miesięcy, żebym nie musiała zmieniać szkoły, i w efekcie zostałam tam na pięć lat, ale ciocia w ogóle nie miała z tym problemu. Prawie co wieczór jadłyśmy na kolację grillowany ser i pozwalała mi oglądać filmy dla dorosłych. Generalnie było tak, jakbym umarła i trafiła do nieba, a żadne z moich rodziców ani trochę się mną nie przejmowało, nie licząc mamy, która, gdy przycisnęło ją poczucie winy, przysyłała mi masę designerskich skarpetek. Kocham ją, ale skarpetki? Jezu... No, ale moi rozkoszni dawcy genów przez sześćdziesiąt miesięcy debatowali, do kogo należy który wazon, a ja żyłam pełnią życia. To znaczy tak naprawdę jeszcze wtedy nie rzucałam się tak w oczy, ale rozumie pani, do czego piję. Zdarzały się sytuacje. Raz jedna panna przejechała mnie skuterem. Pamięta pani skutery? Ja pamiętam. I moja kość piszczelowa też. A inna dziewczynka podarowała mi żabę! Aż tak mnie lubiła. Znalazłam ją w mojej szafce w szatni! Miałam masę przyjaciół, a mówiąc masę, mam na myśli wszystkich, którzy się w bibliotece przeciskali obok mojego gigantycznego cielska, żeby sięgnąć do wybranych książek.

– Co robiłaś w bibliotece?

– Chowałam się. Zaczytywałam się w Jane Austen i płakałam. To było przełomowe doświadczenie. – Mernich kiwa głową, dając znak, żebym mówiła dalej. Robi to. Zmusza mnie do wytoczenia największych dział. Wzdycham. – No dobrze. Koniec czajenia się. Rozmawiałam z... Bezimiennym. Mogę tak mówić, prawda?

– Jeśli to ci pomaga, oczywiście.

Oddycham głęboko.

– Szpiegowałam go przez większość gimnazjum, ale pierwszy raz zamieniliśmy kilka słów na plażowej imprezie Jenny Monroe w siódmej klasie. Dziewczyny były ubrane w pastelowe tankini i pływały, a ja miałam na sobie dwie bluzy od dresu, legginsy i siedziałam z mamą Jenny. Nie rozumiałam, dlaczego Jenna Monroe w ogóle mnie zaprosiła. Składała się wyłącznie z nóg, brązowych kucyków i pisaków z brokatem, całkowite przeciwieństwo moich fałd tłuszczu i nudnych ołówków. Kiedyś się przyjaźniłyśmy, na etapie, gdy jeszcze robiłyśmy kupę w majtki i uczono nas, że mamy jej potem nie zjadać, ale biorąc pod uwagę, z jakim entuzjazmem wołała mnie do siebie jej mama, kiedy przyszłam, zaczęłam podejrzewać, że Jenna nie miała nic wspólnego z tym zaproszeniem. No dobra, więc tkwiłam po pas w żywiolenie, który w ogóle nie był mój. Dziewczyny chichotały, chlapały sobie wodą na cycki i wszędzie byli chłopcy! I się na nie gapili. Bezimienny też był, więc schowałam się za puszkami z zimnym pićm, które stały na stoliku, i starałam się wyglądać, jakby mnie tam w ogóle nie było. Chociaż jak się waży dziewięćdziesiąt kilo, niewidzialność jest nieco trudniejsza do osiągnięcia niż przeciętnie. Wszyscy mnie widzieli. Bezimienny też. Nasza wymiana spojrzeń trwała jakieś dwie sekundy, a potem odwrócił wzrok. A ja myślałam, że umrę. Wie pani, jak się jest grubym i ludzie na ciebie patrzą, to człowiek myśli, że zaraz umrze. – Podnoszę wzrok i widzę, że oczy pani Mernich się zasnuwają leciutką mgłą. Jest chuda jak patyk. Pewnie była taka przez całe życie. Nie ma pojęcia, o czym mówię. Na żadnych studiach tego człowieka nie uczą. Wybucham śmiechem. – Wie pani co? Chrzanić to. Po prostu przejdę do części, na której

pani zależy. Do tego, co wszyscy chcą wiedzieć. Nie obchodzi ich jak ani dlaczego, ale chcą dostać żywe mięso, żeby móc jak najszybciej powiedzieć: „Ojej, przykro mi” albo zabrać się do szukania rozwiązań.

– Nie o to chodzi...

– Nie, nie ma sprawy. W porządku. Pewnie tak będzie lepiej. Dzięki temu nie będę musiała wywalić przed panią całej tej obrzydliwej historii, żeby się pani musiała w niej babrać. Oszczędzę pani czas! Na pewno jest pani zajęta i ma mnóstwo świrów do obskoczenia, a ja jestem zdeklarowaną orędowniczką zdrowego rozsądku i nietracenia czasu. Właśnie. No więc tak. Tamtego dnia padało. Byłam u niego w domu. Na zewnątrz kumkały żaby, bo mieszkał niedaleko bagien. Taka jest Floryda. Same bagna. Bagna i złamasy. Jego mama uprzyła nam popcorn. Miałam tłuste ręce. I on też. Chodziliśmy z sobą od dwóch miesięcy, ale nie pozwalał mi nikomu o tym mówić, a gdy w szkole próbowałam z nim porozmawiać, olewał mnie, śmiał się ze mnie i kazał mi się odpieprzyć. Ale potem przeproszał. Jak byliśmy sami, robiło się miło. Milej. Poniekąd. Miałam czternaście lat. Czternaście, tak? Miałam czternaście lat i myślałam, że jestem zakochana i zrobiłabym wszystko, żeby mnie nie zostawił... – Czuję, że w gardle rośnie mi klucha, ale przełykam ją i zaciskam dłonie na podłokietnikach. – Wie pani, jak to jest? Nie chceć stracić następnego kogoś? Wszyscy inni odeszli. Znaczący mama i tata. Nie chciałam, żeby i on odszedł. Gdyby mnie zostawił, nie przeżyłabym. Był jedyną normalną rzeczą w moim życiu. Przy nim czułam się... Jak się do mnie uśmiechał, czułam się ładna. To pani rozumie? Człowiek czuje się spasiony i obrzydliwy, aż tu nagle znajduje kogoś, przy kim czuje się ładny? Wie pani, na co się jest gotowym, żeby tę osobę

zatrzymać? Zrobi się wszystko. Wszystko na świecie z wyjątkiem zabicia się. A może nawet i to, gdyby poprosił.

Patrzy teraz łagodniej. Ale już jej nie ufam. Tego chciała. I to dostaje. Długopis szaleńczo miota się po kartce, nawet gdy otwiera usta, żeby się do mnie odezwać.

– Przepraszam cię. Nie chciałam wypaść tak bezdusznie. Ale jest dobrze. Mówisz to wszystko na głos, chociaż mnie nienawidzisz, że to z ciebie wyciągam. Ale jest dobrze. To ci pomoże.

– Jasne. Wszystko jedno.

Trzęsę się. Cała dygoczę ze złości, której nie umiem wyrazić. Ale nie jestem zła jedynie na jej dziką ciekawość. Nie tylko na nią się wściekam. Gniew jest skierowany także gdzie indziej. Na Bezimiennego, że mnie skrzywdził. Na rodziców, że mnie zostawili. I na mnie samą, że pozwoliłam to wszystko sobie zrobić.

Mernich siada prosto.

– Na tym poprzestaniemy.

Wstaje, podchodzi do biurka, rozgląda się i sięga po znajomy żółty bloczek.

– Co pani robi? – dopytuję.

– Daję ci wypiskę.

– Nie będzie mnie już pani dręczyć? Nie każe mi pani tu wrócić i dokończyć? Sama pani mówiła, że muszę się z tym skonfrontować, a nie uciekać.

– To nie jest ucieczka – mówi spokojnie, a potem odrywa kartkę i mi podaje. – Pracuję jako psycholog od piętnastu lat. Są ludzie, którzy mnie potrzebują. Chcą, żeby wysłuchał ich ktoś całkiem obcy. Ale jako twoja lekarka nie mogłabym namawiać cię do dokończenia tej opowieści, nie z czystym sumieniem. To nie ja

powinnam tego wysłuchać. To rola kogo innego, twojej mamy, taty, może Kayli albo Sophii. A może kogoś, kogo jeszcze nie poznałaś. Jedno z nich da ci wystarczające poczucie bezpieczeństwa, żebyś mogła to zrobić. Jedno z nich sama wybierzesz. Ale będzie to zależało od ciebie.

Wstaję i niepewnie biorę od niej żółty papierek, jakby to była jakaś pułapka. Ale ona tylko się uśmiecha.

– Nie spytasz o swoją diagnozę?

– Jestem stuknięta.

– Ani trochę. Wiesz, co to jest dysocjacja?

– Coś, co mają stuknięci ludzie.

Uśmiech lekarki jest pełen cierpliwości.

– Zdarza się to, gdy ktoś doznaje traumy. Wyobraź to sobie jako funkcję obronną mózgu. Powiedzmy, że ktoś rzuca śnieżką i wiesz, że trafi cię w oko. Twoje powieki reagują natychmiast, żeby ochronić rogówkę. Dysocjacja to właśnie taka powieka dla mózgu. Traumatyczne wydarzenie sprawia, że mózg się od niego separuje. Czasem manifestuje się to w postaci szoku, który szybko mija. Innym razem pojawiają się intensywniejsze reakcje, takie jak wyparcie, zespół stresu pourazowego lub w twoim przypadku... – Podnosi na mnie wzrok, a ja jestem przerażona, jakie słowa padną z jej ust. – Dziury w pamięci.

– Co? – jęczę. – Ja nie...

– Mierzysz się z chwilowymi, bolesnymi zanikami pamięci, gdy próbujesz przywołać pewną konkretną osobę. Twój mózg uznał ją za źródło zbyt wielkich emocji, a może i bólu. Nazywa się to amnezją wysepkową. Bardzo wyspecjalizowana i rzadka przypadłość.

– Straciłam mózg? Część wspomnień? Całkowicie je zapomniałam?

– Nie zapomniałaś ich, mózg nigdy naprawdę nie zapomina. Według mnie wspomnienia są na miejscu, tylko zagrzebane. Odzyskanie ich może potrwać wiele miesięcy. A możliwe, że już nigdy ich nie odzyskasz.

– Kim jest ta osoba? Ta, którą zapomniałam?

– Zastanów się. Co ci mówili przyjaciele? Zachowują się wobec ciebie inaczej, gdy w grę wchodzi jakaś konkretna postać?

Dociera to do mnie powoli: tygodnie dziwnych spojrzeń Kayli, westchnienia Wrena, Sophia kręcąca głową i mówiąca, że to smutne. A potem nagle zniekształcona twarz Jacka, gdy się obudziłam i powiedziałam, że go nie znam. Szeroko otwartymi oczami wpatruję się w beznamiętną twarz doktor Mernich.

– Jack. Ten chłopak. Wszystko, co o nim mówią, nie ma sensu. Ale czemu mam tę amnezję wysypkową czy jak jej tam? Wiem, że oberwałam w głowę, ale...

– Doznałaś poważnego urazu. Według mnie amnezja jest wypadkową tego oraz dysocjacji związanej z byłym partnerem matki.

– Czy Jack... Skąd go znam?

– Spytaj Sophię. Chociaż... Z tym papierkiem możesz od razu wyjść ze szpitala, prawda? Bardzo ci się spieszyło.

Patrzę na wymiętą żółtą karteczkę i zgniatam ją w dłoni.

– To może poczekać.

Mernich się uśmiecha.

– Tak. Może poczekać.

Rozdział 2

3 lata, 25 tygodni, 5 dni

Kompletnie nie wiem, co myśleć. Znałam Jacka. Znam Jacka. Ten wyszczekany koleś z twarzą jak z reklamy bielizny mnie zna.

Jeszcze niedawno, przed tą irytującą konstatacją, był po prostu chłopakiem, któremu wiele zawdzięczałam. Ale teraz stał się chłopakiem, którego znam! Znam jakichś chłopaków! Którzy nie są pociesznymi Wrenami! Czemu nikt mi nie powiedział? Przecież nie znienawidziłabym nikogo za kilka słów prawdy. Przeciwnie, jestem wielką zwolenniczką mówienia prawdy przez wszystkich mieszkańców planety! To by znacząco poprawiło komunikację międzyludzką i sprawiło, że ogólnie będzie mniej kijowo!

Sophie zastaję w świetlicy, czyta romans. Czyjeś wezbrane piersi na okładce wytrącają mnie z misji na jakieś dwie dziesiąte sekundy, ale potem przypominam sobie, że mam lepsze cycki, więc walę obiema pięściami w blat stolika.

– Sophie! Sofko! Sofoklesie!

Spokojnie podnosi na mnie wzrok i wkłada zakładkę między stronice.

– Słucham panią?

– Nie chcę być niegrzeczna ani wchodzić w zbyt gwałtowne konfrontacje, ale czemu, do jasnej cholery, nie powiedziałaś mi,

że mam amnezję?!

Aż ją zatyka.

– Ty masz amnezję?

– Sopolku, no! – łkam.

Sophia wstaje, wkłada książkę pod pachę, a mnie oferuje drugie ramię.

– Oj przestań. Żartowałam. Chodź, przejdziemy się.

Rozważam, na ile skuteczny byłby nieprzerwany wrzask, aż zrobi to, o co proszę, ale stwierdzam, że jednak niespecjalnie, więc biorę ją pod rękę. Prowadzi mnie białymi, aż zbyt sterylnymi korytarzami. Lawirujemy wśród lekarzy i noszy. Z wózka inwalidzkiego macha do nas starsza kobieta, a Sophia odwzajemnia powitanie.

– Dzień dobry! Jak się pani czuje?

– Dobrze, kochanie. A ty? Słyszałam, że wkrótce będziesz miała operację? Doktor Fenwall jest jak najlepszej myśli!

– Och, wie pani, jaki on jest. – Sophia uśmiecha się szerzej. – On zawsze jest dobrej myśli. Ja się na nic nie nastawiam.

– Nie mów tak, skarbie! Jestem przekonana, że wszystko się uda, wkrótce wyjdiesz ze szpitala i zaczniesz chodzić na randki z tym twoim czarującym chłopcem.

Sophia się śmieje, ale gdy znikamy za rogiem, uśmiech natychmiast znika jej z twarzy. Wygląda jak kwiat ścięty pierwszym przymrozkiem.

– No co, wydawała się miła – próbuję ją rozchmurzyć. – Umierająca, ale miła.

– Wszyscy umieramy – stwierdza Sophia. – Po prostu niektórzy trochę szybciej.

Czuję się zdyscyplinowana i rozglądam się wokół, byle na nią nie patrzeć.

– Powinni to miejsce jakoś odświeżyć. Nie wiem, może namalować serduszka na ścianach. Albo szczeniaki. Wszędzie szczeniaczki. Szczeniackowy raj. W skrócie „szczaj”.

Nie odpowiada, tylko wieździe mnie na schody. Moźe to juź koniec. Przestanie być moją przyjaciółką. Moźe nienawidzi szczeniacków. I serduszek na ścianach! Moźe moja niewyparzona gęba w końcu mnie wpakowała w kłopoty. Nie mam jak stąd uciec, chyba że zeskoczyłabym z poręczy, na sam dół...

– Isis, co ty gadasz!

Patrzę na nią.

– Znów głośno myślałam? *Mea culpa*.

Sophia otwiera drzwi na szczycie schodów i oślepia mnie słońce. Wskazuje, że mam przez nie przejść. Wypadam na dach, a ciepkie zimowe powietrze szczypie mnie w twarz. Widać stąd prawie całe Northplains, umoszczone w skalistej dolinie poniżej. W koronach drzew szaleją drozdy, a spore ich stadko siedzi na dachu i dziobie coś bez sensu. Są takie spokojne. Takie małe. Takie radosne.

– Łaaaaa! – wrzeszczę i szarżuję na nie. Zrywają się z wściekłym piskiem i na ułamek sekundy ogłusza mnie ich krzyk.

– To kara za to, że jesteście tak cholernie rozkoszne!

Obok staje Sophia, a wiatr się zabawia jej platynowymi włosami.

– Tutaj przychodzę, kiedy jestem smutna albo czuję się samotna.

– Super! – wrzeszczę trochę za blisko jej ucha, więc zaraz się poprawiam i szeptem powtarzam: – Super.

– Cieszę się, że ci się podoba. Nigdy tu nikogo nie przyprowadziłam. No, z wyjątkiem Jacka. Jemu pokazałam. I

Naomi wie, że tu bywam.

– Bo jest wścibska jest skurczybyk.

– Tak, bo jest wścibska jak skurczybyk – zgadza się Sophia. Siada na krawędzi dachu. Ostrożnie spoglądam w dół – jest wysoko, bardzo. Konkretnie tak wysoko, że jakby co, to śmierć na miejscu. Ale Sophia zupełnie się tym nie przejmuję. Spokojnie kopie piętami w mur.

Nie chcę, żeby się czuła wystawiona, więc siadam obok niej i niepewnie spuszczam nogi. Ona coś nuci. Słońce chyba będzie się zbierać. Wciąż jest jasne i okrągłe, ale wygląda na zmęczone i zaczyna się chylić ku zachodowi. Świat jest spokojny. Albo nie zwraca na nas uwagi. Chorzy żyją w innym świecie. Zwykły świat skupiony jest na życiu, a my na tym, żeby nie umrzeć. A siedzenie tutaj, dosłownie centymetry od śmierci? To trzeci wymiar. Granica, strefa przejściowa. Wszystko jest kruche i może się zmienić pod wpływem najłżejszego wiatru, pojedynczego, lekkiego pchnięcia.

– O czym myślisz? – pyta Sophia.

– To głębokie i intymne myśli. Bardzo głębokie. Jak co najmniej dwie piosenki indie razem wzięte.

Śmieje się i nuci dalej, trochę wyższym głosem. Drozdy ćwierkają do wtóru. A może się z niej śmieją.

– Co masz na ręce? – pyta, a ja odruchowo naciągam rękaw na dłoń.

– Nic.

– Gdyby to było nic, nie nosiłabyś wiecznie długich rękawów.

– Nic, naprawdę.

– Próbowłaś się zabić?

Zapada cisza. Nawet drozdy nie ćwierkają.

– Nie – odpowiadam w końcu. – Jestem stuknięta, nie głupia.

Cisza powraca, chce się zemścić. Na tym dachu spoczywa ciężar wszystkich możliwych światów, wystarczy, że siedzimy tu my.

– Uprawiałaś kiedyś seks? – pyta. Bez specjalnego powodu zaczynam się wiercić. Łapie mnie za rękę, a ja prawie krzyczę.

– Chcesz mnie zabić?!

– To tylko pytanie.

– Właśnie. A nie odpowiedź na moje palące wątpliwości na temat mojej amnezji i Jacka!

– A ja uprawiałam seks. – Skubie sukienkę. – Z Jackiem.

– Super! – Czuję, że ściska mnie w gardle, a gdzieś w głębi brzucha coś zaczyna gulgotać. Jestem zdumiona reakcją mojego ciała na jej słowa, więc zachowuję się przebiegle i udaję, że w ogóle mnie nie poruszyły. – To znaczy, dobrze dla ciebie, naprawdę! O to mi chodziło. Mam nadzieję, że było dobrze! W ogóle oboje jesteście dobrzy! Razem!

– Zazdrość do ciebie nie pasuje. – Sophia się śmieje.

– Zazdrość? Przegapiłaś odcinek, w którym się okazuje, że Jack jest jedną wielką czarną dziurą w moim mózgu, a nie żywym człowiekiem? – A potem pewna myśl uderza mnie z takim łomotem, jakby tuzin Godzilli tańczył break-dance na ruinach Tokio. – Czy ja... Czy...?

– Nie! Nie, nie! – zaprzecza Sophia. – Przepraszam, nie chciałam cię tak wkręcić. Nie sądzę. To znaczy, hm. Nie wiem na pewno, co się między wami wydarzyło, ale z tego, co słyszałam ostatnio, oddawaliście się brutalnej i egoistycznej przepychance. Bez seksu.

– Brzmi prawdopodobnie.

– Mówił, że nazywałaś to wojną. A czasem kruczają.

– Musiał zrobić coś naprawdę paskudnego, skoro odwołałam

się do terminologii średniowiecznej.

– Nie wątpię, że były między wami nieporozumienia – przyznaje. – On potrafi być chłodny. A nawet okrutny. A ty jesteś dokładnym przeciwieństwem jednego i drugiego. Ale nie robi tego specjalnie. Po prostu ignoruje uczucia innych na rzecz logiki i racjonalności.

– Ach. – Wywałam z obrzydzeniem język. – To jeden z tych.

– Szantażował cię.

– To typowe narzędzie wojenne.

– A ty włożyłaś lipną maryskę do jego szafki i prawie go wyrzucili.

– Ależ mi się udało!

– Pocałował cię.

Krew odpływa mi z twarzy i zbiera się gdzieś w okolicach stóp.

– Ach, nie, raczej nie...

– Ach, tak, raczej tak – poprawia. – Wiem od Avery. Właśnie, zapomniałam ci podziękować. Co prawda, odkąd tu jesteś, Jack nie przychodzi, ale za to Wren i Avery zaczęli mnie odwiedzać. Strasznie miło znów ich widywać. Minęło tyle lat! Mają wielkie poczucie winy.

– Czekaj, czekaj, zatrzymaj się na moment! – Podrywam się z krawędzi dachu. – Twierdzisz, że twój chłopak mnie pocałował?

– No nie wiem. A pocałował cię? – Przekrzywia głowę. – Ufam słowu Avery, nawet jeśli nigdy jej nie wybaczę. Ale twojej pamięci ufam bardziej. Powinnaś spróbować ją odzyskać. Wtedy obydwie poznałybyśmy prawdę.

– Jeśli mnie pocałował, powinnaś... Powinnaś z nim zerwać! To dupek! I nie rozmawiaj ze mną więcej! Ja jestem jeszcze większym dupkiem.

Sophia się śmieje, a potem też wstaje i kładzie mi rękę na

ramieniu.

– Nie szkodzi. Skąd miałaś wiedzieć, że on mnie ma? Byłaś nowa, a on o mnie nie mówi.

Nagle zaczyna mi pękać głowa, czuję eksplozję bólu w okolicy czoła. Stękam i masuję skronie, a wspomnienia zaczynają wracać: twarz Jacka łagodnieje, gdy mówi o Sophii. Pudełko po cygarach. List z jej podpisem. Wściekłość, że myszkowałam w jego rzeczach i chciałam dowiedzieć się czegoś o Sophii. Furia tak namacalna i lodowata, że czułam, jak wymraża mi płuca. Coś, co się stało, gdy byli w gimnazjum. Kij do baseballu. Pocałunek. Ktoś mnie całował (Jack?). Przez cały czas dzwoniąca mi w głowie wiedza, że on ma Sophię.

– Wszystko w porządku? – pyta Sophia cicho. Biorę ją za rękę i zaciskam jej kruche palce w dłoni.

– On mówił o tobie – oznajmiam. – Teraz pamiętam. Boże drogi, nie mówił dużo, ale jak już... Był strasznie nadopiekuńczy. Drażliwy. Musiał mieć pewność, że nikt ci nie zrobi krzywdy. Chciał... Koniecznie chciał zadbać o twoje bezpieczeństwo. Raz próbowałam przeczytać list od ciebie. Włamałam się do jego domu, żeby to zrobić, ale miałam dobre intencje, przysięgam. Trzyma te listy w komodzie, w pudełku po cygarach swojego ojca. Równiutko poskładane, widać, że są dla niego ważniejsze niż własne życie. Gdy mnie znalazł, jak jeden czytałam, wściekł się tak strasznie, że autentycznie myślałam, że mnie zabije. Zaatakował mnie pytaniem. A pytanie brzmiało, czy chcę zginąć szybko czy powoli. – Sophia się rumieni i wpatruje się w ziemię. – On cię kocha – stwierdzam powoli. – Nie wątp w to nigdy. Prawie go nie pamiętam, ale jest ułamek, który teraz sobie przypomniałam. I czuję w kościach, że cię kocha, nie mam cienia wątpliwości. Zwłaszcza że moje kości się nie mylą. Chyba że

mam grypę, wtedy są zajęte cierpieniem.

Sophia podnosi wzrok, a w jej ciemnoniebieskich oczach wzbierają łzy. To szlocha, to się śmieje.

– Przepraszam. Nie chciałam cię oskarżać. Ani nikogo. Po prostu... Jestem z nim od tak dawna, że już sama nie wiem. A odkąd się przeniosłaś do jego szkoły, te listy... – Przygląda się badawczo mojej twarzy, jakby czegoś w niej szukała. Potem kręci głową. – Wybacz. Już nieważne. Dziękuję.

I zanim udaje mi się dodać coś jeszcze głupszego, podchodzi do drzwi, zalicza po dwa schodki naraz i zostawia mnie samą z wiatrem i ptakami.

Spoglądam na swoje dłonie. Wspomnienia są bardzo wyraźne. Zapach jedzenia, które przygotował Jack. Twarz jego mamy, jej obrazy. Ich pies, Darth Vader. Pokój Jacka, zapach snu, chłopaka, miodu i mięty, tak dobrze znany, że od razu mnie uspokaja.

Uspokaja?

Krzywię się i wyrzucam tę śmieciową myśl do mentalnego kosza. Ten koleś jest złamasem! Całował mnie, mając dziewczynę! Mnie! Ja się przecież nie nadaję do całowania! A na pewno w porównaniu z kimś takim jak Sophia. Ma Sophię, a całował mnie, więc do tego, że jest złamasem, musi być jeszcze ślepym debilem. Dwa minusy, trzeci będzie dyskwalifikujący. Jeśli czegoś naprawdę nie lubię, to koleś, którzy wykorzystują zaufanie swoich dziewczyn, żeby robić brzydkie rzeczy z innymi.

Ja też schodzę po dwa schodki. Nigdzie nie widzę Sophii, więc ruszam z powrotem do mojego pokoju, a po drodze usiłuję się jakoś uporać z niegodziwością, o której się właśnie dowiedziałam. Ale tuż za rogiem bez żadnego powodu wraca do mnie zapach Jacka. Jestem wściekła i kręcę głową. O nie! Cokolwiek mnie z nim łączyło, już po wszystkim. Jak tylko

poznam wszystkie szczegóły, przeszłość trafi do zamkniętej skrytki, z której jej nigdy nie wyjmę. Sophia jest zbyt kochana. To moja przyjaciółka.

Ma już tylko Jacka.

– A poza tym ja go nawet nie lubię. I nie znam! Jak można lubić taką jednokomórkową mechaniczną pchłę?

– Jednokomórkowego kogo?

Podnoszę wzrok i widzę przy łóżku Wrena z jakimiś papierami w objęciach. Zielone oczy lśnią za okularami w rogowych oprawkach, a przyklapnięte zwykle włosy zwisają jeszcze smętniej. Zauważam go i rozkładam ręce, żeby do niego podbiec, ale okazuje się, że te papiery to zadania z matematyki, więc cofam się pod ścianę.

– Co to ma być?! – szepczę oskarżycielsko.

Mruga.

– Brakujące zadania na algebrę.

Syczę i wyginam plecy jak kot. Wren wzdycha i kładzie stos na stoliku nocnym, obok wazonu z przywiedłymi już słonecznikami, które dostałam od mamy.

– Musisz to zrobić, jeśli chcesz skończyć szkołę z nami.

– Hm, cóż, nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie jestem typem ślepo idącym za konwencjonalnym tłumem. Poza tym w naszym roczniku jest ze czterysta osób, a ja lubię trzy. Jesteś jedną z nich. Drugą jest Kayla. – Wren z ciekawością czeka, kto będzie trzeci. – No i Nożownik.

Wzdycha.

– Czyli nie doszłaś w pełni do siebie.

– A żebyś wiedział, że doszłam! I teraz mogę cię spytać: czemuś mi nie powiedział o Jacku?

Przez sekundę jego twarz wyraża tylko szok.

– Byłaś w ciężkim stanie. Jak mogłem ci powiedzieć, kiedy leżałaś w łóżku z wielkim, zakrwawionym bandażem na głowie? Cieszyłem się, że żyjesz. Wszyscy się cieszyliśmy.

– Tak, doceniam, że żyję i że mam się dobrze, ale przegapiłeś tę część, w której kocham swój mózg i chcę wiedzieć, co zawierał!

– Słuchaj, przepraszam. – Wren zdejmuje okulary i pociera oczy. – To moja wina. Stresują mnie dziewczyny w stanach psychicznych odbiegających od normy. Nie wiem, jak im pomóc, nigdy nie wiedziałem. Zawsze tylko pogarszam sytuację. A ponieważ w tym szpitalu jest też Sophia, byłem w lekkiej panice. Wybacz. Za bardzo zająłem się sobą i twoje sprawy wyleciały mi głowy. – Uśmiecha się przepraszająco i nie mogę się na niego gniewać. – Ty naprawdę... Nie powiedziałem ci, jak bardzo mi pomogłaś – kontynuuje. – Taka jest prawda. Zanim się tu przeniosłaś, przyjaźniłem się z ludźmi powierzchownie. Czułem się niezręcznie, gdy zaczynałem docierać do ich prawdziwej natury. I pasowało mi, że oni mnie też lubią powierzchownie. Ale ty... Przepraszam. Nie chciałem cię ranić. Więc ci nie powiedziałem. A powinienem był. Przepraszam.

Milknie, a potem lekko ode mnie obrywa. W ucho.

– Chodź tu, gówniarzu! – Łapię go za szyję i pięścią czochram mu włosy. – Myślisz, że jesteś taki super, bo się martwisz o wszystkich wkoło jak jakaś parchata matka kwoka, co? Zaraz ci pokażę...

– Uhm.

Zerkam w stronę drzwi. Stoi tam Sophia. Wren robi się błądy jak ściana i wyszarpuje się z mojego uścisku.

– S-Sophia – jąka się.

– Wren! – Uśmiecha się Sophia. – Miło cię widzieć. Tallie za tobą tęskni. I ja też. Ale Tallie bardziej.

Jego biała twarz nabiera zielonkawego odcienia.

– Byłem... zajęty.

– Zbyt zajęty, żeby zajrzeć do mnie i Tallie? – Sophia przekrzywia głowę. – Zbyt zajęty przez cztery długie lata? Jack i Avery ją odwiedzają, ale ty jakoś nie.

Napięcie sięga zenitu i nikt nie zwraca na mnie uwagi, więc muszę wkroczyć do akcji i zadać kilka koniecznych pytań.

– Kto to jest Tallie?

Wren nie patrzy ani na mnie, ani na Sophię, wbił wzrok w podłogę. Sophia nadal się uśmiecha.

– Nasza przyjaciółka. Ale nie przejmuj się. Przepraszam za najście. Zajrzę później.

Po jej wyjściu Wren wypuszcza powietrze, które przez cały ten czas trzymał w płucach.

– Myślałam, że gadaliście, skoro tu przychodzisz – stwierdzam.

– Co cię tak przeraziło?

– Raczej nie można tego nazwać gadaniem – szepcze Wren. – Ona tylko patrzy na mnie z drugiego końca korytarza i się uśmiecha. Ale nie rozmawialiśmy. To był pierwszy raz... od lat.

– Ta Tallie to ktoś ważny?

Wren zaciska usta, a ja wiem, że nic z niego nie wycisnę.

– Dobra, nieważne. Spoko. Ty masz swoje tajemnice, ja swoje. Nasze tajemnice powinny wziąć ślub i mieć dzieci.

Jest trochę zszokowany.

– Platonicznie – dodaję. – Całkowicie platoniczne rozmnażanie.

– Tak się nie da

– Wszystko się da!

Odwracam się, wskakuję do łóżka i wygładzam pościel, jak zrobiłaby dama, którą nieudolnie zgrywam. Wren wygląda, jakby toczyła się w nim wewnętrzna bitwa. Usta ma skrzywione, a

ramiona mu się trzęsą.

– Hej! Co z tobą?

– Mówiłem ci już, że miałem kamerę – wypala.

– Kamerę?

– Avery dała mi kamerę, tamtego wieczoru, w gimnazjum. Chciała mieć tę akcję nagraną.

Akcja. Pamiętam jak przez mgłę, ale gdy wypowiada to słowo, powraca fala obrazów: Jack z kijem baseballowym. Gimnazjum. Avery. Wren i Sophia tam byli. Dwóch facetów? Trzech? Avery powiedziała, że zatrudniła ich, żeby się odegrać na Sophii, bo była zazdrosna.

– Avery mnie zastraszyła. Nie. Ja się dałem zastraszyć – cedzi. – Schowaliśmy się w krzakach. To było nad jeziorem, nad Galonagah. W rezerwacie przyrody. Jej rodzice mają tam domek. Zaprosiła nas na imprezę, a potem zwabiła Jacka i Sophię do lasu, gdzie ci faceci czekali. – Serce dudni mi w uszach, a Wren zaciska dłoń. – Nagrałem wszystko. To było potworne. Powinienem był przestać. Odłożyć kamerę i ratować Sophię. Ale tego nie zrobiłem. Stchórzyłem. Zamurowało mnie. Mogłem się tylko wpatrywać w wyświetlacz i udawać, że to się nie dzieje naprawdę, że to film, a nie prawdziwe życie. – Cały dygocze. Wyskakuję z łóżka i obejmuję go.

– Hej, no już. Wszystko jest dobrze.

– Nie – odpala zdławionym głosem. – Nie jest dobrze. Jack ją uratował. Ja nie mogłem nic zrobić, ale on ją ocalił.

Masuję go po plecach.

– A co z tymi facetami? Co się z nimi stało?

Patrzy zaczerwienionymi oczami. Strach znów przejmuje kontrolę. Wraca do siebie, widzę to w jego rysach. Zmienia wyraz twarzy i pozycję, staje prosto, znów jest pewny siebie.

– Przepraszam – mówi stanowczo. – Miałem ciężki dzień. Muszę wracać do domu. Spróbuj zajrzeć do tej matmy, dobra? Napisz, jakbyś miała pytania.

– Wren, ja...

– Isis, nie. Ja wciąż... Ty dochodzisz do siebie. I ja też. Nie... Po prostu nie. Nie teraz.

Cofam się.

– Dobrze. Jedź do domu, żebyś dotarł przed zmrokiem. I pamiętaj o kolacji!

Uśmiecha się.

– Będę pamiętał.

Patrząc przez okno, jak odjeżdża ze szpitalnego parkingu. Po półgodzinie wysyłam mu esemesa: „Zjedz coś, ty durnoto”. W odpowiedzi przesyła emotikonka z grzanką z serem. To za mało, ale musi wystarczyć.

Po kolacji przychodzi mama. Grzebię właśnie w nasączonym krokodylim mięsie czy też potrawce z zadu Frankensteina zwanym kurczakiem, więc kiedy wkracza z torbą fast foodu, padam jej w ramiona i wyobrażam sobie, jak wokół nas opadają płatki róż.

– Kocham cię – mówię. – Naprawdę moja miłość do ciebie nigdy nie była tak wielka, jak w tej chwili. Nie licząc oczywiście tamtej, kiedy wypchnęłaś mnie na świat, rozdartą i pokrytą mazią.

Mama się śmieje. Płaszcz ma zimny od wieczornego powietrza, ręce też. Rozcieram je, żeby ją rozgrzać. Siada przy łóżku i w milczeniu jemy frytki i burgery, ciesząc się swoim milczeniem. O poważnych sprawach mówimy, gdy się dobrze pośmiejemy. W przestrzeń między nami a mrokiem trzeba upchnąć trochę normalności. W ten sposób zdobywa się moc, żeby mu stawić

czoło. Na tym etapie jesteśmy już ekspertkami od zebrania o siłę, żeby jakoś iść naprzód.

Macham świstkiem od doktor Mernich. Mama szeroko otwiera oczy i ociera usta serwetką.

– Jak ci się to udało?

– Zaszantażowałam kilku kongresmenów. Przekupiłam paru mafiosów. No wiesz, to, co zwykle.

– Isis!

– Dostałam od Mernich, jak inaczej? – Śmieję się. – Musisz to podpisać i zostawić pielęgniarkom. Będą mi pewnie musieli zrobić jakąś ostatnią tomografię i zdjąć bandaż.

– Bez tego nie wpuściłabym cię do domu – mówi mama stanowczo. – Dam im, jak będę wychodzić. Ale mnie zaskoczyłaś! Mernich mówiła, że będziesz gotowa dopiero w przyszłym tygodniu.

– Podbiłam jej serce urokiem osobistym oraz pałacami pełnymi pieniędzy i młodych chłopców. Głównie tymi chłopcami.

Ale mama prawie mnie nie słucha, skupia się na żółtej karteczce. Potem podnosi wzrok i z uśmiechem pyta:

– Jesteś gotowa na powrót do domu?

Widzę na jej twarzy ulgę. Kiedy tu przychodzi, rachunki za leczenie sterczą jej z torebki. Raz zajrzałam, kiedy poszła do toalety. Kwota jest absurdalna. Teraz przestanie się już tak martwić. Alleluja.

– Żartujesz? Jestem gotowa wpaść na podjazd ślizgiem brzuszny! Rozsmarować moją żalną egzystencję po dachu! Złać się ze ścianami! Przeszczepić sobie okna na pośladek!

Mama taktownie ignoruje moje teatralne występy i skubie pikle. Ale znam ten wyraz jej oczu. Martwi się.

– Coś nie tak? – pytam.

– Proces. – Przełyka ślinę. – W ten piątek rozprawa Leo.

– Mówiłaś. – Kiwam głową. – Będę z tobą, tak? Gdybym mogła zeznawać, gdyby twoja prawniczka mi pozwoliła...

– Pamiętasz, co powiedziała. – Mama kręci głową. – Jego obrońca by twierdził, że z powodu urazu głowy twoje zeznania są niedopuszczalne.

Prycham pogardliwie i zaczynam popijać napój.

– A co z Jackiem?

Mama wygląda na zdziwioną.

– Z Jackiem? Jak to co z nim?

– Będzie zeznawał?

– Nie jestem pewna. Wcześniej o nim nie mówiłaś. Czemu nagle zaczęłaś?

– Pamiętam go. Przypomniałam sobie na sesji.

– Wspaniale! – Mama się uśmiecha.

– Czemu mi nie powiedziałaś, że o nim zapomniałam?

– Chciałam, ale doktor Mernich poradziła, żebym tego nie robiła. Chciała, żebyś sobie sama przypomniała. Powiedziała, że tak będzie zdrowiej.

– Wcale nie! Nie wiedziałam, co myśleć!

– Chciałam ci powiedzieć, naprawdę – przekonuje mama. – Ale bardzo się o ciebie bałam. Robiłam wszystko, co mówili lekarze, żeby nic nie zepsuć. Nie chciałam ryzykować. – Milczę, a mam wzdycha. – To bardzo miły chłopiec, wiesz?

– Nie, nie wiem, mamo.

Mówię to ostrzej niż zamierzałam. Mama się wzdryga. Pożeram frytkę i wzdycham.

– Przepraszam. Ale to był strasznie dziwny dzień.

Wstaje i całuje mnie w głowę.

– Wiem, skarbie. Spróbuj trochę odpocząć. Na stole kładę twoje ubrania...

– Prawdziwe ciuchy! – krzyczę na widok torby. Wystają z niej sznurówki moich trampek i czuję, że nigdy nie byłam tak szczęśliwa na widok sznurowadła.

– Pamiętaj: jutro wracasz, będziesz w domu i zajmę się tobą. Boże, Isis, tak się cieszę, że wracasz.

– Ja też.

Mama wychodzi, za kilka godzin po raz ostatni przed nocą zagląda Naomi. Skubię ostatnią frytkę i włączam jakieś głupie kreskówki, żeby mnie ukołysały do snu.

– Podobno wychodzisz – rzuca Naomi.

– No.

Unosi brew.

– I co, żadnych salt? Żadnych okrzyków radości? – Podchodzi do łóżka i dotyka mojego czoła. – Dobrze się czujesz?

– Wszyscy mnie okłamali.

– Tak? A niby po co?

– Ty też kłamałaś.

– Co to, to nie! – Jest wyraźnie urażona.

– Mogłaś mi powiedzieć, że mam amnezję.

– To jest psychologiczna działka doktora Fenwalla i doktor Mernich. Uprzedzili mnie, ale zabronili mówić tobie. To moi szefowie. Mogliby mnie wyrzucić z pracy, gdybym ci powiedziała.

– Aha. – Marszczę czoło. – Przepraszam.

Przysiada się do mnie na łóżku i zgarnia okruchy hamburgera.

– Jak myślisz, czemu inni to przed tobą ukrywali?

– Bo lubili patrzeć, jak się miotam.

– Bzdura! Chcieli cię chronić. I zależało im, żebyś doszła do

siebie.

– Nawet Sophia wiedziała.

– A to nic dziwnego, ta dziewczyna wie wszystko. Czasem mi się wydaje, że umie czytać w duszach. – Naomi przeszywa dreszcz, chociaż w pokoju nie jest zimno. – Obiecuj mi, że nie zakradniesz się dzisiaj na oddział dziecięcy.

– Ale... Muszę się pożegnać.

– Zaprowadzę cię rano. Daj słowo.

– Słowo.

– Konkretniej.

Prycham.

– Daję słowo, że nie będę się dziś wspinać po ścianie i przelazić przez chwiejny parapet, żeby się dostać na oddział dziecięcy.

– Grzeczna dziewczyna!

Poprawia mój wenflon i klika coś na monitorze. Zagląda do mojej karty, a potem zasłania żaluzje i gasi światło.

– Dobranoc, Isis.

– Dobranoc.

Szpitalne łóżko jest dość wygodne, ale na dłuższą metę wygoda robi się upierdliwa. Człowiek czuje się bezużyteczny i rozleniwiony. Ale wychodzę stąd. Jutro mój ostatni dzień. Prawdziwy świat już czeka. I moje wspomnienia też.

Rozdział 3

Ganek przed domem Isis jest ciągle zdezelowany.

Wietrzne dzwonki nucą coś żałośnie. W środku jest jasno, kwadraty ciepłego światła odcinają się na tle mroku. Wyciągam kluczyki ze stacyjki i sięgam na tylne siedzenie po jeszcze ciepłe lasagne. Pani Blake przystroiła drzwi wejściowe wieńcem bożonarodzeniowym i zawiesiła sznurek białych światełek. Przyglądam włosy i dwa razy pukam. Szybki po obu stronach drzwi, które ten złamas potłukł, zostały już wymienione, ale na ich widok znów ściska mnie w gardle.

Otwiera pani Blake, ubrana w sweter i legginsy. Wygląda na znacznie szczęśliwszą niż w czasie moich poprzednich wizyt i ma przytomniejsze oczy.

– Jack! – Otwiera drzwi. – Chodź szybko, bo zamarzniesz.

Wchodzę do ciepłego wnętrza, a ona odwiesza moją kurtkę i zachwyca się moim podarunkiem.

– Sam ją zrobiłeś? Pachnie pysznie! Musiało ci to zająć strasznie dużo czasu!

– To nie takie skomplikowane. Trochę mięsa i sosu.

– A tam! Nigdy w życiu nie zrobiłam dobrego lasagne. Bardzo ci dziękuję.

– Proszę jeść, póki ciepłe.

Śmieje się.

– Pewnie! Chodź do kuchni. Chcesz kawałek?

Ignoruję burczenie w brzuchu.

– Już jadłem.

– No to napij się przynajmniej soku. A może coś gazowanego? Wiem, mogę cię zrobić ajerkoniak na ciepło!

– Wystarczy woda.

Cmoka, a ja dobrze znam ten dźwięk. Isis robi to samo, kiedy jest czymś rozczarowana. Pani Blake nalewa wody do szklanki i podsuwa mi, a sama zabiera się do jedzenia. Siedzimy przy stole, więc patrzę, jak zajada. Nadgarstki ma jeszcze chudsze niż ostatnio.

– Czy pani w ogóle coś je? – pytam cicho.

Wzrusza ramionami.

– Ach, wiesz, jak jest. Ostatnio w muzeum jest mnóstwo pracy. Nie gotuję tak często, jak powinnam.

– Zapomina pani.

Uśmiecha się potulnie.

– No tak. Isis jest w tym świetna, zawsze robi mi lunch i wkłada do samochodu, żebym rano nie zapomniała wziąć.

Wkłada do ust kolejny kęs, a oczy jej się rozpromieniają.

– Jesteś naprawdę świetnym kucharzem. Pyszne! Dziękuję.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– O nie, nie. W ogóle nie musisz tego robić. Odwiedziny, jedzenie, wszystko. Jestem... Nawet nie wiesz, jaka ci jestem wdzięczna. Tak bardzo nam pomogłeś.

Pod stołem zaciskam pięści.

– W ogóle nie pomogłem.

– Gdyby nie ty... – Milknie i głęboko wciąga powietrze, jakby to, co zaraz powie, wymagało więcej tlenu, więcej siły. – Bez ciebie Leo by...

– Nic nie zrobiłem. Nie zdążyłem pomóc Isis – rzucam. –

Została ranna, bo przyjechałem za późno. Zawaliłem.

Ostatnie słowo odbija się echem w prawie pustej kuchni z przyćmionym światłem.

– Ona nie... Jack, nie! To w ogóle nie tak.

Tak. Właśnie tak. To moja kara. A ja ją przyjmę. Od dawna wiedziałem, że przyjdzie czas pokuty.

Wstaję i idę do sieni po kurtkę. Matka Isis nerwowo rusza za mną

– Nie chciałam... Przepraszam. Nie musisz wychodzić.

– Idę do pracy.

Nie mówiłem jej, gdzie pracuję. Wie tylko tyle, że muszę wyjść. Oraz, równie dobrze, jak ja, że to tylko wymówka.

– No dobrze. Jedź ostrożnie.

Milczę. Unosi ręce i mnie przytula. Zwalczam odruch odepchnięcia jej. Ma takie delikatne ręce. Przez chwilę wydaje mi się, że to moja mama. Pierwszy się odsuwam. Jak zawsze.

– Muszę iść – powtarzam, a ona kiwa głową.

– Przyjdiesz? Na rozprawę?

– Postaram się. Ale nie wiem, czy będę mógł wejść na salę. Spytam prawnika mamy.

Odprowadza mnie wzrokiem. W jej oczach nie ma strachu, już nie. W każdym razie nie tego, który widziałem. Nie próbowała mnie powstrzymać. Dała mi wolną rękę. Może czuje się winna, że pozwoliła mi prawie zabić Leo. Nie ma po co jej mówić, że i tak by nic nie działała. To coś we mnie, żadne krwi, bólu i sprawiedliwości, co noszę w sobie od tamtej nocy, nie dałoby się zatrzymać. Od dawna było wygłodniałe, a pręty lodowej klatki, która je hamowała, prawie stopniały przez jakąś głupią, wkurzającą dziewczynę.

To się już nie powtórzy.

Wsiadam do samochodu, zapalam silnik i odjeżdżam.

Potwór więcej nade mną nie zapanuje. Następnym razem go okiełznam. Tak sobie mówiłem tamtej nocy. Obiecałem, że to ostatni raz. Ale nie. Straciłem kontrolę. Z tego powodu prawie zabiłem człowieka.

Kręcę głową i wjeżdżam na autostradę. Potwór będzie musiał poczekać. Strach też.

Ale Blanche Morailles nie może.

Niewiele jest na świecie kobiet równie onieśmielających, jak Blanche Morailles. Cechuje ją przerażająca mieszanka lodowatej pewności siebie, wyraźnych kości policzkowych i złowieszczego uśmiechu. W jej obecności każdy jest bezbronny. Ubiera się w teatralne aksamitne peleryny sięgające ziemi. To córka francuskiego ambasadora. Nikt nie wie, ile ma lat. Zastępy kosmetyczek, którym, w co nie wątpię, godziwie za to płaci, dbają, żeby wyglądała na młodszą niż jest. Nie jest jednak na tyle zdesperowana, żeby korzystać z botoksu, więc zmarszczki wokół oczu pokazują kobietę dobrze po czterdziestce. Może nawet pięćdziesięciodwuletnią. Więcej chyba nie ma.

Pośród typowego dla Ohio ciemnego odcienia blond dostrzegam jej idealnie ułożone czarne włosy i lawiruję wśród stolików, żeby się do niej dostać. De l'Ange to elegancka restauracja, w której zresztą pracowałem, zanim została sprzedana i przejęta przez nowe kierownictwo.

Siadam naprzeciwko Blanche. Sący wodę z lodem i bawi się pierścionkiem z ametystem, a na znak, że zauważyła moją obecność, unosi brew.

– Jak w domu, co? – pyta mocnym, głębokim głosem z wyraźnym francuskim akcentem.

– Wręcz przeciwnie – poprawiam. – Jak na obcej planecie.

– Nie pracujesz tu zaledwie od roku. Nawet mniej.

– Od trzynastu miesięcy.

Znów popija wodę, milczy, jakby się nad czymś zastanawiała, liczy, a potem kiwa głową.

– Racja. Niepotrzebnie sprawdzałam twoją pamięć.

– Jak to?

Uśmiecha się. Mimo całego zaangażowania, które wkłada w pielęgnację, zęby ma trochę krzywe.

– Tak to. Wiem, że jesteś znacznie mądrzejszy niż przeciętny mężczyzna. A nawet niż mężczyzna powyżej przeciętnej. Jesteś mądrzejszy niż większość z nich. Zapewniam cię, że to komplement. Niemal każdy mężczyzna, jakiego spotkałam, był w jakimś sensie idiotą. Ale ty nie.

– Moja inteligencja panią niepokoi? – pytam.

Kelner oferuje pieczywo, ale odmawiam.

– Nie będziesz jadł? – Blanche stara się zmienić temat.

– Nie. Czy moja inteligencja panią niepokoi?

Wzdycha.

– Tak. Niepokoi mnie. Przejmuję się osobowością każdego pracownika Rose Club. Nie zaszłabym tak daleko i nie byłabym najlepsza, gdybym nie zwracała uwagi na zalety i słabości osób, które zatrudniam. Wykorzystuję je rozważnie. – Milknie na dłuższą chwilę. Pojawia się kelner i stawia przed nią makaron z homarem. Dziękuje po francusku i zaczyna jeść małymi kąskami. – Na pewno spodziewasz się, co teraz powiem. Oboje to wiemy. Masz pewność, co powiem, bo ja wiem, o co poprosisz. Dlatego się ze mną umówiłeś, prawda? Żeby o coś prosić. – Kiwam głową. Ona uśmiecha się i składa dłonie na blacie stolika. – Więc pytaj.

– Już znam odpowiedź.

– Nieważne. Mów.

To polecenie, nie prośba. Rozglądam się szybko. Blanche nie ma ochroniarzy, ale jej służący, Frasier, jest zawsze obok i na swój nienarzucający się sposób równie opiekuńczy jak ochroniarz. Zauważam go po lewej stronie, siedzi sam i je. Ciemny elegancki garnitur skrywa smukłą, ale potężną sylwetkę. Widziałem, jak radził sobie z co bardziej obleśnymi klientami Rose Club, gdy Blanche czuła potrzebę ostrzeżenia pozostałych. Niezbyt miły widok. Nie znam ich historii. Nikt nie zna. Wszyscy wiedzą tylko, że Frasier babrze się w tym, czego Blanche brzydzi się dotknąć.

Odwracam się z powrotem. Nie boję się Frasiera, ale gdy już wiem, że ma mnie na oku, odwaga mnie opuszcza.

– Muszę zarabiać jeszcze tylko przez dwa tygodnie. Potem odchodzę.

Blanche spuszcza wzrok i się uśmiecha.

– Tego się obawiałam. Ci inteligentni zawsze wiedzą, kiedy odejść. Ale zwykle nie są tak przystojni jak ty i mniej zarabiają, mój drogi, więc jestem bardziej skłonna ich puścić.

– Nie puszcza mnie pani. Odchodzę z własnej woli. Za dwa tygodnie.

Twarz Blanche tężeje, marszczy czoło. Widzę kątem oka, że Frasier się prostuje.

– Zdaje się, że zapomniałeś o naszej umowie – mówi ona.

– Nasza umowa stanowiła, że zorganizuje mi pani klientki, żebym mógł zarobić sześćdziesiąt tysięcy dolarów. I tyle zarobiłem. A nawet dwukrotnie więcej, zważywszy, że bierze pani sześćdziesiąt procent.

– Zarobiłbyś jeszcze więcej, gdybyś został. Skończyłeś

osiemnaście lat, prawda? Mógłbyś się z tego utrzymać. Zarabiać prawdziwe pieniądze.

– Nie potrzebuję pieniędzy. – Z trudem udaje mi się nie warknąć.

– Ach, wiem. Pełne stypendium do Harvardu. Czytałam w lokalnej gazecie. Widzę, że masz plany. Ze mną czy beze mnie.

Nic nie mówię, a Blanche odgarnia włosy z twarzy i na coś czeka.

– Dziękuję – mówię w końcu – że mnie pani przyjęła. Wiele się tu nauczyłem.

– Nie wątpię.

– Czternastego nasza umowa wygasa. Mam nadzieję, że nie będzie pani robić problemów.

– Ależ skąd. Jestem kobietą biznesu. Po prostu mi przykro, że nie osiągniemy razem więcej.

Jej telefon wibruje, zerka na wyświetlacz. Na ułamek sekundy pochmurnieje, ale gdy podnosi wzrok, już się lekko uśmiecha.

– Myślę, że masz rację. Czas na ciebie. Jesteś zbyt zdolny, żeby na zawsze utkwąć w starym, dobrym Ohio. Nie wątpię, że świetnie ci pójdzie na Harvardzie.

Wyciąga do mnie rękę. Czuję, że to nie oznacza nic dobrego. Wszystko się dzieje za szybko. Jej podejście do sprawy zmieniło się w ułamku sekundy, w tym esemesie musiało być coś o mnie. Albo mam paranoję. Może dowiedziała się czegoś o jakimś innym interesie Rose Club, który się udał i przysporzył mnóstwo kasy. To znacznie bardziej prawdopodobne.

– Skąd te nagłe uprzejmości? – pytam jednak.

Blanche wybucha śmiechem.

– Ależ Jack. Podejrzliwy jak zawsze! Nic się nie martw. Naprawdę. Wiedziałałam, że długo ze mną nie zostaniesz. Z

pewnością to słodko-gorzka wiadomość. Ale przecież gdy się poznaliśmy, powiedziałam... Jak to dokładnie ujęłam? Z tą twoją pamięcią na pewno przytoczysz moje słowa w pierwotnym brzmieniu.

Wraca do mnie tamta chwila. Dopiero co skończyłem siedemnaście lat. Siedzieliśmy w samochodzie Blanche. Srebrnym rolls-royse czy jakimś innym szpanerskim gracie. Wyszedłem po mojej zmianie z De l'Ange i wyrzucałem śmieci na tyłach, gdy mnie zatrzymała i zaproponowała podwózkę do domu. Nie wiem, czemu z nią poszedłem, ale śmierdziała kasą, a myślałem tylko o pieniądzach, bo zaledwie kilka dni wcześniej dowiedziałem się, ile będzie kosztować operacja Sophii. Może miałem nadzieję, że jej zasoby jakoś na mnie spłyną. Byłem zdesperowany. A ona to zwęszyła, tak jak lis wyczuwa zajęczą norę, gdy powieje dobry wiatr.

Rozmawialiśmy. Zaproponowała, żebym dołączył do Rose Club. Wy tłumaczyła mi, co to oznacza i co będę musiał robić. Nie zwodziła mnie i niczego nie ukrywała. Była szczerą i bezpośrednią, a ja zrobiłbym wszystko, żeby zdobyć pieniądze dla Sophii. Gdy już wszystko załatwiliśmy i podpisałem umowę, zatrzasnęła torebkę od Louisa Vuittona i uśmiechnęła się.

– Ten klub nie służy tylko dostarczaniu klientom luksusowej usługi. Będziesz miał z tego więcej niż tylko pieniądze. Poznasz polityków. Ich córki. Ich żony. Maklerów giełdowych i właścicieli przynoszących miliardy serwisów internetowych. Którzy mają córki. Uściśniesz ręce tym, którzy trzęsą światem i trzymają go w garści. Nawiążesz znajomości. To sieć o bardzo dużym zasięgu, a ty zostałeś jedną z jej nici.

Recytuję te słowa, a Blanche lekko klaszcze.

– Bardzo dobrze. Jedną z nici. Właśnie tym jesteś. Nawet jeśli

opuścisz sieć, sieć nigdy do końca nie opuści ciebie.

Mrużę oczy.

– Co to ma znaczyć?

– Jesteś dość mądry, żeby wiedzieć.

Daje znak Frasierowi, a on się podrywa i odsuwa jej krzesło. Następnie narzuca jej na ramiona płaszcz. Starannie, palec po palcu, Blanche naciąga rękawiczki.

– Za dwa tygodnie nasza umowa wygasa – oznajmia. – Do tej pory jej postanowienia pozostają w mocy.

– A więc żegnamy się – stwierdzam.

Blanche olśniewa mnie ostatnim uśmiechem.

– Nie, Jack. Jestem pewna, że jeszcze się spotkamy.

Odprowadzam ją wzrokiem, ale od wpatrywania się w jej postać odrywa mnie wibrujący telefon. Numer nieznany. Odbieram.

– Jack? Mówi Naomi...

Nie musi nic dodawać.

– Będę za dziesięć minut – oznajmiam i rozłączam się.

Rozdział 4

3 lata, 25 tygodni, 6 dni

Raz śniło mi się coś naprawdę cudownego: że mam skrzydła z kryształowych piór, jestem smukła i piękna jak królowa elfów o ciele ze światła i blasku. Może nawet rzygałam tęczę, ale nie w tym rzecz. Tylko w tym, że to był cudowny sen, może najlepszy w życiu. Ale co jeszcze ważniejsze, teraz mi się to nie śni. Aktualnie tkwię w śnie o wielkim pająku.

Ściga mnie po jakimś lesie, a ja sikam po nogach z przerażenia, mając jednocześnie nadzieję, że na jawie jednak nie sikam. To dziwna mieszanka najczystszej nadziei i najprawdziwszego przerażenia: nie mogę się przestraszyć na tyle, żeby się obudzić, ale jestem na tyle przytomna, żeby się bać.

Potem, nieoczekiwanie, sen się zmienia.

Pająk znika, las znika, a ja stoję pod prysznicem w moim dawnym domu, u cioci Beth na Florydzie. To ta malutka łazienka z zielonymi kafelkami, pleśnią na fugach i dzwonkiem wietrznym za oknem. Jestem o trzy lata młodsza, naga, a mój tłuszcz jest wystawiony na widok publiczny, w wielkich fałdach zwisa mi z brzucha, ud i podbródka. Kulę się w kącie, zwinięta w nie tak znowu mały kłębek, wciskam się w ścianę, spływa po mnie woda. Zimna. Nie wiem, jakim cudem to zapamiętałam, ale pamiętam. Ciocia Beth miała bojler na baterie słoneczne, a tego

dnia stałam pod prysznicem na tyle długo, że woda zdążyła się zrobić lodowata.

Płaczę.

To w zasadzie nic nowego. Ale po raz pierwszy widzę siebie w ten sposób, jakby spoza ciała, z perspektywy innego człowieka. Rozpoznaję tę chwilę. Poznałabym ją wszędzie.

Dziewczyna pod prysznicem obejmuje ramionami brzuch i zakrywa twarz, ale i tak jej dłoń wędruje cały czas w jedno konkretne miejsce: do prawego nadgarstka. Wiem, co czuje. Skóra ją piecze. Żadna ilość zimnej wody nie koi tego bólu. Później nałoży opatrunek. Ale dopiero za cztery godziny zdoła usiąść. Za pięć godzin przestanie bezgłośnie łkać. Za sześć wytrze się i ubierze. Za siedem przestanie wpatrywać się w siebie w lustrze i podejmie decyzję.

Osiem godzin zajęło jej postanowienie, że musi się zmienić.

Po trzech latach jego głos przestał dzwonić jej w uszach za każdym razem, gdy wychodziła z domu. Ale nawet wówczas nie zniknął. Nadal jest.

Od dwóch tygodni je mniej. Chudnie dwa kilo. Potem półtora. Po miesiącu jest o cztery i pół kilograma lżejsza. Wkłada po kilka warstw dresów i godzinami biega w dwudziestosiedmiostopniowym florydzkim upale. Ciocia Beth myśli, że nocuje u Giny, a ona leży na poboczu, za krzakiem hibiskusa, gdzie zemdląła z wyczerpania. Gdy słońce zachodzi i robi się chłodniej, budzi się i biega dalej. Biega, bo nie może znieść myśli o tym, kim była, stawiając poprzedni krok. Następny. Nowa Isis. Kolejny. Jeszcze nowsza. Zostawia się z tyłu raz za razem, bo nie trawi żadnej wersji siebie. Nie znosi tamtej dziewczyny, bo ona myślała, że chłopak, który tak ją skrzywdził, może być dla niej wszystkim. On jeden na całym świecie patrzył

na nią jak na człowieka i widział w niej kogoś więcej niż tylko wór rozciągniętej skóry.

Rzadko je, a jeśli już, to z ciocią Beth, żeby nie nabrała podejrzeń. Ale nie docenia jej. Któregoś dnia rozmawiają i jest to ta rozmowa o chłopakach, jaką powinny przeprowadzać ciocie. Pamiętam każde słowo, jakby to było wczoraj, i wszystkie one wkradają się do snu.

– Ostatnio mało jesz. – Ciocia Beth uśmiecha się łagodnie. Jaskrawe rude włosy zaczesuje do tyłu i przytrzymuje apaszką. Traktuje mnie jak córkę. Jestem dzieckiem, którego nie miała.

– Nie jestem głodna – ściemniam, ale w tej samej chwili burczy mi w brzuchu i cała linia obrony idzie się paść.

Ciocia wzdycha.

– To z powodu tego Willa?

Przestaje mi burczeć w brzuchu, teraz się boję, że zwymiotuję. Wzdrygam się. Ale to ważne wzdrygnięcie. Pierwszy z setek dreszczy, które mnie przeszyją na dźwięk jego imienia.

– Zerwaliście? – dopytuje ciocia. Wzruszam ramionami, jakby to nie miało znaczenia, ale ma, to jedyna ważna rzecz w moim życiu.

– Ja z nim nie zerwałam. To on zerwał ze mną. Ja się tylko załamalam. Wiesz, jak jest.

– No tak. – Obejmuje mnie. – Wiem, jak jest.

Zapada cisza. Niecały kilometr od naszego małego, kiczowatego domku przy plaży o brzeg uderzają fale oceanu. Przez okno wpada słońce, zbiera po drodze odcienie turkus i szmaragdu z ułożonych na parapecie szkiełek znalezionych na plaży i rzuca kolorowe cienie.

– Zawsze jak mnie zostawiał chłopak – zaczyna ciocia – robiłam listę.

– Czego? Sposobów wystrzelenia się na inną planetę?

– Nie. Cech mojego idealnego mężczyzny. Potem zawsze czułam się lepiej.

– To głupie.

– Pewnie, że głupie. O to chodzi. Żeby się zacząć śmiać. Zaciskam usta, ale ciocia trąca mnie łokciem.

– No? Mów. Opisz swój ideał.

Mieję temat przez kilka beznadziejnych sekund.

– Musi umieć szybko wyrecytować alfabet od tyłu, robić najlepsze na świecie pączki z cukrem i cynamonem, przeskoczyć przez skakankę milion razy z rzędu, mieć jasnozielone oczy, pisać lewą ręką i być mistrzem w zapomnianej sztuce gry na okarynie.

– To niemożliwe.

– Właśnie! – upieram się. – To mój ideał, tak? Skoro marzę o kimś, kto nigdy nie będzie istniał, nie skrzywdzi mnie. Nie pojawi się, nie rozkocha w sobie, a potem nie złamie mi serca.

– Och, Isis. – Ciocia klepie mnie w kolano. – Nie myśl tak. Nie każdy cię skrzywdzi.

– Byłby bardzo miły. – Uśmiecham się do grzbietów swoich dłoni. – Mówiłby, że jestem najładniejszą dziewczyną, jaką widział. To też niemożliwe. Więc. Proszę bardzo. Oto on. Nie istnieje i nigdy nie zaistnieje. Jestem bezpieczna.

Sen znów się zmienia. Znika kuchenny stół. Znika ciocia Beth. Robi się cztery miesiące później. Cztery miesiące omdleń i doczołgiwania się do końca lekcji na kromce chleba i kawałku selera naciowego. Nie potrzebowałam jedzenia. Słowo „brzydka”, które dudniło mi w głowie, karmiło mnie lepiej niż kalorie.

Karałam się.

Teraz to widzę, ale już za późno, żeby coś z tym zrobić.

Zanim ciocia Beth zauważy, co się dzieje, wiedzą już wszyscy.

Gina zazdrośnica wyskakuje na weekend na Kostarykę i wraca o siedem kilogramów lżejsza, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Nie, kiedy Isis Blake schudła z pięćdziesięciu kilogramów do pięćdziesięciu czterech i pół w zaledwie pół roku. Bezimienny też to widzi. I zamiast mnie ignorować, śmieje się ze swoimi kumplami, ilekroć przechodzę obok. Parska. Prycha. Myśli, że zrobiłam to dla niego.

Słusznie.

Nie pozwoliłam sobie zebrać się na odwagę, żeby się na niego wściec. Choć czuję gdzieś w żołądku gniew, rozżarzone węgielki urazy. Ale potem przyjeżdża mama. Któregoś dnia wracam do domu i zastaję je, jak piją herbatę i dyskutują o mojej przyszłości. Jasne, że mam coś do powiedzenia w tej sprawie. I mówię, że chcę wyjechać. Ohio to doskonałe miejsce, żeby zacząć od nowa. Każde miejsce, gdzie nikt mnie nie zna, byłoby idealne. Wszędzie, gdzie nie ma Bezimiennego.

Niby to sen, ale tak naprawdę moje życie. Tylko że nie do końca. I kolory są zbyt jaskrawe, a twarze lekko drgają. Ale wszystko dzieje się dokładnie tak, jak naprawdę.

Budzę się na białej sali szpitalnej. I dociera do mnie, że czmychnęłam jak tchórz.

W ogóle się nie zmieniłam.

Jestem bezpieczna. Mój licznik bije nienaruszony. Trzy lata, dwadzieścia pięć tygodni i sześć dni. Wciąż jestem bezpieczna.

Ale w ogóle się nie zmieniłam.

Isis Blake z Northplains to ta sama tchórzliwa czternastolatka zwinięta pod prysznicem. Tyle że trochę starsza, trochę szczuplejsza i jeszcze głupsza.

Jest ciemno, pewnie już środek nocy. Wyłażę z łóżka i wkładam

ubrania, które przyniosła mama. Wychodzenie na dwór zimą w Ohio jest jak samobójstwo, tylko bez rozprysniętego mózgu, ale i tak to zrobię. Nie zniosę tego ciasnego pokoju. Duszę się od tych wszystkich piknięć aparatury i plakatów z uśmiechniętymi dziećmi przyjmującymi szczepienie przeciwko grypie. Kto się uśmiecha na widok dwunastocentymetrowej igły?! Tylko socjopaci, ot co!

Obiecałam Naomi, że nie zakradnę się do dzieciaków przez okno, ale coś mi się zdaje, że korytarz to nie okno, a tak się składa, że wzdłuż oddziału pediatrycznego biegnie korytarz. Nigdy z niego nie korzystałam, bo znajduje się niedaleko pokoju Sophii, a właśnie tu szukałaby mnie Naomi, gdyby zauważyła, że nie ma mnie w łóżku. Układam pod kołdrą poduszki, a spod łóżka wyciągam cztery odłożone na taką okazję galaretki i ruszam do drzwi. Na korytarzach zawsze jest cicho. Ułatwiam sobie życie i wkładam galaretki do stanika. Przez chwilę podziwiam swoje tęczowe cycki. Czuję, że łza wzruszenia napływa mi do oka. Jak pięknie!

Ale wracajmy do rzeczy. Mam ładunek żelatyny dla kilkorga pędraków. Muszę tylko dostać się za róg i...

Syczę i przywieram całym ciałem do ściany. Mija mnie grupka lekarzy, niosą kawę. Walczę z pokusą zradykalizowania moich działań. Mam ochotę przejechać przez cały korytarz na podszwach butów, ślizgiem, jak James Bond, cichy i elegancki, ale chcę też zobaczyć dzieciaki, a to ważniejsze. Wybieram wersję nudnego szpiega i stąпам za nimi na palcach. Na pociechę robię piruet.

I wtedy to słyszę. Brzmi, jak odgłosy konającego gdzieś w oddali kota, ale dźwięk staje się tym głośniejszy, im bliżej oddziału dziecięcego. Ktoś wrzeszczy, jakby go rozrywano na

strzępy. Na pustym korytarzu brzmi to cholernie złowrogo i zaczynam się zastanawiać, czy moje życie nie zmieniło się przypadkiem w horror i zaraz jakaś laska z długimi czarnymi włosami będzie mi zawyżać rachunek telefoniczny, wydzwanając z zagranicy z informacją, że zostało mi siedem dni życia. Słyszę jednak za plecami szuranie stóp i daję nura za wózek. Naomi w towarzystwie kilku innych pielęgniarek pędzi w kierunku krzyku, są bardzo zaniepokojone.

– Kto zapomniał podwyższyć Sophii dawkę? – pyta jedna z nich.

– Nikt nie zapomniał. Fenwall powiedział, żeby zignorować zmiany – sapie Naomi. – Ale ktoś miał jej dać paxtal. Trisha, ty?

– Nie! – broni się Trisha.

Pierwsza pielęgniarka wzdycha.

– Boże, Trisha, znowu...?

– Wiesz, jak trudno ją namówić, żeby to wzięła, kiedy jest w takim stanie? – syczy Trisha.

– Zadzwoń do niego przynajmniej?

– Oczywiście! Przecież tylko on potrafi ją uspokoić...

Mijają mnie i już nie słyszę, co mówią dalej. Musiało im chodzić o jakąś inną Sophię. Słodka i miękka Sofka, którą znam, zawsze słucha pielęgniarek. Na pewno nie odmówiłaby wzięcia leków.

Zbliżam się o krok do drzwi, zza których dobiega krzyk. Pielęgniarki zamknęły je za sobą, ale i tak słyszę echo odbijające się od ścian.

– Dlaczego ona wychodzi?! Dlaczego ona wychodzi, a ja nie? Chcę wyjść! Puśćcie mnie! Macie mnie puścić! Nie dotykaj mnie, szmato! – Poznaję ten głos. Sophia. Ale to niemożliwe. Ona nie jest agresywna. Dzika. – Nienawidzę jej! Wszystkich was

nienawidzę! Słyszycie, kurwa, nienawidzę was! Zostaw mnie! Dajcie mi spokój!

Coś jest nie w porządku. Powoli wyłaniam się zza rogu i podchodzę do wąskiego kawałka szyby, który nie został zasłonięty. Nie widzę wiele, ale dostrzegam wierzgające po łóżku nogi Sophii. Pielęgniarki usiłują ją przytrzymać. Naomi zbliża się ze strzykawką. Sophia walczy, a łóżko się trzęsie, bo miota się jeszcze bardziej. Ale potem się uspokaja. Krzyczy ciszej. Już prawie nie słyszę ochrypłych krzyków.

– Proszę – łka Sophia. – Proszę. Chcę, żeby Tallie wróciła. Oddajcie mi ją, proszę. Wypuście mnie stąd. Chcę ją zobaczyć. Chcę ją zobaczyć!

Jedna z pielęgniarek rusza do drzwi. Znikam za rogiem. Zzera mnie ciekawość, ale nie mogę tu dłużej tkwić, bo moja sytuacja stanie się bardziej gówniana niż sprzątacza wybiegu słoni w zoo. Idę po schodach na oddział dziecięcy i nie oglądam się za siebie.

Sophia ma guzy w mózgu. To wiem. Ale przy mnie nigdy się tak nie zachowywała, nie była niemila ani agresywna. Czuję, jakbym została świadkiem czegoś, czego nie powinnam widzieć. Osobistego i krępującego. Na pewno czułaby się okropnie, gdyby się dowiedziała, że to widziałam, więc nie mogę z nią poruszyć tego tematu. Ona wiele zniosła z mojej strony: niekończące się monologi, koszmarne suchary i przewrażliwienie na swoim punkcie. Błaźniłam się przy niej, a ona nigdy już do tego nie wracała. Jeśli mogę przynajmniej zapomnieć o tym, co widziałam, muszę to zrobić.

Zamieszanie, jakie wywołała, okazało się dla mnie doskonałą przykrywką, bo nikt nie pilnuje drzwi. Maluchy śpią. Pod ścianami stoją rzędy łóżek, a na wezgłowiach poprzyklejane są naklejki i obrazki wykonane gąbką. Na podłodze leżą książki i

zabawki, a cicho pikające maszyny rozświetlają ciemność.

Pierwszy zauważa mnie James. Siada i szepcze zaspany:

– Isis, to ty?

– Tak – odpowiadam cicho. – Cześć.

Wskazuje na mój dekolt, a jego łyssa głowa lśni w świetle monitora.

– Czemu ci się cycki trzęsą?

– Zawsze takie miałam.

Wywraca oczami, a ja się śmieję i rzucam mu galaretkę. Zrywa folię i połyka za jednym razem. Przechodzę do łóżka Miry i ostrożnie kładę jej galaretkę na czole. Otwiera zaspane oczy i jęczy.

– Isissss. Zimne!

– To zjadaj szybko!

Łapczywie połykają łakocie, a ja dla towarzystwa przełykam ślinę, bo ściska mnie w gardle.

– Słuchajcie – oznajmiam. – Jutro wychodzę.

– Wypuszczają cię? – Mira markotnieje.

– Tak. Poprawiło mi się. – Uśmiecham się. – Tak jak wam się niedługo poprawi.

– Mnie nie.

– Oczywiście, że tak. I nawet się nie waż mówić przy mnie, że tak nie będzie.

– Przyjdiesz jeszcze do nas?

– A czy niebo jest niebieskie? No chyba, że przyjdę! – Czochram ją lekko kostkami palców po głowie. – I przyniosę zabawki. Dostaniecie nowe, superfajne, na twoje urodziny, urodziny Jamesa, Martina Luthera Kinga i moje. Ten złom z drugiej ręki, który tu macie, uwłacza waszej wysokości.

Mira się rozpromienia. Na korytarzu zapala się światło, więc

nurkuję za łóżko.

– Strażnik! – krzyczę. – Cholera! To znaczy... Zarazki cholery.

– Cholera! – podchwytuje radośnie James. Obrywa ode mnie w głowę.

– Nie wolno! To brzydkie słowo.

– To nazwa zarazka! Nie ma w tym nic brzydkiego!

– Całe dni siedzisz w szpitalu i gadasz takie bzdury?

– Idzie! – syczy Mira. Strażnik jest już tak blisko, że słyszę dzwonięcie jego kluczy.

– Dobra, uspokójcie się. Tylko bez paniki. O mój Boże, co będzie z moim życiem! Ale nie panikujcie!

– My nie panikujemy! – upierają się chórem.

– Dobrze. Jasne. – Biorę głęboki wdech przez nos i skradam się do okna. Zawsze gorzej mi się schodziło niż wchodziło, ale to jedyne miejsce na sali, gdzie można się schować. Meble są w dziecięcych rozmiarach, więc są dla mnie za małe. Otwieram okno i wyłażę na zewnątrz, cały czas trzymając się parapetu. Skrobię noskami trampek po murze, a zimne powietrze szczypie mnie w tyłek, który wisi cztery metry nad pewną śmiercią. A w każdym razie nad przetrąceniem rzepki kolanowej. Drzwi otwierają się ze zgrzytem, ale na sali panuje cisza. Pędraki dobrze udawają, że śpią.

– Kto nie zamknął okna? – burczy strażnik. Serce mam w gardle. Zbliża się, a ja się modlę, żeby nie zauważył moich palców. I jak raz moja modlitwa zostaje wysłuchana! Nie widzi ich! Przeciwnie, delikatnie zamyka okno, wypychając je przy tym na zewnątrz. Desperacko łapię się zewnętrznego parapetu, ale jest wąski i śliski... Walczę, ale dłonie tak mnie bolą...

Myślę, jak zlecieć na tyle elegancko, żeby moje zwłoki nie wyglądały głupio. Widziałam miliony kryminałów i wiem, że lęk

przed rychłą śmiercią to żaden powód, żeby nie przybrać w locie wdzięcznej pozy. Przecież to ostatnia poza w życiu! Ma się wręcz moralny obowiązek dopilnowania, żeby była oszałamiająca. A w każdym razie nie totalnie obrzydliwa.

Mogłabym się ustawić na przykład jak Beyoncé... Ale to nie zmienia faktów.

Zginę...

Czyli naprawdę kiepska perspektywa.

Z parapetu ześlizguje mi się ostatni palec. I nagle ktoś mnie łapie za nadgarstek. Czuję się jak smagnięta biczem. Uderzam tułowiem o mur, odrapuję sobie łokcie... Patrzę w górę i widzę lodowatobłękitne oczy wyglądające spod rozczochranych blond włosów.

– T-to ty! – jąkam się.

Jack wciąga mnie do środka, a Mira i James stoją u jego boków z wytrzeszczonymi oczami, bardzo podnieceni.

– Prawie umarłaś! – szepcze niepewnie Mira.

– Normalnie ty zrobiłaś hop, strażnik zrobił siema, a Jack wpadł i zrobił supermena! – piszczy James.

Jack się odsuwa. Ja stoję na rozdygotanych nogach, zastanawiam się nad naturą życia oraz faktem, że nadal mam jakieś życie, nad którym mogę się zastanawiać. Nasze spojrzenia się spotykają, a wtedy Jack nieruchomieje. Następnie gwałtownie odwraca się na pięcie. Ruszam naprzód i odgradzam mu drogę. Patrzę na niego, on patrzy na mnie i czuję dziwny ucisk w płucach. Adrenalina buzuje mi w żyłach, a pierś przeszywa nieznany ból. Nie mogę odwrócić wzroku. Właściwie nie jest nawet taki oszałamiająco przystojny. Wygląda po prostu... na smutnego. Dawkę tego smutku wysyła w moim kierunku jak strzałę.

– Jak...

– Szedłem za tobą. Postanowiłem ci towarzyszyć. Mam talent do przewidywania, kiedy wpakujesz się w kłopoty – odpowiada zimno.

– Czemu...

– Z powodu Sophii. Przyjechałem do niej. Odsuń się.

Próbuje mnie wyminąć, ale się nie daję.

– Długo byłem gruba. Mam praktykę w blokowaniu przejść. I unoszeniu się w słonej wodzie.

– Puść mnie.

Dolatuje do mnie zapach mięty i miodu, ten sam mącający w głowie, który kilka godzin wcześniej znalazłam we wspomnieniach.

– Chyba raczej nie, bo zdaje się, jesteś naprawdę złym chłopcem, a logika nakazuje nie dopuszczać złych rzeczy do dobrych. W związku z tym Sophii nie jesteś do niczego potrzebny.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz... – cedzi.

– Pocałowałaś mnie – przypominam. – Sophia mi powiedziała. A ja sobie przypomniałam. Trochę. I chociaż uratowałaś mnie i mamę i wciągnęłaś mnie z powrotem z tego parapetu, to nie wybaczę ci, że skrzywdziłaś Sophię. Że pocałowałaś kogoś, kto ci się nie podoba. Podejrzewam, że mnie też to zraniło. Zraniłaś już wiele osób, co?

Mira i James się gapią i przenoszą wzrok z niego na mnie i z powrotem, jak w meczu pingpongowym. Jack milczy, a jego twarz nic nie wyraża. Wygląda jak świeżo wytarta tablica. Nie wiem, co myśli. A jednak wychwytyuję oznaki niedowierzania, z których rozwija się coś jakby szok. Następnie na jego twarz wraca poirytowana maska.

– Zejdź mi z drogi! – powtarza, a w tych słowach rozbrzmiewa śmiertelna groźba.

– Nie. Bo widzisz, ja jestem dobrym smokiem. Czy twój mały, a jednak jakimś cudem funkcjonujący mózdzek wie, co to jest smok?

– Smoki są strasne! – sepleni James.

– I zieją ogniem! – dorzuca Mira.

– No więc jestem smokiem – powtarzam. – Sophia jest księżniczką. A moja robota to strzec ją przed takimi jak ty.

Jack unosi brwi.

– Jakimi jak ja?

– Złymi księżętami. Którzy marnują życie księżniczki.

Lodowatobłękitne sopte jego oczu ciemnieją. Łatwiej czytać w nich niż w twarzy, ale nadal nie jest zbyt łatwo. To gniew? Poczucie winy? Frustracja? Nie. Nic z tego zestawu. Raczej bezradność.

– Spóźniłaś się. Ja już jej zmarnowałem życie – oznajmia, a następnie przepycha się obok mnie z siłą, której nie zdążam się sprzeciwić. Już dawno go nie ma, kiedy odzywa się Mira.

– Czasem do niego dzwonią. To znaczy Naomi dzwoni. Kiedy Sophia się wścieka.

– Jak to?

James szura nogami i wpatruje się w podłogę.

– Czasem... Czasami robi się dziwna. I zła. Jak pytamy, Naomi mówi, że to kto inny krzyczy, nie Sophia. Ale to jej głos. Wtedy dzwonią po Jacka, a on przychodzi, nieważne, która jest godzina, i ona się uspokaja i znów robi się cicho.

– Od jak dawna tak jest?

– Chyba od paru lat – stwierdza Mira. – Odkąd James tu jest. Ale cały czas była dla nas miła. To znaczy nadal jest. Ale bywa, że robi

się dziwna. Dlatego przestała nas odwiedzać. A Jack odwiedza ją częściej. Chyba czuje się winny.

– Ja myślę, że oboje się czują winni – prycha James. – Oboje mają takie miny jak tata, kiedy do mnie przychodzi.

Patrzę na maleńką postać Jacka na końcu korytarza.

Pamięta.

Isis Blake mnie pamięta.

Dla mnie świat się nie kręci. Zatrzymał się tamtego wieczoru. Zachwiał się trochę, gdy Isis walnęła mnie w twarz, i drżał coraz bardziej z każdym dniem naszej wojny. A następnie zamarł na kilka tygodni. Długich jak lata.

A dzisiaj się zatrzęsł i trzęsie się cały czas, w tle mając jej imię i jej napiętą, stanowczą minę, gdy patrzyła mi w oczy i mówiła, że jestem złym księciem. Trzęsie się, bo ona myśli, że jestem zły (bo jesteś, masz na rękach krew), ale mnie pamięta. W jej oczach rozbłysnął niewielki fragmencik Isis, tej dawnej Isis, która kilka miesięcy temu mnie rozpracowała i znienawidziła. Nienawidzi mnie. Ale pamięta.

Pamięta pocałunek..

Dziś mój świat się zatrzęsł. Nie mocno. Ale drgnął pod moimi stopami i przypomniał mi, że tak, tak! Może się kręcić. Że żyję. Nie jestem bryłą lodu. Dziwadłem ani potworem. Jestem człowiekiem i zrobiłem coś złego, ale świat się kręci, a ja jestem żywy. Nie jestem nietykalny. Można mną potrząsnąć.

Może to zrobić Isis Blake.

Wchodzę do szpitalnej sali, bliższej mi niż dom, i natykam się na Naomi, która z niej wychodzi. Włosy ma rozczochrane, a pielęgniarski fartuch wygnieciony. Na całym przedramieniu, od łokcia do nadgarstka, zieje ślad zadrapania. Nie bardzo głęboki,

ale czerwony, wyraźny i rzucający się w oczy.

– Aż tak źle? – pytam.

Kręci głową.

– Nie mam pojęcia czemu... Nic się nie działo już od miesiąca, a dziś nagle...

– Coś ją musiało zaniepokoić – stwierdzam i chcę się obok niej przepchnąć. – Porozmawiam z nią

– Śpi. Trisha dała jej środek na uspokojenie.

Ekstaza wywołana świadomością, że Isis mnie pamięta, wyparowuje. Zaczynam się gotować z wściekłości, ale Naomi nie ustępuje.

– Jack, posłuchaj. Posłuchaj mnie. Nie miałyśmy wyjścia. Groziła, że zrobi sobie krzywdę, miała nożyczki.

– Skąd wzięła...? – Dławię się własną furią. – Jak mogłaś jej pozwolić na to, żeby miała nożyczki?!

– Nie pozwoliłam. Na litość boską, chyba mnie znasz! Nie wiem, skąd je wzięła, ale miała je i tylko tak mogłyśmy ją powstrzymać przed czymś naprawdę niebezpiecznym.

Gniew zostaje zastąpiony przez przerażenie, kolejna warstwa, jak w jakimś obrzydliwym torcie. Z trudem otwieram usta.

– Coś musiało ją zdenerwować. Było już przecież o wiele lepiej. Wiesz, że nie zrobiłaby tego, gdyby ktoś jej nie powiedział czegoś bardzo przykrego.

Wykończona Naomi ze znużeniem macha ręką w stronę śpiącej Sophii, ułożonej jak lalka w białej pościeli. Zbyt idealnie, zbyt spokojnie.

– Proszę bardzo, możesz spytać, jak się obudzi.

Widzę, że ma wory pod oczami. Zmarszczki, których wcześniej czy później nabawiają się wszystkie pielęgniarki w czasie długiej i stresującej służby. Jest wykończona. To najlepsza pielęgniarka

Sophii, jedyna, której Sophia ufa i którą lubi.

– Wybacz – mamroczę – że byłem tak antypatyczny.

Naomi unosi brwi aż pod samą linię włosów.

– Przepraszam, jaki? Czy ty mnie przypadkiem nie obrażasz?

– Nie każ mi tego mówić dwa razy.

Wpycham się do sali i zamykam za sobą drzwi, ale przez półprzezroczystą szybę patrzę, jak Naomi odchodzi. Widzę jej złośliwy uśmiezek.

W pokoju panuje półmrok i cisza, jeśli nie liczyć pikania monitorów, których miarowe *stacatto* nazbyt radośnie donosi o stanie czynności życiowych Sophii. Są tu wszystkie bukiety, które jej przyniosłem w tym roku, zwiędłe, uschnięte i paskudne. Ale przechowuje je. W każdym wazonie jest woda, stoją w kolejności chronologicznej. W powietrzu pachnie gnijącymi kwiatami i środkiem odkażającym.

W tej chwili poczucie winy uderza mnie w pierś jak młotem. Nie było mnie od dwóch tygodni. Widzę po szeregu, w którym dwa puste wazony czekają na wypełnienie, na to, aż spełnię swą powinność.

Pozwoliłem, żeby poczucie winy z powodu Isis, z tego, że jej nie uratowałem, przyćmiło obowiązek wobec Sophii. Niewybaczalny błąd.

Jak mogłem tak się cieszyć, że tamta dziewczyna pamięta pocałunek, podczas gdy ta, która tak mnie potrzebuje, cierpi?

Egoistyczny dupek.

Ostrożnie siadam na końcu łóżka. Biała pościel ugina się pod moim ciężarem jak śnieg i subtelnie obrysowuje jej sylwetkę. Jest o wiele chudsza niż zapamiętałem. Widać jej kości, kruche i pozornie puste w środku, jak u ptaka. Kości policzkowe ma ostro zarysowane i bardzo wyraźne. Nie ma śladu po rumieńcu, do

którego się przyzwyczaiłem w dzieciństwie. Zniknął tamtej nocy.

– Jestem naprawdę złym księciem – mruczę.

Odgarniam włosy z jej czoła, a ona coś cicho mamrocze i odwraca się na bok.

– Tallie...

Zaciskam w dłoni kołdrę, a rozżarzone ostrze gorączkowego żalu wypala mi wnętrzności, począwszy od serca, przez płuca i żołądek oraz wszystko pomiędzy.

Tallie.

Nasza Tallie.

„Zraniłeś już sporo osób, co?”

Rozdział 5

3 lata, 26 tygodni, 0 dni

Doktor Fenwall jest Świętym Mikołajem. Oczywiście zakładając, że Mikołaj przeszedł na dietę, przez całe życie nosił sztruksowe spodnie i używa takich zwrotów jak „tkanka błony śluzowej macicy”.

– A teraz się połóż, Isis.

Padam na leżankę tomografu i prychem.

– Już to robiłam, doktorze! Odkąd tu jestem, kładłam się codziennie, co-dzien-nie! Co najmniej siedemdziesiąt miliardów razy!

Marszczy brwi, a białe wąsy unoszą się w uśmiechu.

– W takim razie powinnaś się już odrobinę przyzwycząić.

– Nie można się przyzwycząić do przebywania w waginie gigantycznego obwarzanka. – Wskazuję na tomograf, który pika w wielkich emocjach. Jakby się go pozbyć...

– To twój ostatni raz. No już, kładź się.

– Uch! – krzyczę poirytowana i rzucam się na leżankę, a potem dobijam głową.

– I bardzo cię proszę, uważaj. Spędziliśmy wiele godzin na składaniu tej czaszki – beszta mnie doktor Fenwall. Wciska guzik i leżanka wjeżdża do tunelu. Pochłania mnie mrok.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Jest ciasno i śmierdzi watą.

– Czyli doskonale. Cleo, zaczynamy!

Kobieta siedząca w drugim pomieszczeniu przy panelu kontrolnym macha przez okno i maszyna zaczyna buczeć. Słyszę, że Fenwall wychodzi i zostajemy we dwie, ja i Wielka Bertha. Oraz jej wagina.

– Jaką pogodę macie w... Robotolandii? – zagajam.

Maszyna gulgocze.

– Dobrze. Bardzo się cieszę. A jak dzieci?

Wielka Bertha pika desperacko i oślepia mnie niebieskim światłem.

– Ach! – Zakrywam oczy. – Widzę, że przechodzą bunt nastolatków?

Maszyna piszczy i światło gaśnie.

– Nic nie szkodzi – zapewniam. – Jak będą miały po dwadzieścia lat, uznają, że jesteś bardzo mądra, i znów zaczną cię słuchać.

– Odwróć głowę w lewo – huczy mi w ucho głos doktora z interkomu.

– Jak to nieładne przerywać komuś rozmowę!

– Znów rozmawiałaś z materią nieożywioną? Doktor Mernich z przyjemnością się o tym dowie! – Słyszę w jego głosie, że się uśmiecha.

– Nie! Z nikim nie rozmawiałam. Z nikim. Tylko... ze sobą! Czyli z nikim, nikimiutkim! Żadna atrakcja! Chyba że chodzi o mój tyłek. Bo tyłek mam obłędnie atrakcyjny...

– W lewo, Isis. – Doktor nie zawraca sobie głowy moim gadaniem. Jest jak dziadek. Przekręcam głowę, Bertha pika raz, potem drugi i milknie. Leżanka się wysuwa i znów wszędzie jest białe światło.

Podnoszę się i strząsam z siebie resztki klaustrofobii.

Nienawidzę ciasnych przestrzeni.

Wchodzi Fenwall.

– Wszystko dobrze? – pyta.

– Poza tym, że będę musiała spędzić pięć lat na bezkresnych stepach Mongolii, żeby dobrać do siebie? Świetnie.

– No to doskonale. Wyniki będą za moment. Chodźmy do twojej mamy.

Wychodzę za nim na korytarz. Jak dobrze jest chodzić w normalnych ciuchach, a nie w szpitalnej piżamie. Wielkim plusem jest też brak cuchnącego turbanu z bandaża. Próbuję wyćwiczyć majestatyczne potrząsanie włosami, ale prawie wpadam na stażystę, więc daję sobie spokój. Ma dość problemów bez moich zjawiskowych włosów w oczach. Mama czeka w lobby. Uśmiecha się, wstaje i mnie przytula.

– I jak? Są wyniki?

Fenwall zerka na wydruk.

– Wygląda na to, że wszystko w porządku. Miejsce po krwotoku zagoiło się zdumiewająco szybko.

– A co z tym? – Wskazuję na bliznę biegnącą znad linii włosów na czoło. – Włosy nie odrastają. Nikt się ze mną nie ożeni!

– Blizna zblednie i zmniejszy się, ale to potrwa. Kilka lat – odpowiada doktor.

Mama klepie mnie po głowie.

– Jeśli ktoś nie ma dwóch metrów wzrostu i nie gapi się na twoją głowę, na pewno tego nie zauważy.

Ma rację. Czym jest jeszcze jedna blizna dla dziewczyny całej w bliznach, na ciele i duszy?

– Mam brać jakieś leki? – pytam. Doktor się uśmiecha.

– Nie. Jesteś wolna. Za kilka tygodni zapraszam na kontrolę.

Zwraca się do mamy i podchodzą do recepcji, porozmawiać z

pielęgniarką. Nie ma wielkiego tłumu, ale widzę więcej ludzi niż zwykle w sobotę. Nie zmienia to faktu, że od razu wpadają mi w oko żywe rude włosy.

– Avery-Bavery!

Dziewczyna o płomiennych włosach odwraca się do mnie. Jej idealna porcelanowa skóra jak zwykle naznaczona jest piegami. Ale z oczami jest coś nie tak, są zmęczone i przekrwione. Narzuciła na siebie niepokojąco niemodne ciuchy. A na dodatek jej mina ani odrobinę się nie zmienia na mój widok, nie krzywi się, nie parska ironicznie. Ewidentnie coś jest nie tak.

– Ty... – mówi cicho.

– Tak, ja! Żyję! Ale łatwo temu zaradzić.

– Zejdź mi z drogi.

– Co tam u ciebie? Masa zachodu z obowiązkami Pierwszej Suki, jak zwykle?

Jej usta ani drgną, na czole nie pojawia się nawet cień zmarszczki.

– Jeśli się nie odsuniesz, sama cię przesunę.

– Spróbuj! Popchnij mnie! Albo wiem, ciśnij mną gdzieś! Tylko nie przesadź, bo jak mnie rozerwiesz na strzępy, wystrzeli tęczą i rozleje się bacardi. Nie mówiąc już o tym, że zostaniesz morderczynią.

– Powinnam cię rozerwać – syczy w końcu, a pozbawiona emocji maska spada wreszcie z twarzy. – Nasrałaś jej w głowie.

– Co?

– Ty. – Avery dźga mnie palcem w pierś. – Sophia w końcu zaczęła ze mną rozmawiać, a ty wszystko zepsułaś.

– Jak mogłam zepsuć?

Widzę po minie, że jest wściekła i chciałaby mi coś zrobić.

– Od lat staram się jakoś jej zrekompensować to, co zrobiłam, a

ona od lat mnie odtrąca. A potem się pojawiaasz, mijają trzy tygodnie i ona już cię lubi? A teraz na dodatek ją zostawiasz. Nie chce z nikim rozmawiać. Ani z pielęgniarkami, ani ze mną.

– Ale przecież... Nie odchodzę na zawsze.

– Nieważne. Ona myśli, że na zawsze. Uważa, że wszyscy od niej odchodzą. – Milknij na dłuższą chwilę. Znam to uczucie o wiele lepiej niżbym chciała. Nerwowo skubię bluzę. Rozwścieczona Avery podejmuje wątek. – Ale jedno muszę ci przyznać. Jak się tu znalazłaś, pozwoliła mi raz do siebie przyjść. Więc przyszłam. I mogłam ją przeprosić. – Smutno wpatruje się przed siebie. – Mogłam przeprosić i przynajmniej spróbować wszystko naprawić. No więc, chyba jestem ci winna podziękowania.

– Nie ma za co? Ale przecież pójdę do niej, zanim stąd wyjdę? I będę ją odwiedzać. Więc nie jest tak, że odchodzę.

– Niedługo będzie miała operację. – Avery w ogóle mnie nie słucha. – A ja nawet nie mogę się z nią pożegnać.

– Możesz. Możesz powiedzieć, co chcesz. Nawet jeśli nie odpowie, to wysłucha. Jestem pewna.

Avery wzrusza ramionami, przepycha się obok mnie, a minę znów ma beznamiętną.

To nie jest Avery. Ledwie pozór olśniewającej jędrzy, jaką była zawsze.

Wracają mama i doktor Fenwall, pogrążeni w przyjacielskiej rozmowie. Mama mówi coś o kontroli w lutym, ale prawie nie słucham.

– Kiedy Sophia będzie miała operację? – pytam doktora.

Jest zaniepokojony.

– Powiedziała ci?

– No chyba! Mogę do niej iść?

– Oczywiście. Jesteś zawsze mile widziana. Moim skromnym zdaniem Sophia powinna mieć więcej gości.

Powinna mieć więcej przyjaciół, nie gości, myślę. Ale nie mówię tego na głos. Ludzie zawsze mają mi za złe to, co mówię. Za dużo gadam. Za szybko. Za głośno. Chyba czas się trochę opamiętać. Może zrobię się dzięki temu mądrzejsza albo dojrzała.

Zamykam oczy i myślę o mamie. Tacie. O Leo. Okazuje się, że dojrzenie nie polega na stawaniu się coraz dostojniejszym. To raczej kolekcjonowanie coraz to nowych odmian bólu.

Może lepiej nie dojrzewać?

Za dnia korytarz prowadzący do sali, w której leży Sophia, wygląda inaczej. Wcześniej przyszła się pożegnać Naomi, zaprowadziła mnie też do Miry i Jamesa. Ale z jakiegoś powodu to pożegnanie jest najtrudniejsze. Stoję przed drzwiami Sophii, szykuję się do zapukania i okazuje się, że już od dawna nie mierzyłam się z takim wyzwaniem. To, co się stało wczoraj, jej krzyki, mina Jacka, gdy o niej wspomniałam... Nie rozumiem tego i gardło mam ściśnięte jak pętla. Mam jej spojrzeć w oczy i się z nią pożegnać, skoro kilka godzin temu słyszałam, jak krzyczy, że mnie nienawidzi?

Jak się pożegnać z Sophią, skoro to może nie jest wcale Sophia, którą myślałam, że znam? To trudne.

Ale halo, przecież nazywam się Isis Blake. Robiłam już trudniejsze rzeczy. Na przykład żyłam.

Pukam dwa razy, a zza drzwi dobiega słaby głos Sophii:

– Proszę.

Siedzi w łóżku. Platynowe włosy rozsypały się na poduszce jak wachlarz, a jej mleczna skóra aż lśni. Wygląda jak księżniczka z gwiazdowego pyłu i śniegu. Nawet ślad nie pozostał po

miażdżącym gniewie, którego doświadczyłam wczoraj. Uśmiecha się.

– Cześć. Wychodzisz, co?

Mówi łagodnie, jak Sofi-Sofka. Normalnie.

– Tak. Rano wpadłam na dole na Avery i powiedziała...

Sophia się wzdryga, a ja rozpoznaję ten dreszcz. Mam to samo, gdy ktoś wypowiada imię Bezimiennego.

– Przepraszam – reaguję od razu. – Nie chciałam...

– Nie szkodzi – odpowiada dzielnie. – Po prostu jest najgorszym człowiekiem na świecie, ale nic więcej.

– Mówiła... że zaczęłaś z nią znów rozmawiać. Po tym, jak trafiłam do szpitala.

– Było mi jej żal – stwierdza gorzko Sophia. – Tak jak jest nam żal bezdomnego psa. Próbowwała przeproszać, ale żadne słowa nie cofną bólu, na który mnie skazała. Żadne. A jednak ona wciąż próbuje. To żalosne.

Teraz ja się wzdrygam.

– Może naprawdę żałuje – zaczynam. Ale Sophia wybucha śmiechem.

– Może. Ale to nie znaczy, że muszę jej wybaczyć.

– Ale... Co ona w zasadzie zrobiła?

Niebezpieczne pytanie, na które Sophia nie odpowiada. W końcu jednak otwiera usta.

– Chodź tu. Pokażę ci coś, zanim wyjdiesz.

Podchodzę i siadam na krześle przy łóżku. Wysuwa szufladę i wyciąga plik listów przewiązanych różową wstążką. Powoli ją rozwiązuje, a potem przegląda plik, aż znajduje właściwą kopertę i podaje mi.

– Przeczytaj.

– Na głos?

– Jak chcesz.

Patrzę na list i odchrząkuję.

– „Kochana Sophio...”

Nagle przeżywam szok. To korespondencja między nią a Jackiem. Widzę jego zamaszyste, idealne pismo. Zerkam na nią nerwowo, ale tylko się uśmiecha i daje znak, że mam czytać. To jakaś pokręcona sztuczka? Dlaczego chce, żebym czytała listy jej chłopaka? Szukam w jej oczach pogardy, ale nie znajduję. Pełne są chłodnego, słodkiego spokoju.

Naprawdę mnie nienawidzi?

Znam ją dopiero od trzech tygodni. Poza tym „przyjaźnimy się” tylko dlatego, że jesteśmy jedynymi nastolatkami w szpitalu. Spotykamy się, esemesujemy do siebie, wymieniamy się głupimi zdjęciami kotów znalezionymi w necie i gadamy o muzyce, ale czy to znaczy, że ją naprawdę poznałam? Nie. Nie wiem, kim jest Tallie. Nie wiem, czemu krzyczała wczoraj w nocy. Nie wiem, na co jest chora. Nic o niej nie wiem.

Wracam do listu.

– „Przepraszam, że od tygodnia nie pisałem. Nie mam żadnej wymówki i nie liczę na przebaczenie, ale mam nadzieję, że ten jeden długi list przyniesie ci więcej przyjemności niż dwa krótkie. U mnie wszystko dobrze. Mama znów maluje, głównie konie. Uwielbia je. Powiedziała, że jednego namaluje na twoje urodziny. Do lipca jeszcze mnóstwo czasu, ale stwierdziła, że stworzenie dzieła sztuki trochę potrwa. Mam tylko nadzieję, że nie skończy się na całym szpitalnym korytarzu zawieszonym kucykami”. – Parskam śmiechem, ale natychmiast tego żałuję. Sophia wpatruje się we mnie, a presja jej spojrzenia miażdży. Ale łagodnie. Jak wiosenna bryza. Zapowiadająca tajfun. Czytam dalej: – „W lipcu będziesz już po operacji. Wybieraj, gdzie chcesz

się wybrać. Zabiorę cię wszędzie. Nad morze? Domek przy plaży mojego dziadka, w Kalifornii, stoi prawie cały rok pusty. Możemy tam jechać na lato. Tylko we dwoje. Myślę, że słońce dobrze ci zrobi”.

Jakie to dziwne. To nie Jack, jakiego znam. W zasadzie w ogóle go nie znam, ale zimny, szyderczy dupek z syndromem Supermana i skłonnością do zdradzania swojej dziewczyny nie powinien być taki... delikatny. Miły. To nie ma sensu. To znaczy ma, bo on kocha Sophie, ale skoro tak mu na niej zależy, po co by mnie całował?

– „W mojej klasie jest nowa dziewczyna. Irytująca jak komar, który nieustannie gwizdże wokół głowy, ten typ. Nie jest w stanie się zamknąć. Wkurza nauczycieli, dyrektora... W zasadzie wszyscy z jako tako działającą błoną bębenkową są nieustannie narażeni na wygadywane przez nią bzdury. Powiedziałbym Ci, jak ma na imię, ale nawet nie pamiętam, jakoś idiotycznie. Ivy albo Iris, nie zwracałem sobie głowy zapamiętywaniem. W zeszłym tygodniu na imprezie uprzejmie dałem jej koleżance do zrozumienia, że nie jestem nią zainteresowany, więc zaczęła rozsiewać o mnie głupie plotki. I uderzyła mnie. Ale nie bolało. Nie bardzo. W każdym razie w ramach szczeniackiej zemsty rozgadała wszystkim, że się całowaliśmy”.

Głos zaczyna mi się trząść. Tak zrobiłam? Nie pamiętam...

Impreza. Zapach rozlanej pepsi i śmiech po pijaku. Dom Avery. Wielki żyrandol, a w nim parówki. Kayla. Moja pierwsza rozmowa z Kaylą, wchodzi Jack, tłum się przed nim rozstępuje, Kayla zbiera w sobie całą mizerną odwagę, żeby z nim porozmawiać, jego kolczaste, zblazowane słowa wymierzone w nią, mój cios, mocny, spontaniczny, krew ciekąca z jego nosa...

Wspomnienia strzelają jak kielkująca po długiej zimie roślina.

Rzucam się do dalszej lektury. Oto moja przeszłość. W tym liście jest to, czego nie pamiętam.

– „To było tak strasznie wkurzające. Boże, żebyś wiedziała. Miałem ochotę udusić każdego idiotę, który mnie o to pytał. W końcu miałem już dość i sięgnąłem po radykalne środki. Obaliłem to jej gadanie, naprawdę ją całując. Przepraszam. Ale mam nadzieję, że zrozumiesz. To było obrzydliwe i żalosne, a ona totalnie, totalnie...” – Zatyka mnie, gdy wybiegam wzrokiem naprzód. Jego słowa nie są uszczypliwe. Po prostu boją. Jak zawsze, kiedy mam kontakt z ludźmi lepszymi ode mnie w miłości, którzy więcej wiedzą i mają na koncie autentyczne, delikatne, prawdziwe doświadczenia. – „...nie wiedziała, co robi”.

Podnoszę wzrok. Sophia marszczy czoło.

– Przykro mi, że jest taki brutalny, ale chciałam, żebyś wiedziała, jak było.

– Lata mi, co on o mnie myśli – parskam. – To jest prawda. Muszę ją znać. Czekaj, czytam dalej.

Sophia kiwa głową.

– Jeśli na pewno chcesz.

– „Prawie mi się cofnęło jedzenie do ust. Ale przynajmniej nie będzie więcej plotek o całowaniu. Mówię Ci to, bo chcę być z Tobą szczerzy i przepraszam. To się już nie powtórzy. Są idioci, których trzeba uciszyć, zanim się na dobre rozkręcą”.

Prycham. Sam jest idiotą. Królem idiotów. Ktoś mu powinien dać znać o koronacji. Kilka następnych linijek czytam sama sobie i czuję, że policzki mi pałają.

– „Tęsknię za Tobą. Codziennie. Niedługo przyjdę. Twój Jack”.

No dobra, przeczytałam najważniejsze, reszta jest dość osobista.

Sophia chichocze i sięga po list.

– Głupek z niego i romantyk.

– No tak. Dzięki. Teraz wiem, jak było.

– Teraz wiesz – przyznaje.

– Pocałował mnie, żebym się zamknęła. – Kiwam z uznaniem głową. – Niezłe. Dobra metoda.

– Dlaczego?

– No wiesz. Chłopak taki jak on, całujący taką dziewczynę jak ja? To sprzeczne z naturą. Złe. Niedające szans. Zresztą, każdy chłopak przebywający w pobliżu mojej twarzy na tyle długo, żeby mnie pocałować, sprzeniewierza się zasadom doboru naturalnego. Jest tyle innych dziewczyn. Jak ty! I Kayla! I wszyscy! I w obliczu wszystkich wybieranie mnie? To jak wybranie jogurtu naturalnego zamiast tortu!

Śmieję się. Ale Sophia milczy, a włosy opadają jej na twarz. Nie widzę jej. Nie odzywa się przez dobrą minutę, a ja nerwowo podskakuję na krześle. Zaraz. Ja? Nerwowo? Opamiętuję się i kładę jej dłoń na ramieniu.

– Hej, Sofko, co z...?

– Jesteś obrzydliwa. – Pogarda wypełniająca te słowa sprawia, że wnętrzości ścina mi lód. To ten sam głos, który słyszałam w nocy. Ta druga Sophia. Przechyliła głowę. Włosy opadają z twarzy i widzę jej opadające powieki. – Naprawdę myślisz, że ktoś się na to złapie?

– O co ci...?

– O te żałosne porównania. O to, że pozbawiasz się wartości. Jesteś chorą, masochistyczną szmatą, która zgrywa niewiniątko, żeby ludzie ją lubili. Żeby jej żalowali.

Mocno obrywam tymi słowami. Mocniej, niż kiedy Leo cisnął mną o ścianę.

– Naprawdę tak o mnie myślisz? – dopytuję. – Uważasz, że... Że mówię to wszystko, żeby ludzie mnie lubili?

Sophia wybucha głośnym i złowrogim śmiechem.

– Nie rźnij głupiej. Milion razy robiłam to samo. Jesteśmy identyczne. Dlatego cię rozumiem. Żadna z nas nie jest sobą przy ludziach. Bobyśmy ich wystraszyły. Więc udajemy. Nie mówimy tego, co chcemy. Nie zwierzamy się ze swoich myśli i wszyscy uważają nas za normalne. Niegroźne. Ale to bzdura. – Bardzo się zmieniła. Siedzi odprężona, wyniosła, usatysfakcjonowana. Oczy ma zmrużone, a po ustach błąka się uśmieszek. – Teraz już rozumiem, dlaczego tak zafascynowałaś Jacka. To dlatego cię pocałował. Dlatego zadał sobie trud poznania cię. Bo jesteś taka jak ja. Równie beznadziejna.

– To jakieś szaleństwo.

– Tak? Ja jestem szalona? Jestem wariatką tkwiącą w szpitalu i wylewającą swoje frustracje? Widzę rzeczy, które nie istnieją? Skąd mam wiedzieć, co się dzieje, skoro jestem tu udupiona, tak? – Odrzuca głowę i znów się śmieje tym onieśmielającym śmiechem. Po chwili znów na mnie patrzy, a jej oczy płoną; dwa niewzruszone szafiry, których siła bombarduje. – Jesteśmy takie same, Isis. Ale czymś się jednak różnimy. Ty jesteś zdrowa. Wrócisz do normalności, będziesz biegać, skakać, chodzić do koleżanek na noc i marzyć. Pójdiesz do szkoły, potem na studia i zaliczysz wszystko, co przysługuje normalnym dziewczynom. Bo jesteś normalna. A może jesteś wyjątkowa? Może tylko wyjątkowe dziewczyny mają takie przywileje, a to ja jestem normalna? Nie. Nie odpowiadaj. Nie jestem ani trochę normalna. Jestem trefna. A ty udajesz trefną, choć tak naprawdę to ja taka jestem. Więc śmiało. Zaserwuj mi jeszcze porcję swojej sztucznej skromności. No już! – Milczę. Nie przychodzi mi do głowy żadna riposta, żaden żarcik. Zaciskam tylko pięści i dygoczę. Sophia się uśmiecha. – Tak myślałam. A teraz wyjdź.

Docieram do drzwi, ale odwracam się. Ona obserwuje każdy mój krok, a uśmieszek, od którego mnie mdli, nie znika z jej twarzy. Nie mogę tak po prostu wyjść. Lubiłam ją. Lubię. Szczerze.

– Po operacji ty też będziesz normalna. I wtedy... Jeśli nie będziesz mnie nienawidzić, pójdziemy... na zakupy. Albo się upijemy. Albo zrobimy coś innego. Coś, co robią normalne dziewczyny. Bo myślę... Myślę, że możemy być przyjaciółkami.

– A ja nie – odpowiada beztrąsko. – A teraz wyjdź i więcej nie wracaj.

– Odpychasz mnie – zaczynam, a z każdym słowem mój głos staje się mocniejszy. – Wszystkich odpychasz pierwsza, żeby nie mogli cię zostawić. Zrobiłaś to z Avery, zresztą pewnie nie bez powodu. Ale jednak zrobiłaś. A teraz kolej na mnie. I w porządku, ale ja wiem, jak to jest, gdy człowiek czuje się samotny i przerażony. I nie chce, żeby ktoś od niego odszedł.

Sophia nadal się uśmiecha, ale teraz wygląda to już na pusty grymas, nie wyraz prawdziwych uczuć. Pozór, fasada.

– Trzydzieści osiem procent – rzuca.

– Co?

– Takie mam szanse na przeżycie operacji. Trzydzieści osiem procent. A jeśli jej nie przejdę, zostały mi dwa miesiące życia. – Milczę. Sophia składa dłonie i opiera się o poduszki. Już się nie uśmiecha. – Więc nie, Isis, nie wiesz, jak to jest. Nie masz pojęcia, jak to jest, czekać na śmierć. Wyjdź i zostaw mnie w spokoju.

Kręcę głową.

– Nie, nie zamierzam. Nawet jeśli będziesz prosić. Nawet jeśli się do mnie nie odezwiesz. Wrócę tu. Jeszcze wiele razy. I nic na to nie poradzisz.

– Wezwę ochronę – warczy.

– Widzę, że mnie nie doceniasz. Wiesz, ile razy wykołowałam takich spasionych goblinów z paralizatorami?

– Pieprz się! – wybuchła.

Oddycham głęboko. Z tym musi się mierzyć Naomi? I Jack? Na pewno nie było im łatwo, ale Sophii jest jeszcze trudniej. Ciężko się patrzy na siebie z głębi pancerza, gdy emocje i głęboko skrywany ból biorą górę. Znam to jak nikt. To uczucia sprawiły, że w wieku czternastu lat się głodziłam, torturowałam. Długo byłam swoim największym wrogiem i nic nie mogłam na to poradzić. Patrzyłam tylko, jak na własne życzenie pogrążam się w coraz głębszym szambie. Dlaczego? Czemu nie mogłam się opamiętać? Z jakiego powodu po prostu nie wzięłam się w garść?

Odpowiedź uderza mnie raz za razem jak puenta kiepskiego dowcipu: bo nie chciałam.

Cierpiałam wówczas tak bardzo, że nie chciałam mieć nad sobą kontroli. Isis, która dotąd trzymała stery, dała dupy i pozwoliła się skrzywdzić. Teraz rozumiem, że sobie nie ufałam. Dlatego wpadłam w taki kanał i odmawiałam wzięcia odpowiedzialności za swoje czyny. Nie chciałam stawiać im czoła. Ani świadomości, że strasznie schrzaniłam sprawę, ufając Bezimiennemu. Przekazałam więc rządy ciemnej stronie mojej natury i żeby się ukarać, zdałam się na nią.

Sophia ma takie same oczy. Rozpoznaję w nich spojrzenie Isis sprzed lat. Czasem wciąż tak patrzę, tak jakby ktoś mnie od środka rozcinał na pół. Ona też sobie nie ufa. A w konsekwencji nie może zaufać nikomu.

Uśmiecham się.

– Wiem, że jest ciężko. Ciężko jest odchodzić. Ale powrót nie będzie trudny. Moim zdaniem jesteś cudowna – informuję ją. – Wrócę tu, obiecuję.

Jej spojrzenie posyła prosto w moje serce jeden sztylet za drugim. Ale nie czuję bólu. Tylko współczucie, zrozumienie. Pokrewieństwo. I żadna liczba okrutnych słów tego nie zmienia.

Nigdy w życiu się tak nie cieszyłam z powrotu do domu.

No, nie licząc tego razu, gdy Kayla oddała mi swoje burrito, a potem Wren swoje, w związku z czym zaliczyłam trzy stołówkowe burrito i przez całą algebrę myślałam tylko o sedesie i kanalizacji, a do domu jechałam szybko jak nigdy.

Pierwszy wita mnie w progu Szatańskie Nasienie, mój kot. Wyłania się zza rogu, a ja rzucam się ku niemu, gotowa obdarzyć go uściskiem pełnym najczystszej miłości i szczerzej przyjaźni. Zapobiegliwie kąsa mnie w kostki.

– Auć! Aua, to boli, mały gównojadzie! – syczę. Odsykuje coś po swoim.

– Ooo, jaki kochany! Stęsknił się za tobą! – rozplywa się mama, która wchodzi za mną.

– Chyba raczej za moimi sznurówkami.

Mama się śmieje, a ja zanoszę na górę plecak. Mój pokój wydaje się obcy. I pachnie tak dziwnie. Zdążyłam przywyknąć do delikatnego aromatu środków odkażających. Padam na łóżko i gapię się na sufit. Kto by pomyślał, że można się tak stęsknić za kawałem gipsu?

Panna Muffin, pluszowy miś panda, przysypia. Kładę ją sobie na piersi i uściskiem miążdżę jej zawartość made in China.

– Wróciłam. – Śmieję się z tych słów, wciąż trochę obolała po szpitalu i psychicznym przeczołganiu, jakie mi zafundował. Po przeczytanych słowach Jacka. Ale chwilowo jestem zbyt szczęśliwa, żeby się nad tym zastanawiać. Chwilowo. – Naprawdę wróciłam. – Wypuszczam powietrze z płuc.

Z dołu dolatuje zapach czegoś smakowitego i podrywa mnie z łóżka. Przyprawy? Ser? Schodzę, gdy mama wyciąga z piekarnika lasagne.

– Sama zrobiłaś? Dla mnie?

Uśmiecha się speszona.

– Ja kupiłam ciasto na deser. To jest od kogoś... Kogoś bardzo miłego. Podrzucił mi.

Stawia przede mną talerz i zachęca, żebym spróbowała. Wkładam kęs do ust i smak eksploduje. To najlepsza rzecz, jaką jadłam od dawna. Szpitalne jedzenie nawet obok tego nie leżało. Kurczę, prawdziwa włoska restauracja mogłaby mieć problem, żeby to pobić.

– To jest... Kto to zrobił?

– Smakuje ci? – Mama żuje swój kawałek. – Moim zdaniem jest pyszne.

– Jesteś mistrzem unikania odpowiedzi, mamó. Nie myśl, że nie widzę. Kto ci to przyniósł?

Marszczy czoło.

– Jack.

Zerkam na lasagne, potem na mamę, potem znów na lasagne, a następnie pędzę do łazienki z zamiarem wepchnięcia sobie palców do gardła.

– Skarbie! – Mama wali w drzwi. – Co ty robisz?

– Zatruję ją! – krzyczę ustami pełnymi palców. – Szybko zjedz chleb i zażyj węgiel, żeby opóźnić dostanie się trucizny do krwi!

– Nie wygłupiaj się!

– Słucham? – Otwieram drzwi. – Nie wspomniałam ci, jaki on jest podły? Zdradził swoją dziewczynę. Porzucił ją na trzy tygodnie, a mnie nienawidzi...

Grymas mamy robi się przerażający. Łapie mnie za ucho,

wykręca jak wtedy, gdy byłam małą, a następnie ciągnie mnie do stołu.

– Auć, auć, auć! Potrzebuję tego do rozróżniania dźwięków!

– Siadaj i jedz. Zjesz do końca, choćbym ci miała pomóc.

– On to zatruł...

– Niczego nie zatruł! – krzyczy mama i wali widelcem w stół. – Okazywał mi wielką sympatię i troskę, gdy byłaś w szpitalu. Prawie co wieczór przywoził jedzenie i sprawdzał, co u mnie. Pozwól też, że ci przypomnę: to on cię uratował. Okaż mu szacunek i zjedz wszystko do końca, bez słowa skargi.

Krzywię się. Przez dłuższą chwilę toczę walkę psychologiczną z kawałkiem sera, ale w końcu ulegam. Dopiero wtedy mama się rozluźnia, przynajmniej trochę, i zaczyna sama jeść. W sercu zaczyna mi rozkwitać uraza, ale wyrywam ją z korzeniami. Przecież ona nie ma pojęcia, jaki Jack jest naprawdę. Nawet ja nie mam, więc nic dziwnego, że go broni.

Jakoś w połowie deseru, na który składa się lekko podeschłe kupne ciasto, ciszę przerywa łza kapiąca na stół. Mama chowa twarz w dłoniach.

– Isis, przepraszam. Nie chciałam cię skrzywdzić. Boże, tak cię przepraszam.

Dość złożone, jak na zwykłe przeprosiny.

Podnoszę się, staję za nią i przytulam policzek do jej pleców, na wysokości łopatek. Widzę na stoliku kawowym w salonie jakieś papiery z sądu, zeznania policyjne i moje rachunki za szpital.

– P-przepraszam – szlocha dalej. – To moja wina. Wszystko. Jak cię zobaczyłam w szpitalu, z głową całą we krwi... Och, skarbie...

– Odwraca się do mnie i łapie w objęcia. – To moja wina, że zostałam ranna. Wpuściłam Leo do swojego życia i skrzywdził nas obie. Było dobrze, dopóki krzywdził tylko mnie. Znosiłam to. Ale

nie pomyślałam... Nie chciałam...

Szloch przechodzi w łkanie. Trzęsie się tak bardzo, że zaczyna szcząkać zębami.

– Wszystko dobrze – szepczę. – Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Tego wieczoru prosi, żebym spała w jej pokoju, więc tak robię. Materac dmuchany to stary przyjaciel, dawne miejsce na podłodze przy łóżku wita mnie serdecznie. Spędziłam tu wiele nocy. Tutaj przydaję się najbardziej, uspokajam mamę, daję jej poczucie bezpieczeństwa. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

To moje miejsce.

Rozdział 6

3 lata, 26 tygodni, 3 dni

W East Summit High mogłaby uderzyć bomba atomowa, a i tak nic by się nie zmieniło. Nie licząc boiska. I może architektury. Ale jedzenie by przetrwało, bo jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że jest robione z mięsa karaluchów. Przetrwałyby też pani Borsche, bo umówmy się, wszyscy wiedzą, że jest szpiegiem z czasów zimnej wojny, genetycznie zaprogramowanym do wychodzenia cało z takich drobnych potyczek jak fala uderzeniowa po wybuchu atomowym.

Gdy podjeżdżam na parking, na krawężniku stoi już Kayla. Pędzi do mnie, prawie wpada pod samochód i przytulamy się.

– Żyjesz!

– Poniekąd. – Śmieję się. Pachnie kokosem i łzami chłopców, którzy nigdy nie dostaną szansy na randkę z nią. Czuję, jakbym wracała do domu. Przytulenie jej jest drugim najlepszym uczuciem, zaraz po spaniu we własnym łóżku. No dobrze, na dmuchanym materacu, ale zawsze. Później dostrzegam idącego w naszą stronę Wrena. Kayla też go zauważa. Dopada do niego i przyciąga. Prawie mu spadają okulary, ale uśmiecha się nieśmiało.

– Isis! – wykrzykuje.

– We własnej osobie! Całkiem żywa! Przynajmniej

tymczasowo. Za jakieś siedemdziesiąt lat znowu umrę.

Wren się śmieje i obejmuje mnie jedną ręką, niezręcznie, jak to robią chłopaki.

– Dobrze, że wróciłaś.

– Bez ciebie można było umrzeć z nudów – narzeka Kayla. – Avery siedzi cicho i zachowuje się dziwnie, Jack siedzi cicho i zachowuje się dziwnie... Jeszcze dziwniej niż w czasach, gdy był ludzkim lodowcem. To naprawdę dziwne.

– Może dopadło go globalne ocieplenie? – podsuwam.

– Nikt nie ucieka przez okno w laboratorium fizycznym...

– Tchórze!

– ...Evans cały czas nawija o Jacku...

– Zbrodnia!

– ...a w kiblu w budynku F ktoś napisał „Isis Blake to tłusta wariatka”.

– Brawa za oryginalność!

Wren wybuchą śmiechem, a Kayla najpierw marszczy czoło, ale potem do niego dołącza. Tak jak pięć miesięcy temu, gdy się tu pojawiłam, wchodzę pod łuk z napisem „East Summit High”. Ale tym razem nie idę sama. Są ze mną przyjaciele. Mam przyjaciół. Mam przyjaciół! Słyszysz to, Isis z przeszłości? Masz przyjaciół, którym na tobie zależy, którzy się z tobą śmieją. Poczekaj, a będziesz ich miała.

Nie rycz.

Masz przyjaciół.

Sophia nie miała racji. Nie udaję przy nich. Jestem sobą, nieznośną, ale szczerą. Nie boję się im tego pokazać. Odślaniam swoją prawdziwą, głośną i paskudną naturę, nawet jeśli trudno jest mi opowiedzieć o mojej przeszłości. A oni mimo to mnie lubią.

Zagryzam wargę i przyspieszam, żeby nie widzieli fali przypływu wzbierającej pod moimi powiekami.

– Ej! Isis! Czekaj! – woła Wren.

– Gdzie pędzisz? Przecież teraz mamy Bersona. Będzie nawijał o waginach jakiegoś zielska! – krzyczy Kayla. Śmieję się, ale idę jeszcze szybciej. Kątem oka zauważam ogoloną głowę, więc się odwracam i eksploduję:

– Nożownik! Jak się miewasz, stary druhu?

– Znamy się dopiero od pięciu miesięcy – poprawia mnie, ale ja go obejmuję.

– W psich latach to będzie jakieś dziesięć lat. Jesteśmy praktycznie rodziną!

– Co ty, płaczesz?

Prycham.

– O tym mówisz? To tylko młodzieńczy Weltschmerz wpadł mi do oka. Nirvana byłaby dumna.

Nożownik parska śmiechem.

– Dobrze, że wróciłaś.

– Tak?

– Tak. Jack był bez ciebie nieznośny, powinnaś mu utrzyć nosa. Czy co tam. – Burczy jeszcze pod nosem i patrzy gdzieś przed siebie, więc mierzwię mu zaczątek irokeza. – Przestań mnie dotykać. Jeszcze ktoś pomyśli, że jestem normalny.

– O nie!

– I Jack mnie zabije.

– Jack? – Wydymam usta. – Jack ma mnie gdzieś. Nie, czekaj, pomyliłam kolejność. Ja mam gdzieś Jacka.

Ale Nożownik wykręca się spod mojego ramienia, a kiedy posyłam mu spojrzenie mówiące: „A czemuż to unikasz mego przyjacielskiego uścisku?”, wskazuje głową za moje plecy.

– Nie jestem na tyle głupi, żeby się pakować między was.

Odwracam się i widzę go. Niecałe dwa metry od nas stoi Jack i krzywi się, jakby pożarł cały cytrynowy gaj naraz. W dziennym świetle jego włosy i lodowatoniebieskie oczy wyglądają inaczej niż w morderczych szpitalnych jarzeniówkach.

– Ach! Jest i Jack! Jack, pogromca żeńskiej pewności siebie! Jack Sparrow, uroczy wróbelek, co nad poziomy wylata i sra wszystkim na głowy.

– Widzę, że uraz głowy jeszcze się przysłużył twojej kreatywności. Ale niestety spójności wypowiedzi już nie – cedzi beznamiętnie, a potem spogląda na Nożownika. – A kimże jest ten uroczy młody człowiek? Twój absztyfikant? – Jack macha mu ręką przed nosem. – Ślepy? Czy tylko głupi?

W jednej chwili tracę cierpliwość i coś we mnie pęka. Nie pamiętam Jacka, ale bardzo dobrze pamiętam Nożownika, i wiem, że był dla mnie miły. Rzadko i dziwacznie, ale jednak!

– Mam nieodpartą ochotę przywalić ci w twarz, nie wiesz przypadkiem czemu? – Przekrzywiam głowę. Może sobie wymyślam, ale mam wrażenie, że lekko zadrżał. Z wściekłości? No tak, oczywiście, że tak.

– To pamięć mięśniowa cofa cię do chwili, gdy uderzyłaś mnie tak mocno, że zobaczyłem inne galaktyki.

– I co, podobały ci się? Widziałeś galaretowatych ufoli? Supernowe? Mantoroka, Boga Umarłych?

– Wszechświat równoległy, bez ciebie. Czuję się jak w raj. – Nożownik zaczyna chichotać, ale Jack na niego łąpie. – Powiedziałem coś śmiesznego?

– Od trzech tygodni nie wypowiedziałeś do nikogo ani słowa, a teraz ona wróciła i ty... – Kręci głową. – Zresztą, nieważne.

Patrzę, jak odchodzi. Jack nic nie mówi, usta ma ściągnięte. Ja

zaczepuję tchu i kołyszę się na piętach.

– Naprawdę mnie nienawidzisz, co? – pytam.

Jack wbija we mnie lodowate spojrzenie.

– Co?

– Słyszałeś, co mówił. Jak mnie nie ma, milczysz. Wracam, a ty zaczynasz strzelać obelgami. Musisz mnie naprawdę nienawidzić, żeby się kłopotać przerywaniem milczenia. Rozumiem.

Czytałam twój list do Sophii. Wiem, jak bardzo mną gardzisz.

Nożownik nawet nie ma pojęcia, ile to znaczy.

Isis go objęła, jakby to nie był żaden problem. Dotąd robiła to tylko z Wrenem, dlatego że jest nawet mniej onieśmielający niż puchaty szczeniaczek. Ale Nożownik to co innego. On jest onieśmielający, wściekły i wysoki, a pod koszulkami z Black Sabbath ma prawdziwe mięśnie. Nie jest Wrenem. Jest mężczyzną. Miesiąc temu mój dotyk wywołał u niej panikę i potok łez. To wspomnienie tak bolesne, że je wyparła, a teraz jego dotyka, jakby to było zupełnie normalne.

Serce mi wali tak mocno, że czuję je w opuszkach palców. Robi mi się gorąco, fale ognia przetaczają się przeze mnie jak pożar. Muszę się opamiętać. Powinienem się odwrócić i odejść. Przecież pochowałem już nadzieję. Uznałem, że jest martwa. Ale powróciła z zaświatów tamtej nocy w szpitalu niczym czarnoksiężnik. Jakbym jej nigdy nie pogrzebał. I nie mogę się opanować. Nie teraz, kiedy tu jest. Nie, kiedy dotyka...

Stoję za nią. Nożownik łąpie na mnie podejrzliwie, a ona się odwraca. Purpurowe pasemka we włosach trochę przyblakły. Ale nie jest już tak blada jak w szpitalu, na policzkach ma rumieńce. Uśmiecha się lekko, a ja jak ostatni debil, którym oczywiście

jestem, pozwalam, żeby ten uśmiech podsycał płomienie trawiącego mnie ognia.

– Mam nieodpartą ochotę przywalić ci w twarz, nie wiesz przypadkiem czemu? – Przekrzywia głowę i wygląda jak rozwścieczony ptaszek. Ten jeden ruch przywołuje falę wspomnień z imprezy u Avery. Głęboko wciągam powietrze, pamiętam jej nagi dekolt, uśmiech, gdy mówiła, że czuje mój puls, ciche westchnienia...

Opamiętaj się, Jack. Zapanuj nad sobą! Jesteś tym, kim byłeś. Jackiem, który uważał ją za co najwyżej irytującą przeszkodę.

Isis pyta, czy jej nienawidzę, a syreny w mojej głowie wszczynają alarm.

– Nie – wypalam, ale pohamowuję się od dalszego ciągu. Nie, Boże, zupełnie nie. Ale jak jej to przekazać? Jak mam jej powiedzieć, że...

– Słuchaj, spoko. – Uśmiecha się. – Jestem ci bardzo wdzięczna, że uratowałeś mamę. Tylko dlatego ci wtedy w szpitalu nie przywalałam. No, poza tym, że dojrzewam i staję się pięknym, dojrzałym motylem. Ale głównie ze względu na mamę. Widocznie źle na siebie działaliśmy, więc po prostu ty trzymaj się z dala ode mnie, a ja od ciebie. I będziemy sobie spokojnie żyli. Dobry pomysł?

Ściska mnie w żołądku. Nie. Niedobry pomysł. W ogóle niedobry. To ostatnie, czego bym chciał.

– Ucieczka? To jest twoje rozwiązanie problemu? – warczę. – Jestem częścią twojej przeszłości. Uciekłaś od Willa Cavanaugha, ale teraz ci się nie uda. Niczego w ten sposób nie naprawisz. Nie zaznasz spokoju.

Na dźwięk tego nazwiska kuli się odruchowo, ale zaraz się prostuje i łypie na mnie wściekle.

– Czemu ci się do cholery wydaje, że cokolwiek wiesz?

– Nie możesz mnie wymazać ze swojego życia, jak to zrobiłaś z tym złamasem. Ja nie jestem nim. Więc mnie tak nie traktuj.

– Nienawidzisz mnie – mówi uparcie. – On też. Lepiej wychodzę na skreślanie takich osób.

Słyszę w uszach wrzask nakazujący, żebym do niej podszedł i ją przytulił. Pokazał, że jej nie nienawidzę. Ale to zachowanie nietypowe dla tamtego Jacka, którego zresztą ledwie pamięta.

– Wkurzasz mnie – stwierdzam lodowato. – Ale cię nie nienawidzę. To różnica.

Śmieje się.

– Niewielka.

– Szanuję cię. Nie zgadzam się z tobą w większości spraw, ale darzę cię szacunkiem. – Isis parska. – Wierz albo nie, mam to gdzieś. Prawda pozostanie prawdą. Zanim Leo cię zaatakował, darzyliśmy się szacunkiem. Mam nadzieję, że któregoś dnia przypomnisz sobie chociaż tyle.

– Pamiętam tylko ten głupi pocałunek.

– Który? – Od tamtej rozmowy w szpitalu pragnąłem poznać odpowiedź na to pytanie. Szerzej otwiera oczy, aż wyglądają jak wielkie bursztyny.

– Jak to „który”? O co ci...

Nad naszymi głowami rozlega się przenikliwe dzwonienie. Ona aż podskakuje, a ja korzystam z okazji i czmycham, zostawiając ją daleko w tyle. Matematyka nie jest w stanie przedrzeć się przez spowijające mnie niedowierzanie. Przez całą lekcję nerwowo podryguję i stukam ołówkiem w zeszyt. Co ja narobiłem? Przy niej nad sobą nie panuję. Myślałem, że dam radę. Obiecałem sobie. Ale myśl o niej i jej faktyczna obecność to dwie różne sprawy. Gadam bez namysłu. Język ciała mnie

zdradza.

Nie kontroluję się.

I to mnie przeraża. Bo jeśli ona czegokolwiek ode mnie potrzebuje – w ogóle od faceta – to opanowania.

Lekcja się kończy i wyglądam przez okno. Isis i Kayla przechodzą tuż pode mną. Isis jest w lepszym nastroju, już się nie krzywi, uśmiecha się. Ja wywołuję tylko grymas, nic więcej. I wtedy to dostrzegam. Białą bliznę na jej głowie. Nie jest bardzo duża, ale mała też nie. Poszarpana, różowa na brzegach. Jeszcze się goi. Ten widok wystarczy, żeby przepełniła mnie wściekłość. Czuję ją w gardle, w płucach.

Została ranna, bo nie zdążyłem na czas.

Tak jak z Sophią, znów to samo.

Zgarniam rzeczy i mocno popycham drzwi klasy. Potrzebuję powietrza. A właściwie nie powietrza. Potrzebuję ciszy. Ściana za stołówką to jedyne miejsce, gdzie można zapalić, nie narażając się, że ktoś zobaczy. Jest tam już kilka osób, śmieją się. Opieram się o ścianę i zapalam. Ulatują spiralne smużki dymu, a palenie w gardle dorównuje palącemu poczuciu winy w piersi.

– Hej – odzywa się ktoś tuż obok mnie. Nożownik.

– Czego chcesz? – warczę.

Wzrusza ramionami.

– Nie wyglądasz najlepiej. Postanowiłem spytać, czy będziesz rzygać. Żebym wiedział, jak blisko stanąć.

– Stoisz bardzo blisko.

– Dopóki gadasz, nie będziesz haftował. Kiedy zacząłeś jarać? – pyta. – Myślałem, że jesteś grzecznym i eleganckim chłopcem, który idzie do Harvardu czy gdzieś, jeden szajs.

– A ty kiedy? – odpalam.

– Jak mój stary powiedział, że jestem mięczakiem i nie nauczę

się palić. Chyba zrobiłem to jemu na złość.

– Gdzie jest teraz?

– W pierdłu. – Zapada długa cisza. Nożownik gasi papierosa. –
Widziałeś to, co?

– Co?

– To na ręce Isis.

– Jakie „to”?

Parska śmiechem.

– Jak na kogoś tak bystrego jesteś strasznie ciemny.

Nie mam siły na więcej niż zaciśnięcie warg.

– Miło było – odzywa się w końcu – patrzeć na was oboje. Od
dawna w tej dziurze nie zdarzyło mi się coś tak fajnego. Więc
daję ci dobrą radę: nie pal przy niej.

– Dlaczego myślisz, że...

– Nie spodoba jej się to. Uwierz.

– Mówiła ci, że nie lubi?

– Nie musiała.

Mruży oczy, a zanim udaje mi się go mocniej przycisnąć, znika
za rogiem. Mieleń jego słowa przez parę długich minut, wytężam
mózg, żeby wszystko złożyć w całość, a potem nagle mam.
Akurat dzwoni dzwonek na następną lekcję, ale ja już wszystko
wiem. Wnętrznoci zaczynają mi się gotować.

Postanawiam, że jeśli kiedyś spotkam się twarzą w twarz z
Willem Cavanaughem, wydarzy się to na rozprawie sądowej,
kiedy dostanie wyrok śmierci.

Dyrektor Evans jest zachwycony, że mnie widzi. Tak sędzę, bo
lata po gabinecie i wrzuca do ust tabletki aspiryny jak cukierki.

– Pan dyrektor! – krzyczę i rozkładam ramiona. – Kopę lat,
staruszkule!

– Isis, litości. Pęka mi głowa.
– Jak tam żona i dzieciaki?! – wrzeszczę.
– Widzę, że lubisz mnie dręczyć – jęczy.
– Lubię wszystko, co nie jest nudne. – Padam na fotel przed biurkiem. – No więc? Czemu zawdzięczam to przewspaniałe zaproszenie?

Odtyka uszy i sięga do szuflady po kopertę z elegancką czcionką i rysunkiem jakiegoś budynku.

– Czy to jest to, co myślę, że jest? – pytam.

– Stanford – odpowiada spokojnie. – Podejrzewam, że to samo wysłali na twój adres domowy, ale potwierdzenie dostaje też szkoła.

– I jest pan na tyle cierpliwy, że jeszcze pan nie otworzył? Imponujące! Naprawdę! Bardzo pan dojrzał od czasu, gdy był pan małym gnojkiem rozklejającym po całej szkole moje zdjęcia.

Krzywi się.

– Może otworzysz?

– A może nasikam panu do soku jabłkowego?

– Isis...

– Dobra, niech pan słucha. – Biorę głęboki wdech. – Mama ma niedługo rozprawę. Może się panu obilo o uszy. Będzie mnie potrzebować. Pewnie jeszcze całkiem długo. Więc mogę nadrobić zaległości i skończyć szkołę ze wszystkimi albo nie wiem, co jeszcze, ale prawda jest taka, że nie jestem urodzoną uczennicą. Co oczywiste. Pan o tym oczywiście wie. Może dobrze wypadam na papierze, ale sprawiaam kłopoty, jestem niedojrzała i wygaduję idiotyzmy. Więc nie zasłużyłam na to. To znaczy zasłużyłam, ale college to nie miejsce dla mnie. A już na pewno wielki, znany college. Lepiej na tym wyjdą, jak dadzą moje miejsce komuś z Korei. Komuś naprawdę oddanemu sprawie i dojrzałemu.

Ogólnie komuś, kto nie jest mną. – Popycham kopertę z powrotem w jego stronę. – No więc tak. Może pan otworzyć. Albo wyrzucić. Wszystko mi jedno. Ja w każdym razie tam nie idę.

Evans milczy. A gdy w końcu podnosi wzrok, wydaje się nagle o wiele starszy. Zmarszczki wokół oczu są głębsze, a czoło porwane bruzdami wieloletniego zmęczenia.

– Robisz to samo co Jack.

– Czyli co?

– Nie chcesz iść na studia z powodu ludzi, których kochasz. Odmawiasz zostania kimś wybitnym. Masz ogromny potencjał. I wyrzucasz go do kosza.

– Jakie odmawiam? On odmówił?

– Nie pamiętasz? Chciał zostać w Ohio, żeby się opiekować tą dziewczyną, Sophią. A został przyjęty do każdego college’u z Ligi Bluszczowej.

– Przecież idzie do Harvardu. Wszyscy o tym nawijają.

– Tak. Ale zmienił zdanie dopiero po... W zasadzie nie wiem dlaczego. Ale nie pozwolę, żebyś też zrezygnowała. Proszę cię. Wiem, mówiłem, że decyzja będzie należała do ciebie, ale spełnij moją prośbę. Otwórz list, przeczytaj i przemyśl wszystko. Jeśli nadal nie będziesz chciała skorzystać, uszanuję twoje postanowienie.

Parskam. Przez chwilę wpatruję się w kopertę, a w końcu zgarniam ją do siebie.

– Dobrze. Dobrze. Ale proszę się nie spodziewać happy endu.

– Nigdy się tego nie spodziewam. – Uśmiecha się blado.

Wstaję i już mam wychodzić, kiedy woła za mną:

– Isis! Powodzenia na rozprawie. Mam nadzieję, że mężczyznę, który cię skrzywdził, osiągnie sprawiedliwość.

Zaciskam pięści i trzaskam drzwiami. Co on wie o

sprawiedliwości? Okazał się dupkiem, który chciał się podlizać toczącemu ze mną wojnę Jackowi, i porozklejał po szkole moje stare zdjęcia, z czasów, gdy byłam gruba, żeby w zamian zmusić go do pójścia do Harvardu. Później, gdy się zorientował, że też mam dobre oceny, usiłował mi to wynagrodzić i zaczął wpychać mnie w ziejącą, wygłodniałą paszczę najbardziej snobistycznych college'ów świata.

Wychodzę na dziedziniec. Zimne lutowe powietrze szczypie mnie w kostki, ale świeci też słońce i grzeje mnie w twarz. Kojący kontrast. Dostrzegam siedzącą na niskim murku Kaylę. Zagapiona jest gdzieś w przestrzeń.

– Wyglądasz, jakbyś myślała – mówię. – Zrobić ci zdjęcie, żeby jakoś upamiętnić tę chwilę?

Wywraca oczami.

– Bardzo zabawne. Umieram ze śmiechu.

– Robię, co mogę. – Przysiadam się. Marszczy brwi i wraca do wpatrywania się w pustkę. Zanim jednak przychodzi mi do głowy jakiś dowcipas, którym mogłabym ją wyrwać z zamyślenia, odwraca się do mnie.

– Czemu Wren się tak dziwnie zachowuje, jak widzi Jacka?

– Dobre pytanie. Nie wiem, zwłaszcza że połowa mózgu wypłynęła na podłogę w moim przedpokoju. Pamiętam tylko, że zrobił coś złego. A przynajmniej tak twierdzi Wren w moich zamglonych wspomnieniach.

– Jack zrobił coś złego? Ale... co?

– Nie wiem. – Patrzę na trawę. – Serio, nie wiem, i zabija mnie to, ale jakimś cudem wracam do żywych i wciąż snuję się po świecie w parodii istnienia.

– Pamiętam, że się przyjaźnili – wspomina Kayla. – Przyszłam do tej szkoły jakoś w czwartej klasie. Wren, Jack, Avery i ta

Sophia byli przyjaciółmi. Bardzo bliskimi. Do ich kręgu nikt nie mógł się zbliżyć. Zazdrościłam im. Ja nie miałam prawdziwych przyjaciół, tylko ludzi, którzy lubili kuchnię mojej mamy i mój zestaw kosmetyków.

Tak wygląda samotność. Ale nie mówię tego na głos.

– Czemu myślisz o Wrenie? Mówiłaś, że to kujon.

Kayla się rumieni.

– No tak. Król kujonów. Ale... nie wiem. Po prostu jak widzi Jacka, wpada w panikę. To dziwne.

– Wiem tylko, że coś się stało w gimnazjum. Avery zrobiła coś, żeby skrzywdzić Sophię, a Jack to powstrzymał. Wren też tam był, z kamerą, bo Avery zmusiła go do nagrywania.

Kayla wytrzeszcza oczy.

– Myślisz, że ta taśma gdzieś jest? Skoro filmował...

– Wątpię, żeby ją przechowywał. Ma takie poczucie winy, że pewnie ją zniszczył. Możesz spytać. Ale strasznie go to zdenerwuje. A już i tak jest strzępkiem nerwów. Nie luzuje się. Więc lepiej chyba o tym nie wspominać.

– No tak – przyznaje cicho.

– A z jakiej okazji ta wielka smuta? Podoba ci się, czy co?

Kayla robi się czerwona jak burak i podrywa się gwałtownie.

– C-co? Nie! Co ty gadasz! On nie jest w moim typie!

Śmieję się i ruszam za nią po ściętej szronem trawie.

– Nie umiesz kłamać.

– A ty nie umiesz... Nakładać eyelinera! – odpala triumfalnie.

Tłumię śmiech i tylko odrobinę mi się nie udaje.

– Słuchaj, ja też jestem ciekawa. Już od jakiegoś czasu. Jak byłam w szpitalu, Wren mówił coś o jeziorze Galonagah. Avery ma tam...

– ...letni domek – kończy Kayla. – Tak. Jeździłam tam w każde

wakacje przez cztery lata. Jest piękny, ogromny, a jezioro dosłownie pięć kroków od drzwi. Wszędzie wiszą jedwabne hamaki, a zyrandol należał chyba do Michaela Jacksona...

– Pomijając żarówkę najdroższego Mike’a, myślisz, że to, co się stało, stało się tam?

Kayla wzrusza ramionami.

– Wiem tyle, że Avery ma tam domek. Odbyło się tam wiele ostrych imprez. Może tam w zasadzie robić, co chce, rodzice się nie wtrącają.

Skubię wargę. Domek w środku lasu, nad jeziorem. Nad jeziorem, o którym mówił Wren. Gdzie Avery jest panią na włościach. To, co się wydarzyło te parę lat temu, mogło się z powodzeniem wydarzyć właśnie tam. A jeśli nie, przynajmniej sobie pooglądam.

– Musimy wpaść z wizytą. Może nie konkretnie do domu, bo to by było wtargnięcie. Ale możemy sobie lajtowo powtargiwać wokół – oznajmiam. Kayla zagryza wargę.

– Teraz, jak o tym mówisz... – Kręci głową. – Nie, nieważne.

– Ach, stara dobra sztuczka z trzymaniem mnie w niepewności! Szczwana lisiczka z ciebie! Przestań igrać z moim sercem i palącym pragnieniem prawdy.

– To jakaś głupota – upiera się Kayla. – Myślę... Wydaje mi się, że pamiętam coś związanego z tym miejscem. Coś dziwnego. Ale to było tak dawno, że niewiele mi zostało w głowie.

– Nie brzmi obiecująco.

– Może, jak tam dotrzemy, coś mi się przypomni. Chociaż, jeśli to było tak dawno temu, pewnie nic już nie zostało. Żadnych wskazówek ani nic. – Wzrusza ramionami. – Więc niech się pani na nic nie nastawia, pani detektyw.

– Nie nastawiam się – zapewniam. – Po prostu chcę zobaczyć,

jak tam jest. Pamiętasz drogę?

– A czy wiosenno-letnia kolekcja Chanel z 1991 roku przedefiniowała znaczenie współczesnego feminizmu w świecie mody? – odpowiada pytaniem.

– Czyli że...?

Kayla aż unosi ręce.

– Oczywiście, że tak!

– Super. Sobota, dziesiąta, u mnie. Ja prowadzę. Ty zapewniasz atmosferę. I zapas gatorade'a.

– Sobota? Idę z mamą do fryzjera. Może piątek?

– W piątek jest rozprawa – mruczę.

Kayla szerzej otwiera oczy.

– Fakt, zapomniałam.

– Ja jakoś pamiętam.

– Chcesz... Iść z tobą? Mogłabym... No nie wiem. Wesprzeć cię moralnie. I przynieść zapas gatorade'a?

Chichoczę.

– Tak. Chciałabym. Bardzo.

Kayla bierze mnie pod rękę i się uśmiecha. Idziemy w przyjemnej ciszy, w milczeniu łączącym dwie osoby, które powiedziały już wszystko, co miały do powiedzenia, i na ziemię opadają tylko zimne popioły. Jest spokojnie i kojąco. Ta cisza sprawa, że znika niepokój związany z pierwszym dniem po powrocie.

I wtedy Kayla rozpoczyna wykład na temat najmocniejszych punktów wiosenno-letniej kolekcji Chanel z 1991 roku, zalet poduszek na ramionach oraz dwurzędowych żakietów w krzykliwych kolorach.

Jakimś cudem to mi robi nawet jeszcze lepiej.

Świat się zmienia i ja się zmieniam.

Ale pewne rzeczy pozostają na swoim miejscu.

Gdy wracam ze szkoły, mamy jeszcze nie ma, więc zaraz po przekroczeniu progu ściągam spodnie i oddycham z ulgą. Szatańskie Nasienie łąpie wielkimi, żółtymi oczami.

– Nie patrz tak na mnie. Wiem, gdzie mieszkasz. Gdzie robisz kupę i gdzie śpiesz. Czasem jednocześnie.

Na te słowa sunie po schodach na górę, zwymiotować do mojego kosza na brudną bieliznę albo zrobić coś równie wyrafinowanego. Rzucam za nim dzinsy, które z rzewnym poszumem zawisają na poręczy, a ja padam na kanapę i wpatruję się w kopertę, którą dostałam od Evansa, i drugą, przed chwilą wyjętą ze skrzynki. Czerwono-białe logo Stanforda patrzy na mnie uważnie. Już cuchnie snobizmem, a jeszcze ich nawet nie otworzyłam. Czuję przenikający przez szpary w kopertach smrodek glutowatej tandety.

Kuszą mnie. Wstaję i wrzucam je do kominka.

Zimnego. W którym nie pali się żaden ogień. Ale gdybym ja była z papieru, sama obecność popiołu ocierającego się o mój biały tyłek sprawiłaby, że zaczęłabym się ze strachu pocić atramentem.

– Spękałyście, co?

Ale koperty prężą się dzielnie. Dopiero po godzinie wpatrywania się w nie zbieram się na odwagę, żeby jedną z nich otworzyć. Dotąd tylko patrzyłam i analizowałam wszystkie straszliwie ważne życiowe decyzje, jakie się z nią wiążą. Mama potrzebuje mnie bardziej niż Stanford. Ale to jednak Stanford. Stanford, kurde! Tak cholernie bogaty wujek Stan, że mógłby być kuzynem Forda, tego gościa, co wynalazł samochód. Mają tam kasy jak lodu i odezwali się do mnie tak wcześnie! Czyli to musi

być odmowa. Na pewno. Taka uczelnia jak Stanford nie zawracałaby sobie głowy zwykłą, nudną białą laską ze Środkowego Wschodu. Może i mam dobre oceny, ale co z tego? Nie działam w milionie fundacji charytatywnych jak Wren, nie należę do Mensy jak Jack i nie jestem nadziana jak Avery. Nie ma we mnie dosłownie nic, co odróżniałoby mnie od reszty.

Ale jeśli mnie przyjęli – całkiem hipotetycznie – to Evans ma rację. Jego słowa na moim języku mają obrzydliwy smak, ale ma rację. Stanford mógłby mnie odmienić. Gdybym tam poszła, mnóstwo bym się nauczyła i stałabym się kimś więcej. Albo mniej. Albo po prostu by mnie wyrzucili. Pewnie nie dałabym rady. Ale gdybym jednak dała, w zasięgu moich złowieszczych rączek znalazłoby się wszystko, o czym marzyłam: Europa, płynna znajomość hiszpańskiego, studia gender i tajemnice mikroorganizmów.

Mogłabym stąd uciec. Zacząć całkiem od nowa.

Stos piętrzących się na stoliku rachunków zwała się na mnie jak tona ołowianych cegieł. Kogo ja oszukuję? Nawet, jeśli w tym liście piszą, że mnie przyjęli, nie ma mowy, żeby mamę było na to stać. Mogłabym harować dwadzieścia cztery godziny siedem dni w tygodniu, żeby zarobić na chesne, a i tak po skończeniu studiów miałam tryliard dolarów długu w pożyczkach studenckich. Moja sytuacja byłaby tragiczna. Lepiej zostać tutaj, z mamą, znaleźć pracę i iść na dwuletnie studia gdzieś w okolicy. Oszczędziłoby to nam obu sporo pieniędzy. To rozważna i dorosła decyzja.

Łapię kopertę i jak oparzona pędzę do swojego pokoju. Oстрыm ślizgiem padam na łóżko i przyciągam do siebie Pannę Muffin.

– Dobra, otwieraj.

Manewruję jej małymi łapkami, choć ręce mi się trzęsą, i w

końcu koperta jest otwarta, a Panna Muffin potem wyciąga list. Sam się rozkłada.

To nie tylko list. Jest jeszcze jakiś formularz.

„Mięczak z ciebie!”, zdaje się ćwierkać Panna Muffin. „Ale po kolei! Najpierw list!”

Szanowna Pani, z przyjemnością informujemy, że została Pani przyjęta na Uniwersytet Stanforda w semestrze jesiennym 2016 r.
... OMÓJBOŻEOMÓJBOŻEOMÓJBOŻE!

„Oddychaj!”, jęczy Panna Muffin. „Nie zapominaj o oddychaniu! To kluczowa kwestia!”

Mam pustkę w głowie. Myśli o Jacku i o pytaniu „który pocałunek” wyleciały przez okno. Zapominam o jeziorze Galonagah i o wściekłej Sophii. Mam też chyba przelotny zawał i zapadam się w sobie jak gasnąca gwiazda. Drzewo brzoskwińowe za oknem jest pod wrażeniem.

– Dostałam się! Przyjęli mnie do Stanforda! – wrzeszczę w sufit. Trzymam list w roztrzęsionej dłoni i czytam dalej. Jest coś o wniosku o akademik, formularz w sprawie kredytu studenckiego, a na samym dole wzmianka o stypendium. Stypendium? Nie ubiegałam się o żadne stypendium. Czyżby Evans...?

Na widok sumy oczy prawie wyskakują mi z orbit. Trzydzieści tysięcy dolarów na cztery lata albo do uzyskania tytułu licencjata, jeśli utrzymam średnią 4.0. Nie jest to bardzo dużo jak na tę uczelnię, ale byłaby to wielka ulga. Mogłabym się utrzymać, gdybym dostała jeszcze jakieś stypendia, a do tego pracowała. To jest do zrobienia. Serce mi się ściska i rozkurcza w błyskawicznym tempie. To jest do zrobienia. Mogę zrobić z moim życiem coś innego, wielkiego, dzikiego i niesamowitego...

– Isis? – dobiega z dołu głos mamy. – Jesteś w domu?

Podrywam się i pędzę na dół. Na dolnym schodku się potykam, ale odzyskuję równowagę i z wdziękiem padam mamie w objęcia.

– Dostałam się! – krzyczę. – Dostałam się do Stanforda!

Mama szerzej otwiera oczy.

– C-co? Do Stanforda? Ale jak...?

Wciskam jej list w rękę, a sama aż podskakuję z niecierpliwości przez te niekończące się dziesięć sekund, w trakcie których czyta. Jej twarz rozpromienia się od środka, jakby za matową szybą ktoś zapalił świecę. Promienieje we wszystkich kierunkach jednocześnie. Ścisza mnie mocniej niż wtedy, gdy w szpitalu odzyskałam przytomność, gdy wróciłam do domu, gdy przyleciałam z Florydy do Ohio...

– Skarbie, jestem z ciebie taka dumna! To po prostu niesamowite! Ale kiedy złożyłaś podanie? Nic mi nie powiedziałaś?

– Zrobiłam to... Tak dla jaj. Nie spodziewałam się, że cokolwiek się wydarzy – kłamie. Zmartwienie mamy przyćmiewa radość, ale robi, co może, żeby je przede mną ukryć. Zauważam, że ma na sobie płaszcz, a z torebki wystaje nowa recepta. Mimo wszystko szeroki uśmiech nie gaśnie ani na chwilę. Robi, co może, nawet jeśli to trudne.

– Porozmawiamy przy kolacji, dobrze? A ty zadzwoń do taty! – nalega.

Tata też jest zachwycony. Pomoże mi pokryć część kosztów, a dumy w jego głosie nie da się z niczym pomylić.

– Kelly! Kelly! – woła swoją żonę. – Isis dostała się do Stanforda!

– Do Stanforda! – Słuchawkę wypełnia jej przesłodzony głos. –

Daj szybko telefon.

Wciągam głęboko powietrze i szykuję się na jej popis.

– Isis! – wykrzykuje Kelly.

– Kelly! – papuguję jej ton. – Jak miło cię słyszeć! Naprawdę, raz na dwa lata to stanowczo za rzadko!

– Dokładnie! Stanford... Wow! Niesamowite! Mam nadzieję, że Charlotte i Marissa też będą takie mądre!

– Mogą przynajmniej spróbować – odpowiadam słodko. Kelly wybucha śmiechem, ale nie da się ukryć faktów: nie lubimy się. Po prostu nie mówimy o tym na głos.

– Przyjedź do nas koniecznie w lecie – namawia Kelly. – Twój tata i ja zabieramy dzieci – ciska mi tymi dziećmi w twarz, jakby chciała podkreślić, że ja się do tej kategorii nie zaliczam – na Hawaje. Spędzimy razem trochę czasu, zanim wyjedziesz na studia.

– Tylko że lubię cię zdecydowanie bardziej, gdy dzielą nas tysiące kilometrów.

Śmiech Kelly jest ostry i krótki.

– Oddaję telefon twojemu ojcu. Jeszcze raz gratuluję!

Wraca tata.

– Więc jaki jest plan? Wypełniamy papiery w sprawie pożyczki? Przyjadę na twoje zakończenie szkoły, potem moglibyśmy pojechać tam razem autem, wielka podróż z Ohio do Kalifornii, tylko ty i ja! Co ty na to?

Uśmiecham się do podłogi. Tak. Byłoby super. Gdybym miała pięć lat. Próbuje nadrobić stracony czas. To oczywiste i żałosne. Od rozwodu spędza ze mną najwyżej tydzień na Boże Narodzenie. Poza tym ma mnie gdzieś. Zaczął od nowa, ma rodzinę i myśli, że może mnie nadal traktować jak dziecko. Ale ja już dzieckiem nie jestem. Stracił szansę na udział w moim

wychowaniu. Mama przynajmniej próbowała, chociaż też załapała się na sam koniec dzieciństwa.

– Nie wiem, tato, pomyślę.

– Dobrze! Zbieraj dobre oceny. Zdzwonimy się niedługo. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Te słowa są puste. Jest moim ojcem, ale nigdy nie był tatą. I już nie będzie.

Czasem ta świadomość też wydaje mi się pusta.

Mama grasuje po kuchni, szykując na tę specjalną okazję wyjątkową kolację. Zmusza się do radości, robi to dla mnie, ale ja wiem, że coś jest nie tak i tym razem nie jest to wiszący nad nią proces. Jednak przygotowanie kanapek na ciepło pochłania ją tak, że nie jestem w stanie wydobyć z niej żadnej sensownej odpowiedzi. Wracam więc na górę, włączam laptopa i oglądam zdjęcia Stanforda. Zagłębiam się w ich ofertę. Mają niesamowite możliwości wyjazdu do Europy. Anglia, Francja, Włochy, Belgia... Kampus wygląda jak nierzeczywisty: równiutko przystrzyżone zielone trawniki, bielutkie budynki i kalifornijskie słońce nadające wszystkiemu złoty odcień. Program nauk matematycznych jest rewelacyjny, zajęcia prowadzą naprawdę znani profesorowie, o których czytałam w prasie naukowej. Nie, żebym czytała taki szajs dla kujonów. Czasem tylko przeglądam, w kiblu.

Ale zawsze.

Jeszcze nawet nie wiedziałam, że o tym marzę, a oni już to mają!

Wchodzę do skrzynki mailowej, żeby im podziękować za stypendium, ale zatrzymuje mnie odebrana wiadomość. Nowa, przysłana kilka godzin temu z dziwnego adresu. Odruchowo

zakładam, że to spam, ale potem wpada mi w oko temat.

Wiem, że tam jesteś, Isis.

Możliwe, że to seryjny zabójca, ale i tak otwieram. Bo co się może stać? Mam dobry program antywirusowy i nie zamierzam klikać w żadne linki ani otwierać załączników. W treści jest tylko jedno zdanie:

Jack Hunter jest zły.

To jakiś żart. Ktoś ze szkoły robi sobie perwersyjne żarty. Słyszałam nie raz, jak tak mówili, ale fakt, że na piśmie robi to większe wrażenie. Wydaje się bardziej realne i groźniejsze. Próbuję wyśledzić nadawcę po adresie mailowym, ale w Google'u nic nie wyskakuje. Adres to zbiór przypadkowych cyfr i liter, równie dobrze mógłby to być serwer spamowy, ale nie jest. Ten ktoś zna moje imię i twierdzi, że Jack jest zły. Sama mam co do niego mieszane uczucia, na pewno, ale nie uważam go za złego człowieka. Jest okrutny i bezduszny. Ale zły? Tak naprawdę, naprawdę zły? To lekka przesada.

I wtedy to zauważam.

Załącznik ze zdjęciem. Otwieram. Jest zamazane, ale widzę drzewa i sosnowe igły pokrywające ziemię. Oraz leżący ciemny kształt, który wygląda, jakby miał kończyny (człowiek?). W rogu jest ręka dzierżąca kij do baseballu. Kij ma na końcu czarną plamę.

Wysycha mi w ustach. Znam tę dłoń. Wspomnienia ruszają jak rozwścieczona fala przyływu. Trzymałam tę rękę, znam wszystkie delikatne żyłki i długie palce. Siedzieliśmy na łóżku, a ja się z czegoś zwierzałam. Z czegoś, co było dla mnie ważne.

Dudniąca muzyka. Smak alkoholu. Taniec. Łóżko.

Wiem, kto trzyma zakrwawiony kij.

To ręka Jacka.

Jack pochyla się nad kimś, kto wygląda na martwego.

Rozdział 7

To coś we mnie pozostaje nienazwane.

Poczułem to pierwszy raz w wieku siedmiu lat, po śmierci taty. Po jego pogrzebie bardzo, bardzo długo nie odzywałem się do mamy. Do nikogo się nie odzywałem. Potwór domagał się ciszy. Żądał, żebym krzywdził innych. W podstawówce biłem się z kolegami z klasy. Atakowałem nauczycieli. A jak nikogo nie było w pobliżu, raniłem sam siebie, wbijając sobie ołówki w dłoń. Mama oczywiście prowadziła mnie do psychologów, gotowa wydać wszystkie pieniądze, byle ocalić synka przed szaleństwem z rozpaczy, nawet jeśli sama z trudem trzymała się w pionie. Jakiś lekarz stwierdził, że cierpię na mutyzm wybiórczy wywołany traumatyczną stratą, a mama pogrążyła się w depresji. Jednak dzięki dużym dawkom terapii i łasce czasu leczącego rany daliśmy radę. Zacząłem znów mówić. Miałem przyjaciół. Dzięki Wrenowi, Avery i Sophii moje życie wydawało się normalne. Leczyłem gniew ich przyjaźnią i bezwarunkową miłością mamy.

Ale potwór przetrwał. Uciszałem go tylko dla ich dobra. Nie zdołali go zabić. Nie wiem, czy ktokolwiek kiedykolwiek da radę go wykończyć. Może umrę w jego towarzystwie. Może to on mnie zabije.

Tak czy inaczej, czekałem, grałem na czas. Przyczaił się głęboko, zagoniony tam przez uwielbienie, jakim darzyłem

bliskich mi ludzi. Zwłaszcza Sopię. Gdy była obok, potwór wycofywał się tak daleko, że prawie go nie czułem. Uratowała mnie przede mną samym.

A ja ją zawiódłem.

Potwór potraktował moją porażkę jak pęknięcie prętów jego klatki i wy dostał się na wolność, wbrew wszystkim zabezpieczeniom, jakie wprowadziłem, żeby go tam zatrzymać. Zawiódłem Sopię, a zatem i siebie.

A także tego mężczyznę, którego ciało prześladowa mnie w snach.

W ciągu jednej nocy potwór skrzywdził tyle osób. Jej echo sły chać do dzisiaj, widzę ją w każdym odwróconym ode mnie spojrzeniu Avery, w niemijającej rozpaczy Sopi, we własnych ranach.

Tamtej nocy straciłem przyjaciół, którzy mi pozwalali nad nim panować. Mama się stara, ale jest sama, a potwór nigdy się nie syci. Chce się bić, krzyczeć, zadawać ból, nieważne komu. Tak głębokiej rany nigdy nie wyleczę. Nawet na to nie zasługuję. Nikt mi nie pomoże. A ja przysięgłem sobie, że potwór już nikogo nie skrzywdzi. Im dalej ludzie się ode mnie trzymają, tym lepiej dla nich.

I tak, z konieczności, narodził się Lodowy Książę.

Sprawdził się. Działał bez zarzutu przez trzy lata, wyrzał tylko na moment, gdy chłopaki z drużyny futbolowej nie chcieli się ode mnie odzepić. Nauczka była skuteczna.

Na jakiś czas, choć bardzo krótki, wojna z Isis sprawiła, że zupełnie wyleciał mi z głowy. Siedział cicho, czasem tylko załomotał w pręty klatki. Ale potem ona o mnie zapomniała, a w ciągu ostatnich kilku dni jego pomruki zmieniły się w warkot.

No więc jestem tu, w obskurnej hali, w części miasta, gdzie nikt

mnie nie zna. Spróbuję go uciszyć. Wiem, jak funkcjonuje, rozumiem, czego chce. To najbezpieczniejszy sposób, żeby go uspokoić: kontrolowane środowisko i dość widzów, żeby nie ugryzł za mocno.

Ryk tłumu niemal mnie ogłusza. W magazynie panuje półmrok, śmierdzi rdzą i starą tekturą. Pełno tu ludzi, ale nie widzę ich twarzy. Tylko mężczyznę stojącego przede mną. Ile może mieć lat? Dwadzieścia dwa? Dwadzieścia trzy? Mógłby chodzić na studia, jest smukły i zwinny. Pływa albo gra w piłkę. Ale poza tym trenuje boks. Widzę to po jego postawie, sztywnej, lekko schylonej, gdy ciężar ciała przenosi na pięty. Bokserzy zawsze wyglądają, jakby się mieli zaraz przewrócić.

– Gotowi?! – krzyczy prowadzący do trzymanego w zalanej potem dłoni mikrofonu i staje między nami. Ma łososiową koszulkę w paski. Nie są to oficjalne barwy sędziowskie, ale ta walka w opuszczonym tartaku też nie jest oficjalna. Krzyk widowni zlewa się z zachętami sędziego. Spotykam się z moim przeciwnikiem na środku ringu i serdecznie ściskamy sobie ręce. Hollywood ozdabia podziemne walki ciosami poniżej pasa i stekiem bluzgów, ale tak naprawdę to się rzadko zdarza. A jeśli już, tłum wtedy ryczy głośniej. Jak będziesz to robić za często, znudzą się albo wkurzą, że walka została wygrana nieuczciwie i zakłady są nieważne.

Po powitaniu rozdzielamy się. Mocniej związuję spodnie w pasie. Taekwondo wymaga płynności ruchów i doświadczenia. Dlatego miesiąc temu zacząłem przychodzić tutaj.

Sędzia podnosi rękę i zaczyna się. Szuramy stopami po prowizorycznym ringu, rozgarniamy stare trociny i depczemy zaschnięte ślady krwi.

Wpatruję się w przeciwnika. Bokser nie zaatakuje pierwszy.

Oni nigdy tego nie robią. Są mistrzami w grze na czas. Dają się łoć i czekają, aż przeciwnik się zmęczy i przestanie bronić. Muszę mu przywalić mocno w chwili, gdy nie będzie się tego spodziewał, albo mnie przeczeka.

Ale on nagle rusza. Odskakuję, ale nie dość szybko, żeby uniknąć jego prawego sierpowego. Obrywam w prawe ramię i w półobrocie padam na ziemię. Tłum ryczy, traktują mnie jak psy myśliwskie lisa. Jestem nowy. Wygrałem tylko dwie walki z pięciu. Nikt na mnie nie stawia. Nie przyszli patrzeć, jak wygrywam. Chcą zobaczyć, jak się wiję.

Podnoszę się. Bokser swobodnie powrócił na swoje miejsce, uśmiecha się szeroko.

Niesłusznie.

Może i jest w stanie znieść lanie, ale emocje osłabiają. Zbyttna pewność siebie sprawia, że tracimy czujność. Byłem przekonany, że nie zaatakuje pierwszy, i pomyliłem się.

Wspomnienia oplatają mnie kolczastymi mackami.

O tym, że Isis zawsze tu będzie, też byłem święcie przekonany. Zawsze chętna do awantury, z nową złośliwością pod ręką i skłonna do sprowadzenia mnie na ziemię, czego nikt inny nie umiał zrobić.

Ale straciłem ją.

Ruszam naprzód i szybko, precyzyjnie kopię boksera w pierś. Chwieje się, łapie za żebra i choć milczy, w desperackim mruganiu widzę ból. Furia działa natychmiastowo. Od razu atakuje, znów prawym sierpowym. Uchylam się, ale on nie odpuszcza, młóci mnie rękami po żebrach, z bliska i brutalnie, a ja nie mogę się odsunąć, dopiero gdy udaje mi się zaczerpnąć tchu, mogę się usunąć poza zasięg jego ramion. Nie ustępuje, ale wtedy ja ładuję mu pięścią w plecy, tuż nad prawą nerką. Wyje i

szarżuje na mnie, ale mnie już tam nie ma. Jestem za nim, a gdy się obraca, podcinam go. Pada na beton z głośnym łupnięciem, które odbija się echem wśród hysterii tłumu. Ludzie obsypują ring popcornem, ktoś rozlewa piwo. Bokser jest oszołomiony, nie może oddychać. Beton i grawitacja zrobiły za mnie całą robotę. Człowiek to bardzo delikatny gatunek.

Przypominam sobie bliznę na czole Isis i się krzywię.

Sędzia zaczyna odliczać. Obserwuję tłum. Poruszają się w szale, który wywołuje tylko przemoc. Ale jeden człowiek – jeden jedyny z dziesiątek zgromadzonych – stoi nieruchomo. Obserwuje mnie. Włosy ma przyprószone siwizną, oczy poważne. Mogę tylko rzucić na niego okiem, bo bokserowi udaje się pozbierać i wyprowadza cios, który sięga mojej wargi. Czuję smak krwi. Mój przeciwnik to nie Leo, on nie tchórzy. Strach nie zasnuwa mu oczu. Tylko tchórze się boją, gdy przemoc jest skierowana przeciwko nim, a nie w trosce o nich.

Uderzam kolejny raz. Oto, kim jest Leo. Tchórzem. A jutro zaczyna się proces.

Bokser przywała mi mocno w żołądek. Widzę gwiazdy, a ostry ból zapiera mi dech. Sędzia zaczyna odliczać, ale słyszę jego głos z oddali. Wszystkie dźwięki dochodzą jakby spod wody.

Przyszedłem tu wyrzucić z siebie stres wywołany zbliżającą się rozprawą. Jeśli Leo nie trafi do więzienia, Isis i jej mama będą nadal w niebezpieczeństwie. Leo nie wygląda mi na typa, który korzysta z nauki, jaką dostał, nieważne, jak mocno oberwał. On się zemści.

Nie zdołałem go powstrzymać przed skrzywdzeniem Isis, tak jak nie udało mi się powstrzymać tamtych facetów w lesie przed zrobieniem krzywdy Sophii. Ucierpiały z powodu mojej słabości. Jestem gotów na wszystko, żeby się jej pozbyć.

Gramolę się na nogi i przełykam krew. Bokser jest zbyt zajęty przyjmowaniem uwielbienia tłumu i triumfalnym wznoszeniem rąk, żeby mnie zauważyć.

Boks to sztuka zadawania ciosów. Chodzi o wytrwanie dłużej niż przeciwnik. Taekwondo polega na kopniakach. Trzeba przykopać raz, a dobrze. Przeciwnik odwraca się w samą porę, żeby zobaczyć moją stopę.

Krew z jego nosa tryska mi na policzek. Pada na podłogę i nieruchomieje. To coś we mnie śpiewa, krew mi buzuje i radośnie pruje przez żyły, domaga się, żebym usiadł mu na piersi i tłukł po twarzy tak długo, aż zacznie przypominać siekane mięso. Już nie jest bokserem. To Leo. To mężczyźni z lasu. To uosobienie wszystkich, którzy mnie kiedykolwiek skrzywdzili. Gotowe, by przyjąć na siebie mój gniew.

Staję nad nim, a sędzia desperacko próbuje mnie odciągnąć. Chcę zobaczyć więcej krwi, poczuć ją na dłoniach, ugasić nią wściekły ogień trawiący serce.

Trochę się siebie boję. Tego czegoś. Faktu, że myślę o tym, żeby go zabić. Odkąd to nie panuję nad sobą?

Odsuwam się i nasycam serce każdą lodowatą myślą, jaką udaje mi się wykrzesać. Sędzia pomaga mojemu przeciwnikowi wstać, a moją rękę unosi na znak zwycięstwa. Tłum wiwatuje, ale mnie ich uwielbienie nie obchodzi. Chcę się znaleźć w cichym miejscu, gdzie będę mógł się ogarnąć. Przeciskam się między ludźmi. Mężczyzna z siwizną na skroniach obserwuje każdy mój krok. O co mu chodzi? Z niepokojem otwieram drzwi magazynu i wychodzę na wieczorny chłód. Głęboko wciągam powietrze, a potem wydecham cały niepokój skumulowany w piersi. Nie wiem, kim jest ten facet, i nic mnie to nie obchodzi. Przyszedłem tu dla siebie.

Nazywam się Jack Hunter. Moje demony to nie ja.

W samochodzie wycieram twarz i wkładam czystą koszulę. Jestem spokojniejszy, ale po długiej i wytężonej walce zrobiłem się głodny jak wilk. Na autostradzie nie ma prawie nikogo, miasto jest niemal puste. O tej porze otwarty jest tylko Red Fern, gdzie zabrałem Kaylę na randkę opłaconą przez Isis. Obserwowała nas z ukrycia. Wracają wspomnienia czasów, za którymi tęsknię i dziewczyny, której mi brakuje.

Wchodzę i od razu widzę, kto rozmawia z kelnerką.

– Isis?

Odwraca się zamaszycie, a purpurowe kosmyki wirują wokół jej twarzy. Ciepłe oczy w kolorze cynamonu rozpromieniają się na moment, ale zaraz przygasza je podejrzenie. Za to jest wyszczekana jak dawniej.

– Powinieneś przestać jadać w takich drogich miejscach, skoro idziesz do Harvardu. Podobno czesne może człowieka wykończyć.

– Ciebie też miło widzieć – odpowiadam ze śmiertelną powagą.

– Zresztą, o czym ja mówię. Twoja mama ma hajs. Dasz radę.

– A jaką ty masz wymówkę? – pytam. Wzrusza ramionami.

– Nie chciało nam się dzisiaj z mamą gotować. A ponieważ jutro jest rozprawa, pomyślałam, że nakarmię ją czymś pysznym.

– Jak ona się trzyma?

– W porządku.

Ściąga usta i brwi. Stara się wyglądać na niewzruszoną, ale prawdę ma wypisaną na twarzy.

– Nie umiesz kłamać – orzekam.

– A ty jesteś głupi – odszczekuje. Zaczynam się śmiać.

– Kiedy uciekasz się do czegoś tak pozbawionego polotu jak „głupi”, wiem, że coś jest nie tak.

– Jakiś chłopak się dowiedział, że jego dziewczyna cię wynajęła, i rozwalił ci twarz? Masz spuchniętą wargę.

– To nowe serum. Ma poprawić dzióbek.

– Masz doskonały dzióbek. Jesteś mistrzem świata w robieniu dzióbka. Powinni pobrać od ciebie komórki macierzyste, żeby dodać do tego serum.

– Dość... obrzydliwe.

– Wiesz, co jeszcze jest obrzydliwe? – Marszczy nos i unosi plastikową torbę z pojemnikami z jedzeniem. – Sos z orzeszków ziemnych. Ale mama go uwielbia. Więc co poradzę.

– Biedactwo.

– Zamknij się.

Uśmiechamy się w tej samej chwili i aż robi mi się ciepło. Jak mogę się uśmiechać, kiedy ona mnie prawie nie pamięta, a jutro weźmie udział w rozprawie? Ale uświadamiam sobie, że tak przecież było, zawsze potrafiła mnie rozbawić. Mogło mi się wydawać, że jestem przenikliwie lodowaty i doskonale panuję nad emocjami, ale ona i tak mnie rozśmieszała. Nikomu się to wcześniej nie udało, dopiero jej.

Nagle przesywa mnie nieodparte pragnienie podziękowania jej, ale opamiętuję się i milczę. Tylko by ją to speszyło, a ja i tak nie umiałbym wytłumaczyć, o co mi chodzi. To uczucie jest zamglone, niewyraźne, ale potężniejsze i jaśniejsze niż wszystkie słońca świata. Brak mi słów.

Jestem pewien, że ona by je znalazła. Dziwaczne, zabawne słowa.

Przyjąłem jako fakt, że zawsze tu będzie, żeby mnie rozśmieszyć. Nie walczyłem, żeby ją zatrzymać przy sobie.

– No dobra. – Pociera nos uroczym gestem, o którym staram się w ten sposób nie myśleć. – Muszę iść. Mama czeka i

esemesuje, bo myśli, że zostałam porwana albo sprzedana handlarzom ludźmi. Na razie.

– Isis!

Zatrzymuje się. Nie wiedziałem, że głos mi zadrży i będę brzmiał tak desperacko. Bezradnie. Tak się niepokoję rozprawą, operacją Sophii i swoimi słabościami, że zapomniałem, jak ważna jest dla mnie jej obecność. Kojąca, ciepła i sarkastyczna. Nie chcę zostać sam, jeszcze chociaż chwilę... Choćby dlatego, że przypomina mi, jak było.

– No? – W jej oczach znów pojawia się niepokój. Przypatruje mi się, gdy miotam się w poszukiwaniu odpowiednich słów, które nie zdradzą, co czuję. W końcu przegrzebuje torebkę i wyciąga plaster. – Zaklej sobie policzek. Nie zapaprzesz rany.

– Isis...

– Nie zniosłabym – przerywa mi – gdyby cała żeńska populacja miasta chciała mnie zabić, bo dopuściłam, żeby w twoją śliczną buźkę wdało się zakażenie.

Odwraca się, żeby odejść, a ja wyciągam rękę i łapię ją za nadgarstek. Cała się napina, a jej oczy to mahoniowe wiry niepewności.

– Co ty robisz? – pyta szeptem.

Powstrzymuję cię, podpowiada mój mózg. Zabieram cię do domu, żebyśmy mogli napić się w moim pokoju kawy i porozmawiać, żebyś usiadła na moim łóżku, na mojej pościeli, tej samej, w której przewracam się co wieczór, myśląc, że znów cię tracę...

Puszczam ją i wpatruję się w swoją rękę jak w jakieś obrzydlistwo.

– Nie wiem – przyznaję drżącym głosem.

Isis chwilę stoi bezradnie, a jej policzki pokrywają się

delikatnym rumieńcem. Boże, tak jej do twarzy z tym speszeniem. Jest piękna, zaczerwieniona, pozbawiona tchu. Walka musiała mnie nasycić testosteronem, bo nie mogę powstrzymać myśli biegnących w zakazane rejony.

Nie, upominam się stanowczo. Ona mnie prawie nie pamięta. A ja mam Sophię. Mam wobec niej zobowiązania. To, czego chcę, jest drugorzędne, pozbawione znaczenia i trywialne.

– Jedź ostrożnie – udaje mi się w końcu wydusić. Kiwa głową, wciąż opromieniona kiepsko maskowanym rumieńcem, i wychodzi. Patrzę, jak się oddala, oświetlona szafranowym światłem ulicznych latarni.

– Mogę panu w czymś pomóc? – pyta kelnerka. Odwracam się do niej i przeczesuję włosy.

– Nie – odpowiadam cicho. – Mnie nie można pomóc.

Witajcie w piekle. Mieszkańcy: ja, jacyś idioci i moja mama.

Trzy dni przed rozprawą przylatuje z wizytą ciocia Beth. Cieszę się, że będę miała wsparcie. Dręczące mamę przebłyski przeszłości ostatnio się uspokoiły, ale wciąż jest zamknięta w sobie, prawie nie śpi i mało je. Na przyjazd cioci Beth posprzątała w domu, przygotowała jedzenie i zaczęła się rano ubierać, więc jestem przeszczęśliwa.

Odbieramy ciocię z lotniska. Ubrana jest w długą i zwiewną własnoręcznie farbowaną suknię, która wygląda zupełnie nie na miejscu w środku zimy w Ohio.

– Nie zimno ci? – dziwi się mama.

Ciocia Beth tylko się śmieje z tylnego siedzenia.

– Patricio, przecież w moich żyłach płynie lód.

– Jest tak zimna, że szefuje podziemnemu gangowi przestępczemu – wtrącam rozkosznie.

Ciocia natychmiast podchwytuje:

– Wypraszam sobie! To są dwa gangi!

Parskam śmiechem i przybijam jej piątkę. Mama kręci głową i wyjeżdża z lotniska.

– We dwie jesteście nieznośne.

Zatrzymujemy się, żeby kupić pizzę, i zmierzamy do domu. Opowiadam cioci Beth, co się działo w szkole. Pokazuję bliznę na głowie, a ona proponuje, żebym wytatuowała na niej węża albo coś równie złowieszczego i wijącego się. W końcu, gdy nie zostaje mi już nic do powiedzenia, przytula mnie mocno i mruczy mi we włosy:

– Dziękuję ci, że zajmujesz się mamą. Wiem, że nikt ci tego nie mówi, ale wykazałaś się wielką dojrzałością. I troskliwością. Jesteś cudowna.

– Ciociu, ty kłamczucho! – Wiję się speszona. – Jak mogę być dojrzała, skoro za każdym razem, jak pierdnę, dostaję głupawki?

– Zdradzę ci pewien sekret rodziny Blake’ów. – Nachyla się do mnie. – My nigdy nie przestajemy się śmiać z pierdzenia.

– Cholera! Czyli na nic marzenia, że kiedyś nabiorę dość gracji, żeby się nadawać na bal debiutantek?

Wybucham śmiechem i przytula mnie jeszcze mocniej.

– Tęsknię za tobą. W domu jest bez ciebie bardzo cicho.

– Ja też tęsknię – przyznaję.

– Martwiłam się, kiedy wyjeżdżałaś. Byłaś strasznie smutna. Ale tu bardzo dojrzałaś – zauważa. – I wyglądasz na trochę szczęśliwszą...

– Bo jestem! – zapewniam. – Może nie wyglądam, ale nie ma chwili, żeby nie przepełniała mnie radość! – Ciocia Beth funduje mi uśmiech, który mówi: „łżesz”. – Dobra, już dobra – wzdycham. – Przyłapałaś mnie. Ułożyłam sobie życie, jakoś. I

czasem jest dobrze. Ale ciężko też bywa. Wiem, że w całej historii świata nikt przede mną o tym nie mówił, ale dorastanie jest trudne.

Ciocia się śmieje i ściska mnie za ramię.

– Nawet bardzo.

Wieczorem mama z ciocią gadają w salonie przy herbacie i ciastkach. Oznajmiam, że jadę do sklepu kupić rzeczy do szkolnego projektu na przyszły tydzień, i wymykam się. Chcę im dać jak najwięcej prywatności, zwłaszcza mamie. Ciocia Beth przyjechała tu dla niej i mogą rozmawiać o sprawach zarezerwowanych dla dorosłych kobiet. Pewnie o bólu. I jak sobie z nim radzić. Obie mają na sobie pokłady blizn, a czasem jak się zobaczy cudze rany, łatwiej uporać się z wieloletnim tępym bólem własnego złamanego serca.

O tej porze wszystkie kawiarnie są pozamykane, więc jadę na plac zabaw w centrum, gdzie zamierzam skorzystać z każdej zardzewiałej huśtawki, jaką znajdę. Na szczęście jest ich cała masa. Pompuję nogami, żeby wzlecieć jak najwyżej, a potem zeskakuję, po to tylko, żeby powtórzyć cały proces od nowa. Skrzypiące na cały głos huśtawki obudziły wiewiórki, które wyszły ze swoich domków, żeby mi swiergotliwie nawrzucać.

– No sorry – szepczę. – Ale próbuję dolecieć na Księżyc.

Uprzejmie informują, że NASA już wykombinowała, jak to zrobić, ale zwracam im uwagę, że ta metoda robi jeszcze więcej hałasu i wytwarza mnóstwo zbędnego ognia. W końcu huśtawki mi się nudzą, więc przenoszę się na zjeżdżalnię, a uszczęśliwione wiewiórki wracają do swych drzewnych posiadłości. Siadam na samej górze i patrzę w gwiazdy.

Kiedy ostatnio byłam na placu zabaw? W gimnazjum je uwielbialiśmy. Wydawało nam się, że jesteśmy megazajebięci, bo

siedzimy na huśtawkach do późna, nie zwracając uwagi na umówioną porę powrotu, nawet jeśli plac zabaw mieścił się zaledwie kilka przecznic od naszych domów. Mówiąc „my”, mam na myśli przyjaciół Bezimiennego i siebie. Bezimienny też oczywiście tam był. Po zmroku bawiliśmy się w chowanego, a plastikowe konie na sprężynach wytrzeszczały złowrogo wielkie oczy, gdy z piskiem rozbiegaliśmy się po kątach. Byliśmy tacy młodzi! A Bezimienny był taki miły i dobry. Zawsze znajdował mi najlepsze kryjówki, w których mieściłam się razem z moim tłuszczem, a sam chował się w jakimś kiepskim miejscu niedaleko, żeby zostać szybko znalezionym i skierować szukającego w inną stronę.

Piliśmy napoje energetyzujące, których nie było nam wolno pić, i jedliśmy cukierki, których też nam zabraniano. Jedną z koleżanek Bezimiennego, Ashley, była całkiem fajna. Dogadywałyśmy się tak, jak mogą się dogadywać tylko dziewczyny, które dużo czytają. Rozmawiałyśmy o *Przeminęło z wiatrem*, Harrym Potterze i innych lekturach, które ostatnio zaliczyłyśmy. Od czasów przedszkola nie miałam kogoś tak bardzo przypominającego przyjaciółkę. Jak się jest pulpetem, zalicza się więcej kpin niż rozmów, nawet w dzieciństwie. Ale Ashley ani razu się nie wyśmiewała z mojego wyglądu. Bezimienny się czasem dołączał do swoich kumpli, jak się nabijali z mojej wagi, ale ona nigdy.

Widzę spadającą gwiazdę i zachwycam się, jak szybko znika. Najpierw jest, a sekundę później nie ma. Mam nadzieję, że u Ashley wszystko w porządku, gdziekolwiek ją życie zaprowadziło.

I mam nadzieję, że gdziekolwiek poniosło Bezimiennego, on cierpi.

Książki i filmy przekonują, że zemsta jest najlepszym wyjściem. Jeśli chłopak skrzywdził dziewczynę – trzeba się zemścić. Ale ilekroć natrafiam na taką scenę, tylko kręcę głową. W rzeczywistości jest inaczej. Nie pragniesz zemsty, chcesz się tylko znaleźć jak najdalej od tego chłopaka, i tyle. Nie zamierzasz go więcej zobaczyć. Liczysz, że już nigdy nie będzie szczęśliwy, ale nie masz ochoty się na niego rzucić ani go zabić. Nie jesteś w stanie zbliżyć się nawet na centymetr do takiego człowieka jak on. Odwracasz się, idziesz w przeciwnym kierunku, byle go tylko nie minąć.

W idealnym świecie każda skrzywdzona dziewczyna mogłaby się zemścić. Ale mnie to nie przeszło przez myśl, byłam zbyt zajęta wmawianiem sobie, że zniszczył moje życie na zawsze i że na to zasłużyłam, skoro byłam tak głupia i naiwna. Że to moja wina, nie jego.

Tyle czasu mi zajmowało okłamywanie siebie, że nie miałam okazji choćby pomyśleć o zemście.

A czy gdybym go spotkała teraz, chciałabym się zemścić? Zemsta wymagałaby zrobienia mu tego samego, co on mnie, ale uświadamiam sobie, że nigdy bym tego nie zrobiła drugiemu człowiekowi. Nie skazałabym nikogo na taki ból. Musiałabym więc skrzywdzić go inaczej, tylko że z równą mocą.

Nie wiem tylko, czy jest na tej planecie coś, co zraniłoby go tak bardzo, że znienawidziłby każdy skrawek swojego ciała, że zbudowałby wokół siebie mur tak gruby, że nawet kula armatnia nie byłaby w stanie go zburzyć.

Nie chcę zemsty. Chciałabym cofnąć czas i sprawić, żeby to się nigdy nie wydarzyło.

Ale nie mogę. Więc staram się iść naprzód, choć znam tylko jeden sposób: robię sobie jaja, rzucam cięte riposty i wydurniam

się, żeby ludzie uważali mnie za głupszą niż jestem.

Wracam do ciemnego domu. Ciocia Beth siedzi na ganku i pali. Podchodzę jak gdyby nigdy nic.

– Mówił ci już ktoś, że jesteś złym wzorcem dla młodzieży?

– Moja matka. Ale została zdiagnozowana jako patologiczna kłamczucha, więc zostajesz tylko ty.

– Jak zwykle jedyna i niezastąpiona! – Wypinam dumnie pierś i siadam obok. Jej papieros dziwnie pachnie. Krzywię się.

– Nadal palisz trawę?

– Nadal palę trawę. – Parska śmiechem i zaciąga się. – Ale wiesz, jak jest: tylko od czasu do czasu.

To prawda. Jak jeszcze z nią mieszkałam, paliła jointy, gdy doskwierało jej kolano. Złamała je w młodości i nigdy się dobrze nie zrosło. Próbowwała zapijać ból, ale nie chciała zostać alkoholiczką. Od leków przeciwbólowych na receptę się uzależniła. Rzuciła je i postawiła na radosny kompromis. Ja, po spróbowaniu trawy z Bezimiennym, uznałam, że nie chcę z tym już mieć nic wspólnego i tak jej powiedziałam, więc się nie przejmowała, że jej ukradnę zapasy albo zrobię coś równie godnego nastolatki.

– Patricia śpi – oznajmia ciocia po chwili. – Ale pogadałyśmy. Cieszę się. Myślę, że jest gotowa do rozprawy, a w każdym razie bardziej gotowa, niż zanim przyjechałam.

– Tak? – Kulę się i przytulam do swoich kolan. – To dobrze.

– Ile jointów wypaliłaś tu, w Ohio?

– Siedemset.

Ciocia gwizdże z podziwem.

– Nieźle!

– Co wieczór idę na jakąś imprezę i wypijam butelkę szkockiej.

– Kurczę. Powiem twojej mamie, żeby zaczęła odkładać na

trumnę.

– Nie, nie trzeba. Zamierzam zutylizować swoje zwłoki. Jest bardzo duży popyt na zajęchane wodą nerki. We Francji je uwielbiają.

– *Bon appétit!* – Ciocia chichocze, a ja marszczę nos.

– Czasem mnie mdli, jak siebie słyszę...

– Jak przestanie, to będzie znaczyło, że coś jest z tobą nie tak.

– Uff! Jak dobrze wiedzieć, że nadal jestem idealna!

Przez chwilę znów milczymy.

– A co u ciebie? – pyta ciocia. – Jak się czujesz?

– W kwestii rozprawy?

– W kwestii wszystkiego.

Przypominam sobie twarz Jacka.

– Trochę nie wiem. Trochę jestem smutna. Ale uczę się. Jak być znów sobą. Choć idzie opornie. Ale nie sądziłam, że zajdę aż tak daleko, rozumiesz? – Ciocia kiwa głową, więc mówię dalej: – Łatwo nie jest. Jest tata, który ma mamę i mnie gdzieś. Jesteś ty, jedyna osoba na świecie, która mnie naprawdę chciała, choć byłam tysiące kilometrów dalej. I mam przyjaciół. Każdy idzie na studia gdzie indziej. Boże, studia... Kolejne cztery lata wyęźniania mózgu pełnego pierdół na kombinowanie, jak przetrwać w akademiku, jak się odnaleźć pod wspólnym prysznicem. Trzeba będzie ogarnąć stypendia, eseje i widmo przyszłej pracy, matko, co ja będę robić w życiu? Skąd się bierze mieszkanie, za co się płaci czynsz? Muszę skądś wziąć pieniądze!

– Zostań striptizerką jak ja, gdy miałam dziewiętnaście lat – podsuwa usłudnie ciocia.

– Tak, jest taka opcja. Tylko nie mów mamie.

Ciocia udaje, że zamyka usta na suwak, ale zaraz potem je otwiera.

– Nie bądź striptizerką.

– Jasne.

Wiatr rozwiera jej sukienkę, więc zdejmuję kurtkę i jej podaję, ale odmawia.

– Zaraz idę do środka. Włóż.

– A jeśli na tobie zależy mi bardziej?

– To wybij to sobie z głowy. – Odwraca się do mnie i patrzy bardzo poważnie. – Martw się o siebie. – Słowa zawisają między nami. Powoli wypuszcza powietrze z płuc. – Mówię serio. Musisz zacząć przejmować się sobą. Nie mną, nie mamą, nie przyjaciółmi. Sobą. Jesteś skarbem. Na świecie nie ma drugiej takiej istoty. Jeśli się wykończysz albo zrobisz sobie krzywdę, bo o siebie nie dbałaś, nie wybaczę ci tego.

To nie jest groźba, na pewno nie, bo w jej oczach widzę łzy. Cofam rękę, w której trzymałam kurtkę, i z powrotem wkładam. Uczucie ciepła po chwili na kąsającym zimnym powietrzu jest bardzo miłe.

– Staram się – zapewniam w końcu.

– Nie. Jeszcze nie – poprawia mnie. – Nie naprawdę. Ale jeśli jest tak, jak mówisz, że uczysz się znów siebie lubić, to przyjdzie z czasem. A kiedy ta chwila nadejdzie, musisz sobie na nią pozwolić.

Nie do końca rozumiem, o co jej chodzi, ale kiwam głową.

– Dobrze.

Stanowczą twarz cioci rozpromienia uśmiech. Czochra mi włosy.

– Fajnie, mała.

Ciocia wyjeżdża dwa dni później, po czterdziestu ośmiu godzinach zajadania się pysznościami przygotowywanymi przez

mamę i oglądania idiotycznych filmów z Netfliksa, z których się śmiejemy. Świetnie mieć w domu trzecią osobę. Ciocia Beth oczyszcza atmosferę, rozwiewa powietrze jak wentylator, pobudza energię do ruchu. Widzę, że mama jest szczęśliwa, a kiedy ciocia wyjeżdża, obie jesteśmy zrozpaczone. Oczywiście o tym nie mówimy, ale wracając z lotniska, ściskam dłoń mamy spoczywającą na drążku zmiany biegów, a ona uśmiecha się smutno.

– Damy radę – zapewniam.

– Oby – odpowiada.

Sprawiedliwość jest jak bal przebierańców. Wie to już trzyletnie dziecko, któremu rodzice mówią, że trzeba się dzielić swoimi rzeczami, podczas gdy ono doskonale wie, że nie trzeba, bo jest to potworne, ale nieważne, jak głośno wrzeszczy i płacze, nikt się nim nie przejmuje i lalka trafia w obce ręce, które nigdy nie powinny jej dotykać, bo są głupie i śmierdzą.

W sądzie obowiązuje ta sama zasada: stado nadętych, zmęczonych dorosłych mówi ci, co masz robić, tylko że jako argumentu używają więzienia.

Wzdycham i rozpinam koszmarne białą bluzkę ściskającą pod szyją. Tyle dobrze, że mama pozwoliła mi zostać w dzinsach. Nie mogłabym udzielić jej porządnego moralnego wsparcia, gdyby mój tyłek prężył się przed całym światem w ciasnych czarnych spodniach od garsonki. Następnie dobieram się do włosów, wielkiego koka, który zrobiła mama, ale Kayla daje mi klapsa w rękę.

– Zostaw. Dobrze wyglądasz.

Siedzi obok mnie na sali rozpraw, w białej bluzce podobnej do mojej, ledwie utrzymującej w ryzach jej bujne piersi. Ma też

spódnicę i perłowe kolczyki, z prawdziwych pereł. Wygląda jak prawdziwa pierwsza dama. Gdyby pierwsze damy miały siedemnaście lat i były Latynoskami.

Inaczej sobie wyobrażałam sąd. Spodziewałam się czegoś bardziej przypominającego serial: zatłoczone sale, groźni sędziowie i dociekliwi ławnicy. Tymczasem siedzę w pomieszczeniu jakby żywcem wyjętym z lat osiemdziesiątych, wyłożonym dziwaczną wykładziną w geometryczny wzór, z migającą świetlówką w rogu i sędzią przypominającą uśmiechniętą babcię z buraczkową trwałą i czerwonymi paznokciami. Ławnicy wyglądają, jakby w ogóle się niczym nie przejmowali, gadają między sobą i się śmieją. Mama siedzi dwa rzędy przed nami, z prawej strony jest jej prawnik. Leo, to ścierwo, zasiada przy lewym stoliku, a jego adwokat coś do niego szepcze. Leo ma rękę w gipsie i zabandażowany nos.

– Dupek – syczę do Kayli. – Nic mu się nie stało w nos, tylko się popisuje.

Ona prycha.

– Jest obrzydliwy. Mam nadzieję, że cała ta jego podłość do niego wróci. Dostarczona FedExem! Przesyłką ekspresową!

Jacyś ludzie wchodzą na salę, ale ja wpatruję się w mamę. W nocy znów spałam na dmuchanym materacu obok jej łóżka, bo nie mogła przestać płakać. Jak już opadły emocje związane ze Stanfordem, została smutna rzeczywistość i perspektywa zbliżającej się rozprawy. Widzę, jak pod garsonką trzęsą się jej ramiona. Umalowała się, żeby zamaskować cienie pod oczami, i stara się trzymać głowę w górze.

– Jack przyjdzie? – pyta Kayla. Kiwam głową.

– Tak. A co?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu... Może nie być łatwo. No wiesz.

– Dam radę...

Odpowiada dopiero po chwili:

– Jemu też nie było łatwo.

– Co? Komu?

– Jackowi. Był zupełnie inny, jak leżałaś w szpitalu. Wiem, że już ci to mówiłam, ale on się naprawdę, naprawdę zmienił. Nie widziałam go jeszcze aż tak znudzonego. Wyglądał, jakby był martwy.

– Nie zrobiłby nikomu aż takiej uprzejmości.

Kręci głową i wzdycha. Leo na chwilę podchwytuje moje spojrzenie, więc szybko udaję, że podrzynam sobie gardło. Więcej już nie patrzy.

– Twoje pogrożki są tym razem wyjątkowo zasłużone.

Słowa te wypowiada Jack, który właśnie osuwa się na krzesło obok mnie. Ma na sobie elegancki garnitur, jak spod igły, z krawatem w odcieniu błękitnej porcelany, pod kolor oczu. Włosy zaczesał do tyłu i nażelował, kości policzkowe nadają mu wyzywającego wyrazu, a profil ma jak zwykle wyniosły i królewski.

Kayla obdarza go przelotnym spojrzeniem.

– Cześć, Jack.

– Kayla! Miło cię widzieć. – Kiwa jej głową. Jeszcze dwa miesiące temu ich wymiana zdań wyglądałaby zupełnie inaczej, ale teraz brzmią niemal... dojrzałe? Wzdrygam się. Brr!

Nie mogę zapomnieć jego dłoni na tamtym zdjęciu. Być może kogoś zabił! Na śmierć! Tak, że ten ktoś nie może oddychać ani jeść! A przecież niejedzenie jest do dupy, bo a) jedzenie jest cudowne, b) jedzenie jest cudowne! Rozmawiam sobie spokojnie z kimś, kto sprawia, że ludzie nie są w stanie jeść. Przecież on

może być seryjnym mordercą, a ja nic o tym nie wiem. W ogóle nic nie wiem, tylko te okruchy, które podsuwają mi poszatowane wspomnienia. Jak to sobie uświadamiam, mam ochotę zacząć krzyczeć. Albo wymiotować. Oby nie jednocześnie.

– Twoja mama wygląda o wiele lepiej. – Jack nachyla się do mnie. – Była w kiepskim stanie, jak leżałaś w szpitalu.

– Z tego, co słyszałam, ty też.

Spina się na moment, a marynarka napręża się na ramionach. Zanim jednak udaje mu się coś na to powiedzieć, strażnik woła:

– Proszę wstać! – Wszyscy się podnoszą. Babciowata sędzia sadowi się na fotelu i pozwala nam usiąść. – W sprawie numer 109487, stan Ohio przeciwko Cassidy’emu, przewodniczy sędzia Violet Diego – odczytuje strażnik. – Swoich klientów reprezentują pan John Pearson i pani Hannah Roth. Stenografem jest pan William Fitzgerald. – Na koniec kiwa głową do sędzi i powraca na swoje miejsce w kącie. Sędzia Diego odchrząkuje.

– O ile dobrze rozumiem, rozstrzygniemy dziś, czy pan Leo Cassidy włamał się i wtargnął do domu pań Patricii Blake i jej córki Isis Blake, a następnie zaatakował je i pobił. Poproszę panią prokurator o wygłoszenie mowy wstępnej.

Adwokatka mamy, ładna blondynka, wstaje i wychodzi na środek. Następnie informuje o okrucieństwie Leo, o życiu mamy z nim i o jej ucieczce z Florydy. Przedstawia zakaz zbliżania się Leo do mamy, który dostała przed wyjazdem, prześwietlenie mojej czaszki i zdjęcia, jakie policja zrobiła w zdemolowanym domu. Naszym domu. Potłuczone szkło, krwawy ślad na ścianie i...

Wzdrygam się. Metalowy kij do baseballu. Kayla łapie mnie za rękę i ściska.

Adwokat Leo przekonuje, że jego klient był w stanie fugi

dysocjacyjnej oraz cierpi na zespół stresu pourazowego wywołanego służbą w Iraku, gdzie był sanitariuszem.

Nachylam się do Jacka.

– Ty, jesteś kujonem, co nie? Znasz trudne słowa.

Parska.

– Zaiste.

– Co to jest fuga dysocjacyjna?

– Coś podobnego do amnezji wysepkowej, którą ty masz na moją okoliczność – odpowiada szeptem.

– Ach, ktoś grzebał w mojej dokumentacji medycznej?

– Nie muszę grzebać, wystarczy, że znam podstawowe objawy neurologiczne i psychiatryczne. Tak czy inaczej, linia obrony oparta na fudze dysocjacyjnej jest w jego przypadku idiotyczna. Zdarza się to bardzo rzadko, a on nie ma żadnych innych objawów. Gdyby sędzia to kupiła, szczerze bym się zdziwił.

– A czy ty nie jesteś świadkiem?

Kiwa głową.

– Wezwą mnie, jeśli uznają, że moje zeznanie bardziej pomoże niż zaszkodzi.

Nieoczekiwanie obrońca Leo wzywa na świadka mamę. Ona odwraca się i patrzy na mnie, więc dodaję jej odwagi spojrzeniem i unoszę kciuki. Uśmiecha się słabo i idzie na miejsce świadków. Strażnik odbiera od niej przysięgę na Biblię, a prawnik Leo bierze ją w obroty: gdzie była tamtego wieczoru, w co była ubrana, gdzie ja byłam, jak Leo wyglądał, jak brzmiał. Mama słabnie, ręce jej się trzęsą, zagryza wargę, ale się nie załamuje. Mówi, chociaż wydaje się, że w żołądku ma pełno potłuczonego szkła. Gdy obrońca kończy przesłuchanie, wkracza jej prawniczka i mama opowiada, jak było. Zaciskam zęby, żeby nie dać się ponieść i myślę o jednoroźcach, ale nawet sikające tęczę zmutowane konie

nie odwracają mojej uwagi od drżącego głosu mamy, którym opisuje atak. Mam ochotę zatkać uszy albo wyjść, ale ona mnie potrzebuje. Cały czas na mnie patrzy, więc podtrzymuję kontakt wzrokowy. Jestem jej kotwicą.

– ... i wtedy Jack... – Mama zaczerpuje tchu. – To kolega Isis ze szkoły... Wszedł. Widziałam go ponad ramieniem Leo.

– Czy Jack miał broń, którą pani widziała? – pyta prawniczka.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! – wtrąca się obrońca Leo. – W tym momencie wizualne potwierdzenie istnienia broni jest pozbawione znaczenia...

Sędzia Diego rzuca mu ostre spojrzenie.

– Oddalam. Proszę kontynuować.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – Prawniczka mamy kiwa głową. – Czy widziała pani broń Jacka?

– Tak. To był kij do baseballu.

Prawniczka dopytuje, ile razy Jack uderzył Leo i co się działo dalej.

– Potem poszedł na dół, do Isis, ja zeszłam za nim i znów zaczęłam płakać, kiedy zobaczyłam, że ona się nie rusza. Bałam się. Byłam przerażona. Nie wie pani, jak... Boże... – Mama przerywa, a jej prawniczka zerka na sędziego.

– To wszystko, Wysoki Sądzie.

Podrywam się, żeby pomóc mamie wrócić na miejsce, ale Kayla ciągnie mnie z powrotem, i widzę, że robi to strażnik. Mama siada, uśmiecha się do mnie łzawo i sama podnosi wyciągnięte kciuki. Nie jest dobrze. Ale się nie boi. Tyle widzę.

Następnie zostaje wezwany Jack. Obrońca Leo jest zbity z tropu jego beznamietną miną. Wytrąca go to z równowagi. Tłumię śmiech. Witaj w klubie, koleżko.

– Włamał się pan bez pozwolenia do domu pani Blake? Tak czy

nie?

– Tak – odpowiada monotonnym głosem Jack. – Włamałem się. Przez otwarte drzwi, które wyważył pana klient.

Po sali rozchodzi się szmer.

Kayla unosi zaciśniętą pięść i cicho piszczy.

– Ach, wykończy tego gościa!

Zaciskam usta. Nawet nie wie, co mówi...

– Co pan zobaczył po wejściu do domu?

– Leżącą na podłodze Isis Blake. Na ścianie był ślad rozsmarowanej krwi, a ona miała krew z boku głowy.

– Widział pan tam mojego klienta?

Jack mruży oczy.

– Nie. Ale słyszałem, jak tupie na schodach.

– A więc nie widział pan ataku mojego klienta na Isis Blake?

– Nie.

Prawnik uśmiecha się z satysfakcją i zaczyna krążyć po sali.

– Czy wziął pan ze swojego samochodu aluminiowy kij do baseballu i wszedł na górę, żeby skonfrontować się z moim klientem? Tak czy nie?

– Tak.

– Czy mój klient był uzbrojony?

– Nie. Ale nie przeszkadzało mu to w próbie zgwałcenia przerażonej kobiety.

Wzdrygam się. Mama jest nieruchoma, tylko wpatruje się w Jacka. Wśród zgromadzonych znów rozchodzi się szmer, aż sędzia musi zastukać młoteczką.

– Proszę o spokój!

Szepty cichną, a obrońca się prostuje.

– Skąd pan zna panie Blake?

– Isis jest... – Jack milknie na ułamek sekundy, żeby się

zastanowić – moją koleżanką. Ze szkoły.

– Chciałbym przedstawić dowód A. – Prawnik przynosi odtwarzacz i stawia na stoliku. To wywiad z dyrektorem Evansem, który twierdzi, że mnie i Jacka nie łączą przyjacielskie stosunki i że w szkole zachowujemy się praktycznie jak śmiertelni wrogowie. Prawnik Leo usiłuje to wykorzystać, żeby wmówić wszystkim, że Jack przyjechał tego dnia do mojego domu, żeby zrobić mi krzywdę, z wściekłości, ale prawniczka mamy natychmiast to ucina.

Jack na mnie spogląda. Jeśli się bardzo postaram, jestem w stanie doszukać się w jego oczach iskry niepokoju. Ławnicy patrzą na niego z nieoczekiwaną podejrzliwością. Wraca na swoje miejsce.

– W porządku? – pytam. – Pomijając to, że masz na szyi wielki, nadęty guz, który nazywasz głową.

– W porządku – odpowiada cicho. Milknę.

– Nie chciałam tego powiedzieć. O guzie. Mam odruch docinania ci.

Na jego ustach pojawia się cień krzywego uśmiechu.

– Wiem.

Na miejscu dla świadka zasiada Leo. Jego prawnik buduje linię obrony: walczył w Iraku, doznał tam urazu głowy, wojskowy psychiatra zdiagnozował u niego zespół stresu pourazowego... A z każdą wyssaną z palca historyjką moja furia narasta. Mam wrażenie, że moje jelita chcą się pozbyć lunchu, najlepiej na jego buty. Nie mogę na to nic poradzić.

– Czy to prawda, że tego dnia pani Blake zadzwoniła do pana i zaprosiła do siebie? – pyta wreszcie prawnik.

Leo poprawia gips i z udawaną powagą kiwa głową.

– Tak.

– Gównu prawda! – krzyczę. Podrywam się i wskazuję w jego kierunku palcem. – Łżesz i dobrze o tym wiesz!

– Spokój! – Sędzia tłucze swoim młotkiem. – Proszę siadać, panno Blake.

– Ale on kłamie, Wysoki Sądzie! To kłamliwy dupek, który zmarnował mojej mamie życie...

– Proszę o spokój! – powtarza sędzia. – Albo pani usiądzie, młoda damo, albo każę panią wyprowadzić.

Oddycham ciężko, a wrząca krew szaleje mi w żyłach. Jestem gotowa walczyć, bić się, kopać, gryźć i wrzeszczeć. Ale tutaj nie mogę. Mama na mnie liczy. I na ten proces, że zapewni jej spokój ducha. Przepycham się wśród siedzących w moim rzędzie i rzucam się na drzwi. Wyłożone marmurem korytarze sądu wydają się zbyt nieskazitelne. Wkurzają mnie, że są tak wypucowane i lśniące, podczas gdy ja mam w środku syf i dawno zakrzepłą nienawiść.

– Hej!

Ignoruję głos i idę dalej.

– Ej!

– Agrh! – Kopię mocno ławkę. – Żałosny złamas! Załgany dupek o gębie jak odbyt mały...

– Isis...

– Jeśli dopuszczą mnie na półtora metra do niego, poleje się krew. I to prawdziwa.

– Isis, posłuchaj.

– Na pewno produkują widły, które mieszczą się w ludzkich ustach. I w gardle też.

– Isis!

Ktoś mnie łapie za rękę. Odwracam się z impetem i wyrywam ją. Za mną stoi Jack, lekko zdyszany.

- Posłuchaj mnie. Musisz się uspokoić.
- Uspokoić! – Śmieję się. – Jestem całkiem spokojna!
- A co robisz z rękami?
- Ćwiczę – odpowiadam i dalej wyginam palce.
- Po co?
- Żeby zręcznie działały, jak dobiore się do jego jelit.
- Nie uda mu się. Nawet ćwierćinteligentny student pierwszego roku prawa to widzi. Więc nie zachowuj się tak. To nikomu nie pomaga, a już na pewno nie tobie.
- Chcesz mi pomóc? To ciekawe, bo jak się ostatnio widzieliśmy, zarzekałeś się, że zamienisz moje życie w piekło.
- Tak? A zrobiłem to?
- Mówi ciszej, niskim, głębokim głosem, który lekko się łamie. Ta nagła zmiana mnie szokuje.
- Nie. – Wzdycham. – Tylko odrobinę je utrudniasz.
- Mama cię potrzebuje – przypomina.
- Nie mogę... Nie mogę tam wrócić. Przynajmniej chwilowo. Jeśli jeszcze raz zobaczę gębę tego neandertalczyka...
Jack marszczy brwi.
- Słowo dłuższe niż cztery litery! Jestem pod wrażeniem.
- I słusznie. W gimnazjum uczyłam się o nich przez cały rok. O nich i o ich włochatych krocach. Ale głównie o nich.
- A gdybyś przywaliła mnie, uspokoiłabyś się?
Prycham.
- Może. Ale nie sądzę. To jemu chcę zrobić krzywdę, nie tobie.
Jack wygląda na dziedziniec po drugiej stronie ulicy.
- Wiem, że uspokajają cię dwie rzeczy: przemoc i cukier. Lody.
- Wskazuje na budkę stojącą na chodniku. – Chodź. Ja stawiam.
- O nie! Wiem, jak to się kończy. Najpierw lody, potem ślub.
- Ślub? Co ty mówisz? – odpowiada zimno, gdy jednak idę za

nim do budki. – Kto jest tym szczęśliwym ślimakiem morskim?

– Jakim ślimakiem morskim? Czemu nie morskim potworem?

– Bo ślimaki morskie nie mają oczu. Ani nosów. Ani żadnej inteligencji poza tą potrzebną do jedzenia i srania. Idealnie byście do siebie pasowali.

Parskam. Słońce i jasne niebieskie niebo oznaczają, że luty przewrócił się dziś na głowę, gdy wstawał z łóżka. Jest za zimno na lody, ale i tak je jemy. Wszystko, byle wyjść z tego nadętego sądu. Ja wybieram truskawkowe, a Jack miętowe z czekoladą. Obok jest ławka, ale siadam pod drzewem na poźółkłej trawie. Jack się dosiada.

– Nie musisz.

– Wygodnie mi tu – odpowiada.

– Niektórym tyłkom wychodzi na dobre, jak się do siebie nie zbliżają.

– Nie.

Po tej wiele mówiącej wypowiedzi rozkoszujemy się lodami w stosunkowo pokojowej, acz chłodnej atmosferze, która może połączyć jedynie dwoje ludzi będących całkowitymi przeciwieństwami. W zimowym świetle Jack wygląda aż niedorzecznie. Niedorzecznie, atrakcyjnie i ogólnie do wyrzygania.

– Możesz już wrócić do reklamy Abercrombie?

– Co?

– No wiesz. Wpełźnij z powrotem do gazety, z której przylazłeś. Schowam cię pod łóżkiem między dwoma numerami „National Geographic” poświęconymi utylizacji słoniowej kupy i nigdy więcej nie otworzę.

– Jesteś nienormalna.

– Kojarzysz, jak ludzie mówią, że trzeba mieć piękne wnętrze i

tak dalej? – zaczynam.

– Tak. I co?

– Właśnie sobie uświadomiłam, że ludzie nie mają rentgena w oczach – szepczę w uniesieniu. – Nie widzą twoich wnętrzności!

Jack ze znużeniem pociera czoło.

– Jestem spod znaku Raka – informuję, ale nie robi to na nim wrażenia, nadal liże swoje lody. – Raz, jak miałam siedem lat, płakałam tak bardzo, że udało mi się nawodnić rodzinę z powrotem do stadium winogrona. – Moje trajkotanie go nie odstrasza, jak to się dzieje w przypadku dziewięćdziesięciu dziewięciu procent osobników z dyndającymi częściami ciała między nogami. Tylko parska. – Umiesz powiedzieć alfabet od tyłu?

– Tak.

– Szybko?

– ZYXWVUTSRQPONML...

– A zrobić pączki z cukrem i cynamonem?

– Cynamonowe ślimaczki.

– A skakać na skakance?

– Tak.

– Milion razy z rzędu?

– Jeśli załatwisz mi cybernetyczne kolana, jest szansa.

Wpatruję się w jego twarz.

– Ale nie masz zielonych oczu.

– Nie.

– I nie jesteś leworęczny.

– Nie.

– I pewnie nie umiesz grać na okarynie.

– Niestety.

Opieram się o drzewo i eleganckim ruchem wkładam sobie

lody do otworu gębowego.

– Świetnie.

– Bardzo wyostrzone kryteria.

– Cechy mojego idealnego mężczyzny. Czy tam ślimaka morskiego, jak zwał, tak zwał. Czy tobie w ogóle wolno wyjść z sali sądowej, skoro jesteś świadkiem?

– Zostałem już przesłuchany nie zmieniaj tematu masz idealnego mężczyznę? – wyrzuca na jednym oddechu i musi pilnie nabrać powietrza. Wybucham śmiechem.

– Nie wiedziałam, że lodowi książęta czasem się zachłystują!

– Twój idealny mężczyzna nie istnieje.

– Właśnie!

Mruży oczy.

– Więc tak działasz, jak ktoś cię zrani? Wymyślasz ideał, który nie ma szansy zaistnieć, żeby nikt nigdy nie spełnił twoich oczekiwań i żebyś nie musiała z nikim być?

– Tak jest!

– Nie konfrontujesz się z bólem. Stawiasz mur i udajesz, że nie istnieje?

Między liśćmi przesącza się światło. Tępy ból lokuje mi się gdzieś nad żołądkiem.

– Tak.

– Torturujesz się.

– Nic mi nie jest, kolego.

Prycha.

– W życiu nie widziałem kogoś, komu byłoby tak daleko do „nic mi nie jest”. Ale ty w to brniesz.

– A ty co? – rzucam. – Co z Sophią?

– A co z nią?

– Ona umiera, dupku. Ona umiera, a ty siedzisz tu ze mną,

stawiasz mi lody i wypytujesz o mojego idealnego mężczyznę! Ona umiera, a ty mnie pocałowałeś, wygląda na to, że więcej niż raz! Jakim trzeba być pieprzonym egoistą, żeby to zrobić? Urabiasz mnie, żeby ktoś się nad tobą użalał, jak ona umrze?

Jego oczy ścina arktyczny lód.

– Zamknij się.

– Nic, tylko się kłóćimy. Jasne, szacunek, sranie w banie, ale to nie wystarczy. Liczy się czułość i miłość, a ciebie to łączy z Sophią. – Czuję gorące krople w kącikach oczu. – Pieprz się, wiesz? Pieprz się! Nie próbuj się do mnie zbliżyć. Nie próbuj mnie naprawiać. Nie jestem księżniczką, jestem pieprzonym smokiem, a ty udajesz, że tego nie widzisz. Przestań! Nie bądź dla mnie miły. Nie bądź niemiły! Po prostu trzymaj się z daleka od mojego życia!

Przyszła jak burza i odchodzi jak burza: stawia ciężkie kroki, zaciska dłonie w pięści, powiewa włosami unoszącymi się na zimowym wietrze, a w jej płonących bursztynowych oczach widzę rozgoryczenie.

Czuję, jak coś we mnie narasta, a potem czeźnie.

Nie wracam do sądu. Czekam w parku i słucham, co mówią wychodzący. Leo dostał trzy lata za „włamanie i wtargnięcie” oraz „atak i pobicie”. Pani Blake do mnie macha. Isis nie zwraca na mnie uwagi i idzie prosto do swojego rozkosznie powgniatanego garbusa.

Ignoruje mnie. Całkowicie. Nie prycha, nie uśmiecha się złowieszczo, nie wymachuje w moją stronę środkowymi palcami. Nic. Całkowita pustka.

Rozdział 8

3 lata, 26 tygodni, 6 dni

Na świecie trzy rzeczy są pewne: ludzie, którzy lubią pizzę z ananasem to psychopaci, wszyscy umrzemy, a oddziały szpitalne nigdy się nie zmieniają.

Wydaje mi się, że minęło sto lat, odkąd przeszłam przez te automatyczne drzwi, a i tak wita mnie ostry zapach, który daje mieszanka odkażacza i nieszczęścia. Szpital jest taki sam, jak zawsze: te same siostry z nocnej zmiany biegają to tu, to tam, ten sam zmęczony ochroniarz nalewa sobie trzeci kubek chłodnej kawy. Onkolog, którego nazwiska nigdy nie mogę zapamiętać, mija mnie szybkim krokiem, a biały kitel łopocze za nim jak skrzydła mewy. Wszystko jest normalne, tak normalne, że niemalże kopie moją wijącą się, przepełnioną lękiem nastoletnią duszę.

– Isis! – woła pielęgniarka w recepcji. – Jak miło znów cię widzieć!

– Dobry wieczór – witam się. – Panią też. Zwłaszcza bez pogruchotanej czaszki.

– Dzieciaki za tobą tęsknią – informuje. – Zaprowadzić cię?

– Jeśli można, najpierw chciałabym odwiedzić Sophię. – Podnoszę torebkę z jeszcze ciepłymi kanapkami z Subwaya. – Porcja dla dwóch osób, dostawa do rąk własnych.

Macha ręką w głąb korytarza.

– Jasne. Daj znać, jak będziesz gotowa zajrzeć do maluchów.

Niepewnie szuram w stronę pokoju Sophii. Mam nadzieję, że jest w dobrym nastroju. A przynajmniej w nastroju na kanapki. To wystarczy.

Na szczęście akurat wychodzi Naomi.

– Proszę bardzo! A już myślałam, że nasza naczelna awanturka zniknęła na zawsze!

– Ciebie też miło widzieć.

Śmieje się i obejmuje mnie jedną ręką.

– Czyżbym czuła Subwaya z klopsikami?

– Niech cię szlag, Naomi! Mało, że jesteś śliczna i czarująca, to jeszcze masz nos jak posokowiec! Założę się, że twoja wartość na rynku matrymonialnym sięga astronomicznych kwot!

Moje docinki jak zwykle nie robią na niej najmniejszego wrażenia. Wskazuje na drzwi.

– Sophia niedługo idzie spać. Ma za sobą długi dzień.

– Co się stało?

– Miała fizjoterapię. Jej mięśnie są... – Marszczy czoło. – W nie najlepszej kondycji.

– Pogorszyło się?

– Guzy uciskają coraz to nowe miejsca. – Wzdycha. – Każdy ruch staje się bardzo bolesny. Im dłużej zostaną na miejscu, tym większe zrobią spustoszenie.

Milczę. Naomi kładzie mi rękę na ramieniu.

– Ale wszystko będzie dobrze. Idź do niej. Będzie zachwycona.

– Na pewno?

– Oczywiście! Ostatnio mówi tylko o tobie. O tobie i o Jacku, ma się rozumieć. Dziękuję, że do niej piszesz. Codziennie ma z kim porozmawiać.

To prawda, wysyłałyśmy do siebie esemesy. Najpierw podsylałam jej zdjęcia kotów ściągnięte z Internetu, jak wtedy, gdy też leżałam w szpitalu. Ona odsyłała mi równie rozkoszne zdjęcia psów i tak się przerzucałyśmy ładunkami zwierzęcej słaśności. Ale z czasem zaczęłyśmy rozmawiać o tym, jak nam mijają dni. Opowiedziałam jej o rozprawie, a ona mi o tym, jak ciężko jest po prostu żyć, istnieć, oddychać i budzić się co rano. Jedną z nas bolało bardziej niż drugą. Jedna z nas miała z powodu swojego bólu większe poczucie winy.

Przyciskam do piersi kupione w odruchu tegoż poczucia kanapki i otwieram drzwi do pokoju Sophii. Leży oparta na poduszkach, a igła w nadgarstku sący do żyły środki przeciwbólowe. Włosy i skórę ma niemal równie blade. Prawie całkiem wtapia się w białą pościel. Skrobie coś w czarnym notatniku, a kiedy wchodzę, przerywa i próbuje go schować. Nie uśmiecha się na mój widok, ale widzę, że stara się wyglądać na szczęśliwszą. Zdrowszą. Niedręczoną bólem. Odważne, wyczerpujące przedstawienie dla jednego widza.

– Mam nadzieję, że lubisz połcie mięsa w bule. – Unoszę torebkę. Sophia chichocze, ale tak cicho i słabo, że brzmi to raczej jak syczenie kota.

– Trafiłaś w mój jedyny słaby punkt.

Wygląda kiepsko. Ale nie mówię tego. Siadam na krześle przy łóżku i podaję jej kanapkę. Powoli rozpakowuje i szerzej otwiera oczy.

– Już tyle czasu minęło – stwierdza.

– Odkąd ostatnio przyszałam? Tak, wiem. Przepraszam, ale szkoła i proces...

– Miałam na myśli to, że dawno nie jadłam kanapek z Subwaysa.
– Ostrożnie skubie kawałek bułki. – Nie cały świat kręci się wokół

ciebie.

Spuszczam głowę i odgryzam wielki kęs, żeby unieruchomić paplające bez sensu usta.

– Mnie się cały czas wydaje, że się kręci – przyznaję, gdy w końcu przełykam. – To źle?

– Nie. To po prostu oznacza, że żyjesz. Ty, pojedyncza osoba z jednym mózgiem i jednym życiem, dwójgim oczu i jednym punktem widzenia. Wszystkim się wydaje, że są w swojej historii głównymi bohaterami. Na tym to polega.

– Kiedy tak o tym mówisz, wszyscy wychodzimy na dupków.

– Bo nimi jesteśmy – potwierdza Sophia. – Ale ty jesteś dupkiem, który przyniósł mi jedzenie spoza szpitalnego menu, więc ci się upiekło. A ja jestem udupionym w szpitalu dupkiem, który zmusił cię do zrobienia sobie takiego kłopotu. No i tak to jest.

– Nie można być dupkiem, jak się jest chorym. Wtedy ciało cierpi. Ma się prawo do bycia dupkiem. – Sophia uśmiecha się trochę z zadowoleniem, a trochę z irytacją.

– To tak nie działa. Nikt nie ma prawa zachowywać się jak dupek wobec ludzi, którym na nim zależy. A ja to robię. Jestem podłączona do stałego dopływu czystej morfiny, a i tak jestem dupkiem. Bo tak chcę. Chociaż ból ciała jest złagodzony, ból w głowie nie słabnie. Jest tam cały czas. Zatrzuwa każdą myśl i słowo, jakie wypływa z moich ust. A im bardziej się staram to ukryć, tym gorzej się kończy. Tym bardziej trucizna chce się wydostać i wszystko zepsuć.

Przez dłuższą chwilę jemy w milczeniu. Sophia odzywa się pierwsza.

– Wiesz, co jest najgorsze? – Spogląda na swoje dłonie. – Nawet nie to, że jestem tu uwięziona. I nie ból. Tylko „dlaczego”.

Pytanie, które zadaję sobie codziennie. Moja wieczna modlitwa do każdego boga, jakiego wynaleźliśmy, z pytaniem „dlaczego”? Dlaczego ja? Dlaczego mnie dał te guzy? Co we mnie jest takiego wyjątkowego? Lubi patrzeć, jak cierpię? W poprzednim życiu zrobiłam coś okropnego i to jest kara? Albo jakaś próba, która wykaże, czy jestem warta jego miłości?

Nie mogę wydusić słowa ani nawet się ruszyć, ale jednocześnie cała drzę. Sophia patrzy w biały sufit, ale wygląda, jakby widziała coś, co znajduje się poza nim.

– Później do mnie dotarło: nie ma „dlaczego”. Rzeczy się po prostu dzieją. I już. Bogowie nie mają planów. Bo gdyby mieli, czemu byłyby takie straszne? Jeśli Bóg naprawdę istnieje, dobry Bóg, który nagradza świątobliwych i karze nikczemnych, po co tworzyłby ból? A jeśli jednak istnieje, to znaczy, że ja jestem nikczemna. I zasługuję na to. Albo to, albo po prostu Boga nie ma. Są tylko rzeczy, dobre i złe, które przydarzają się cały czas, wszystkim. – Uśmiecha się do mnie, ale to smutny uśmiech. – Ale nikt nie chce słuchać takich rzeczy. Nikt nie ma tyle odwagi, żeby zaakceptować wszechświat pozbawiony sensu i boskiego planu. Chcemy wierzyć, więc wymyślamy sobie rzeczy do wierzenia, bo tak jest łatwiej. Znacznie mniej się boimy, gdy myślimy, że gdzieś jest Bóg, święty i wszechpotężny i że wszystko się dzieje z jakiegoś powodu. Chcemy wierzyć, nawet jeśli to nieprawda. Więc robimy tak, żeby była. Dopisujemy głębsze znaczenie tam, gdzie go nie ma. I już. Jeśli ktokolwiek jest bogiem, to my. Nasza wiara sprawia, że rzeczy stają się prawdą. – Śmieje się cicho i gryzie kawałek kanapki. Ja nic nie mówię. Nie mam nic do powiedzenia. Nigdy się nie zastanawiałam nad tym, w co wierzę. Nie muszę. Nie jestem chora. Nie wisi nade mną widmo śmierci, jak nad Sophią. Mam szczęście. Naprawdę mam szczęście, że

nigdy nie musiałam myśleć o tym na serio. – A ty w co wierzysz?
– pyta nagle. – W Boga? W Buddę? W kosmitów? Czy w nic? –
Milczę. – No weź, musisz w coś wierzyć. Nawet ludzie, którzy o
tym za dużo nie myślą, noszą w głębi serca jakąś wiarę. Twoja
mama jest chrześcijanką? Ty...?

– W siebie – stwierdzam w końcu. Sophia milknie, żebym
mogła mówić dalej. – Wierzę w siebie.

– Bardzo magicznie. Jak superbohaterka z kreskówki.

– Chyba nie. W każdym razie nie sędzę. Chodzi po prostu o
mnie. Nie wiem nic o Bogu ani bogach, ani kosmitach. Nie wiem,
co się ze mną stanie po śmierci ani czy w ogóle cokolwiek. Wiem,
że to będzie niespodzianka. Mogę tylko dbać o siebie. I żyć, aż
dłużej się nie da.

Teraz pora Sophii na milczenie. Opada na poduszki, a potem
zwija papier po kanapce i rzuca do kosza na śmieci na drugim
końcu pokoju.

– Niezły rzut – mówię. Wzrusza ramionami.

– Dzisiaj są urodziny mojej babci. A raczej dzisiaj były.

– Wszystkiego najlepszego, babciu Sophii.

Śmieje się.

– Polubiłaby cię. Lubiła Jacka, więc ciebie na pewno też by
lubiła.

– Czas na małą ciekawostkę: nie jestem podobna do Jacka. Nie
jestem podobna do Jacka!

– Czas na drugą małą ciekawostkę: to, że mówisz coś dwa razy i
za każdym razem głośniej, nie sprawia, że to się staje prawdą.

– Fakt. Ale żądam przynajmniej jakichś argumentów na
poparcie tej śmiałej tezy.

Sophia zaczyna odliczać na palcach.

– Nigdy nie pokazujecie, co naprawdę czujecie. Bardziej dbacie

o to, żebym ja się czuła dobrze, niż żebyście wy byli zadowoleni. Naiwnie i masochistycznie trwacie przy mnie, chociaż jestem dla was okropna. – Kuli w dłoni ostatni palec. – I żadne z was nie umie się pogodzić z moim umieraniem.

– Soph...

– Ale to nie szkodzi – dodaje. – Bo ja też nie umiem. – Wyciąga czarny notes, w którym pisała wcześniej. – Babcia zostawiła mi pieniądze na leczenie – mówi dalej. – Zapisała mi wszystko i miałam to dostać, jak skończę osiemnaście lat. Ale potem, jak się okazało, że mam te guzy, jej prawnik tak to załatwił, żebym mogła wykorzystać te pieniądze na terapię. Po czterech latach prawie się skończyły, ale koszty wziął na siebie Jack. Ale ja się i tak martwię. Nie wiem, skąd bierze takie duże sumy. Na pewno nie od mamy, bo na to jest zbyt dumny. Chce się mną zajmować sam. Boję się, że robi dla mnie coś nielegalnego. I czuję się przez to okropnie.

Sznuruję usta. Nie wiem, co on robi. Ale wspomnienia, które udało mi się odkopać, świadczą, że jest to coś, co większość ludzi uznałaby za szemrane interesy. Jeśli jej nie powiedział, na pewno miał powód. Chroni ją. Gdybym zdradziła jej tę odrobinę prawdy, którą myślę, że pamiętam, znienawidziłby mnie jeszcze bardziej. Ale co mnie to obchodzi? Niech nienawidzi. Ja też go nienawidzę. Jego twarzy i jego głosu...

– Powiedziałabyś mi, prawda? – Sophia wpatruje się we mnie niebieskimi oczami głębszymi niż ocean. – Gdybyś wiedziała, powiedziałabyś mi, tak, Isis? Bo jesteśmy przyjaciółkami. Bo zasługuję na prawdę, nawet jeśli Jack uważa, że postępuje słusznie, nic mi nie mówiąc. – Waham się przez moment, a ona rzuca się na to wahanie jak lew na młodą gazelę. – Narkotyki? Proszę, powiedz, że nie. – Szukam słów, w myślach mam papkę z

podwójnej moralności. – I że to nie walki – docieka. – Zawsze umiał się bić, ale błagam, tylko nie to. Niech nikomu nie robi dla mnie krzywdy.

Jej twarz jest pełna bólu. Jak Jack może być tak okrutny i trzymać to przed nią w tajemnicy? Przecież ona się strasznie denerwuje i ma poczucie winy.

– Ja nie... Nie pamiętam. – Decyduję się na półprawdę. – Wszystko, co z nim związane, jest zamglone.

– Kłamiesz – reaguje natychmiast. – Dobrze wiesz, co robi.

– Nie wiem – upieram się. – A może wiem, ale nie pamiętam.

Chwilę nic nie mówi.

– Jeśli sobie przypomnisz, obiecujesz, że mi powiesz? Od razu?

– Oczywiście.

Wpatruje się we mnie i ocenia, czy mówię prawdę. W końcu kiwa głową.

– Dałaś słowo.

Notuje coś w czarnym zeszycie, a ja jeszcze raz wszystko analizuję. Wpada mi w oko jedno zdanie z jej zapisków. To jakaś lista. „Zjeść babeczkę z tej wypasionej cukierni w Nowym Jorku”. Lista jest długa, a litery pełne zawijasów. Sophia zauważyła, że czytam.

– To moje plany i cele – wyjaśnia w końcu. – Wiem, że to tandetne. Takie rzeczy robi się w filmach, ale doktor Mernich mówi, że to pomoże. Nie, żeby na tym etapie coś jeszcze mogło pomóc. Ale planowanie takich rzeczy poprawia mi humor. Nie mogę podróżować, w każdym razie nigdzie daleko. Ale nawet jeśli nic z tej listy się nie ziści, mogę sobie przynajmniej pomarzyć.

Ziewa i sennie mruga.

– Nie tylko – przekonuję. – Jeśli będziesz chciała, możesz

zrealizować całą listę.

– Daruj mi ten pocieszający kit.

A potem zasypia tak szybko, że nawet nie mam czasu przeprosić. Wstyd mi. Podnoszę się i ruszam do drzwi. Gdy je otwieram, stoję twarzą w twarz z Jackiem. Szybko wychodzę i zamykam za sobą. Napięcie rośnie, włoski na karku stają mi dęba, a serce wali mi tak, jakbym podczas nurkowania zobaczyła rekina. Na szczęście ratuje mnie niewyparzony język.

– Czemu zawsze jesteś tu, gdzie ja? Niech zgadnę: śledzisz moje konta w portalach społecznościowych?

– Nie – odpowiada bez emocji.

– Wszczepiłeś mi nadajnik GPS do plomby w zębie?

– W życiu nie wydałbym na ciebie tylu pieniędzy.

– Mówiłam ci, żebyś się trzymał ode mnie z daleka.

– Ale nie zamierzam trzymać się z daleka od Sophii – odpowiada. – I wygląda na to, że ty też nie. Spotkania są więc statystycznie prawdopodobne.

– Statystycznie prawdopodobne jest też, że jak ktoś cię prosi, żebyś dał mu spokój, to się do niego nie odzywasz.

– Ty się odezwałaś pierwsza.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś, co robisz? – dopytuję. – To ją dręczy.

Mruży lodowate oczy.

– Nie mogę jej powiedzieć. Rozczarowałabym ją. Znienawidziłaby mnie. Pomyślałaby, że jestem obrzydliwy.

– Można ci przypisać wiele irytujących cech – odpowiadam. – Ale bycie obrzydliwym nie jest jedną z nich.

– Czyżby? – Śmieje się gorzko. – W jakim świecie ty żyjesz? Wszyscy inni uważają, że seks za pieniądze jest upadkiem. Czymś obleśnym. Nie udawaj, że nie jesteś jedną z nich.

Zatyka mnie.

– Czyli... To właśnie robisz?!

Nie odpowiada, tylko się wpatruje w podłogę. Przyglądam się jego twarzy i nagle zaczynają się pojawiać wspomnienia, ciurkają jak woda przez zatkany odpływ. Czerwono-czarna wizytówka z imieniem Jaden, jedzenie lukru ze słoika i obserwowanie go, jak idzie z jakąś dziewczyną pod rękę... Raz sama mu zapłaciłam, żeby się umówił z Kaylą. Jest mężczyzną do wynajęcia i robi to dla Sophii. Pamiętam, że tego też się w pewnym momencie dowiedziałam. Za zarobione pieniądze opłaca jej leczenie i nie powiedział o tym nikomu, ani mamie, ani Sophii, nikomusieńku. Tylko mnie.

– Trochę bym wolał, żebyś sobie nie przypomniała – stwierdza cicho.

– Dlaczego?

– Dlatego. – Wzdycha. – Mówiłem ci: ludzi to zniesmacza. Ciebie też zniesmaczyło. Wtedy raz, a teraz drugi.

Zaciskam zęby.

– Wtedy tak. Myślałam, że to obrzydliwe i złe. Ale potem zdałam sobie sprawę, że myślę tak tylko dlatego, że cię nienawidziłam. Wszystko, co robiłeś, było dla mnie obrzydliwe. Wtedy, jak się poznaliśmy.

– A teraz? – mruczy.

– A teraz... Jest... – Teraz moja kolej, żeby nie móc mu patrzeć w oczy. – Teraz wiem, że to twoja decyzja. I dopóki tobie to nie przeszkadza, nie rani cię ani się z tego powodu nie nienawidzisz, niech będzie. Chcesz to robić dla Sophii. Chcesz to robić, kropka. Kim ja jestem, żeby oceniać, czy to dobre, czy złe? Musiałabym być hipokrytką.

– Więc nie przeszkadza ci to? Że uprawiam seks za pieniądze?

– Uwierz mi, wiem, że seks to nic wyjątkowego.

Marszczy czoło, a nad nosem pojawia mu się głęboka zmarszczka.

– Może być wyjątkowy, jak robisz to z kimś, kogo kochasz.

Twarz mi płonie, a w brzuchu dziwnie bulgocze.

– Więc czemu to robisz z ludźmi, których nie kochasz?

– Bo to nie... – Wypuszcza powietrze. – Trudno to wyjaśnić komuś, kto nie ma doświadczenia.

Bulgotanie przechodzi w mdłości.

– Ach. Więc jestem zbyt niedoświadczona, żeby się mną przejmować.

– Nie, nie to miałem na myśli – tłumaczy cicho, spokojnie i cierpliwie. – Całujesz czasem swoją mamę?

– Co? Co to za pytanie?

– Całujesz?

– No pewnie. W policzek. Albo w głowę.

– A ja pocałowałem ciebie – mówi od razu. – I to było co innego, prawda? Czulaś się inaczej, tak?

Trudno to stwierdzić, bo niesamowicie nad sobą panuje, ale w ostatnim słowie słyszę jakby niepewność, niepokój.

– T-tak – przyznaję. – Było...

Ryzykuję spojrzenie w oczy i skóra zaczyna mnie mrowić, bo okazuje się, że on też na mnie patrzy. Nie gapi się, nie łypie wściekle, tylko patrzy na wszystko, co mnie dotyczy, i wydaje mi się, że cała zawartość mojego serca jest dla niego dostępna. Szukam słowa, którego nie znam. W miejscu, gdzie powinna znajdować się jego definicja, ziele pustka. Ucieka mi, mam je na końcu języka, ale nie umiem go wypowiedzieć. Robię się coraz bardziej zła, a w końcu wybucham.

– Po co mnie o to pytasz?

Lodowatoniebieskie oczy pochmurnieją, ale nie odwraca wzroku.

– Próbuję ci wytłumaczyć różnicę. Jest coś takiego, jak rutynowa czułość i jest coś więcej. Coś znacznie więcej.

Moja twarz staje w ogniu, częściowo ze wstydu, częściowo z ciekawości, a częściowo w wyniku jakiejś dogłębnej, instynktownej tęsknoty. Dowiedzieć się, co ma na myśli, sprawić, żeby mi pokazał...

Udaje mi się wylać sobie na głowę siedem ton wyimaginowanej lodowatej wody i wracam do tematu.

– Nawet jeśli to tylko rutynowe uczucie, będzie w porządku jedynie wtedy, gdy się nie krzywdzisz, robiąc to.

– Fizycznie?

– Albo emocjonalnie – dodaję.

Jego spojrzenie staje się surowe.

– Czemu się mną przejmujesz? Kazałaś mi się trzymać od siebie z daleka. Nie musisz udawać, że ci na mnie zależy.

Zamieram. Ma rację. Dlaczego mnie to obchodzi?

– Nie udaję – cedzę przez zęby.

– Nienawidzisz mnie – stwierdza wprost.

– Wkurzasz mnie – przyznaję. – Mącisz mi w głowie. Ilekroć z tobą rozmawiam, moje uczucia zmieniają się w tornado i skręca mi się żołądek. Nie wiem, co do ciebie czuć, dobra? Potrzebuję czasu. Przestrzeni. Muszę pomyśleć bez twojego wpierdalania mi się do głowy.

Wściekłość w jego oczach zmienia się w bierną, lodowatą pustkę. Mija mnie, otwiera drzwi do pokoju Sophii i zamyka mi je przed nosem. Ale z jakiegoś powodu tornado się tylko nasila. Między żaluzjami w drzwiach widzę, jak siada na łóżku, bierze Sophię za rękę i czule odgarnia jej włosy z czoła.

Wszystko się nagle porządkuje. Oto jego świat. Czuję to, widzę, wiem. Powinien trzymać za rękę ją, teraz i zawsze. Pasują do siebie jak puzzle, choć nie wiedziałam, że je układam.

Nie ma tu miejsca dla mnie.

Dla dziewczyny, która nie myśli o śmierci. Nie jest poważna, głęboka ani dojrzała. Która wierzy jedynie w siebie.

Z Mirą i Jamesem przebywa się znacznie przyjemniej. Nie muszę być ani głęboka, ani poważna, przeciwnie, im zależy na totalnej beztrosce i śmiechu. Wyobrażam sobie, jak potwornie są znudzeni, spędzając całe tygodnie w szpitalu. Miejsce dla starych i chorych to nie jest świat dla dzieci. One zasługują na rówieśników, cukierki, szkołę, zoo, place zabaw i Disneyworld.

– Isis? – Z zamyślenia wyrywa mnie głos Jamesa. – Czemu jesteś smutna?

Uśmiecham się.

– To tylko hormony. Nie przejmuj się.

– Nastolatki są obrzydliwe – ocenia bardzo poważnie Mira.

– Najobrzydliwsze! – zapewniam. – Widziałaś ostatnio jakiegoś nastolatka? Jesteśmy aż śliscy od tłuszczu i sarkazmu.

– Jak ty! – James chichocze.

– O tak, plus siedem do tłuszczu!

– I plus milion do sarkazmu – dodaje Mira.

– Kto ci pozwolił na takie bezczelne uwagi? – Udaję urażoną. Oboje wskazują na mnie palcem i wybuchają śmiechem. Potem James, który siedzi przy oknie, wskazuje na parking.

– Ej! To nie Jack?

Mira i ja tłoczmy się na parapecie. Tak, idzie do samochodu. James wyciąga spod poduszki karabin na piankowe piłki i mierzy.

– Da-waj, da-waj! – skandujemy z Mirą. James pociąga za spust i

w powietrze wylatuje mały, piankowy pocisk. Nie ma szans, żeby doleciał do Jacka, ale jakimś cudem on się zatrzymuje, odwraca i patrzy na szpital. Z Jamesem i Mirą błyskawicznie chowamy się za parapet.

– Naprawdę go trafiłem? – syczy James.

– Nie ma szans – szepcze Mira. – Tylko się gapi, bo jest dziwadłem.

– Dziwadło, bardzo dobre określenie – zgadzam się. Zerkamy znad parapetu i widzimy, że Jack idzie dalej.

– Uff! – James ociera czoło. – A już się bałem, że go zabiłem!

– Nie można nikogo zabić z pistoletu na pianki – zauważa Mira.

– Niestety nie – przyznaję. – Ale jakbyś go zabił, byłbyś najmłodszym skrytobójcą świata.

– Jaaa! Chcę być skrytobójcą! Super! – emocjonuje się James, ale Mira daje mu w głowę.

– Przecież chciałeś być astronautą!

– No i co?

– To, że w kosmosie nie ma ludzi, których można zabijać.

Śmieję się tak bardzo, że aż sama siebie zadziwiam. Mira i James też się śmieją, chociaż chyba nie do końca wiedzą z czego. Siadam prosto i ocieram oczy.

– Przysięgam – stękam – że kiedyś mnie skrytozabijecie, jedno z drugim.

– Ja nie chcę cię zabić! – przekonuje James.

– Za późno. To się już dzieje.

– Ale kicha – mruczy. – Jesteś jedyną fajną nastolatką, jaką znam.

– Nieprawda – stwierdzam. – Widać, że nie znasz *Klubu winowajców*.

– Jakiego klubu?! – marszczy czoło Mira.

– Kiedyś zobaczysz. To film tylko dla nastolatków.
Marszczy czoło i patrzy na mnie bardzo poważnie.
– Zmieniłam zdanie. Może chcę być nastolatką.
Znów zaczynam się śmiać, a James wywraca oczami i strzela piankową kulą w sufit.

Ja, Isis Blake, stwierdzam, że dyrektor Evans jest spoko.

W kategorii czarnych charakterów Disneya.

We wszystkich innych kategoriach jest mniej lub bardziej paskudnym ćwokiem. Wiem o tym, ale spędziłam z nim już tyle czasu, że prawie tego nie dostrzegam. To po prostu jest jak paskudny kolorek szkolnych murów albo jarzeniówka nad jego biurkiem, która czasem miga, bo fundusze na szkoły publiczne nie wystarczają... I tak dalej. Fakty. Latem jest gorąco, ja jestem oszałamiająca, niebo jest niebieskie, a Evans jest totalnym dupkiem z niekończącym się kryzysem wieku średniego, który lubi się na mnie wyżywać.

Ale i tak kładę nogi na jego biurku.

– Co tam, staruszkule? – pytam. Choć dokładnie wiem, co tam. Ale niech błaga. Gładzi dłonią łysinę.

– Martwiłem się o moją ulubioną uczennicę.

– Coraz lepiej pan kłamie! – Klaszczę. – Mógł pan powiedzieć, że chodzi o to, co było w kopercie ze Stanfordu. No wie pan, otworzyć się na swoje uczucia. Jestem pewna, że na dłuższą metę lepiej by pan na tym wyszedł i oszczędził na czerwonym kabriolecie albo kilku latach psychoterapii.

Evans marszczy czoło.

– Staram się naprawić błędy. Jak długo jeszcze będziesz mnie traktowała jak lajdaka?

– Do końca pana życia! – odpowiadam radośnie. – Chce pan się

dowiedzieć, że przyjęli mnie w pierwszym terminie, żeby się móc przechwalać przed innymi łysymi dyrektorami, z którymi się pan kumpluje.

– Przyjęli cię? Gratuluję!

– Chwileczkę! – Unoszę palec. – Proszę nie konfabulować i nie zmuszać mnie, żebym to powiedziała. Dobrze znam pana metody!

– Jakie są moje metody? Proszę, Isis, oświeć mnie.

– Pokrętnie taktyki i rozmizdrzone manipulacje. Odnalazłby się pan w osiemnastowiecznej Francji. Co prawda tam za to ścinali...

– Milknę i z namysłem głaszczę się po brodzie. – Tak! Świetnie by się tam pan odnalazł.

Evans milczy. Patrzy nieugięcie i stanowczo, jak nie on, zwykle słaby i uciekający wzrokiem.

– Niech zgadnę. – Nachylam się. – Chce pan usłyszeć, że się dostałam, żeby poczuć się lepiej i móc uznać, że pan odpokutował, tak jakby wysłanie mojej aplikacji na prestiżową uczelnię miało mi wynagrodzić akcję ze zdjęciami i resztę szajsu.

– Nie rusza się, nawet nie mruga. Opadam na oparcie. – No więc proszę pozwolić, że pana oświecę. To się nazywa szajs, bo to wielka kupa. Już została zrobiona i nie da się nic na to poradzić. Nie da się posprzątać. Zawsze będzie tam, gdzie spadła. Smród pozostanie. To do końca życia będzie coś, co pan zrobił. Więc nie, nie powiem panu.

Evans się uśmiecha.

– Już i tak powiedziałaś.

Parskam.

– A to kiedy?

– Nie byłabyś tak arogancka, gdybyś nie miała pewności, że się dostałaś. Gdybyś się nie dostała, nie miałabyś asa w rękawie,

żeby się tak nade mną znęcać. Nie pyszniłabyś się.

Ma rację. Skurczybyk jeden, ma rację. Nauczyłam się jego metod, ale on nauczył się moich. Sprytny mały szczurek.

– Wiedz, że się cieszę. – Uśmiecha się łagodniej. – Bardzo się cieszę, że masz tę możliwość. Mogę spać spokojnie, wiedząc, że jedna z moich najbystrzejszych uczennic ma szansę stać się jeszcze bystrzejszą. – Milczę, a on wstaje, podchodzi do okna i patrzy na ludzi chodzących po ulicy. – Bo taka jesteś, wiesz o tym. Bystra. Gdy cię tu przyjmowałem, zerknąłem w twoje akta, i uznałem za potencjalną przyczynę kłopotów. Ale świetnie ci szło. Tamte opinie były tendencyjne, a jednak oceniłem cię jedynie na ich podstawie.

– Niech się pan nie podlizuje.

– Nie próbuję. Wiem, że mnie nie lubisz i masz ku temu powód. To się nie zmieni. Ale czegoś się od ciebie nauczyłem. A zapomniałem już, jak się uczy od uczniów. Lata bycia dyrektorem, a nie nauczycielem odsunęły mnie od życia. – Odwraca się do mnie z uśmiechem. – Dziękuję ci. I przepraszam za wszystko. Możesz już iść, jeśli chcesz.

Wstaję i zarzucam plecak na ramię. W drzwiach się odwracam.

– Dostałam się.

Kiwa głową, a słaby uśmiech nie znika mu z twarzy. Tylko kiwa głową, nie mówi nic nadętego ani patetycznego, tylko odwraca się z powrotem do okna.

Wychodzę, ale czuję się inaczej. Jestem smutniejsza. Nie chcę go aż tak nienawidzić. Wszystko wydaje się bardziej szare i zimniejsze, a płomienna wściekłość tłąca się w piersi przygasa. Ludzie popełniają błędy, ale bardzo niewielu potrafi przeprosić twarzą w twarz. Niewielu się zmienia czy próbuje zadośćuczynić. Po tym, co zrobił Leo, uznałam, że nie mogę ufać dorosłym

mężczyznom. Uznałam ich wszystkich za drani niezdolnych do porządnego zachowania. Ale Evansowi się udało. I za to, nawet jeśli tylko za to, podziwiam go.

Wycieczka do domku Avery nad jeziorem skłoniła mnie do zastanawiania się nad wieloma rzeczami, ale jedna wybija się zdecydowanie na pierwszy plan. Otóż: mam w ciele mniej więcej dziewięć trylionów komórek i każda, ale to każda z nich nienawidzi wycieczek. I chodzenia. Ogólnie poruszania się przez dłuższy czas. Wszystkie dziewięć trylionów z nas wołałyby leżeć aktualnie na leżaku. W cieniu. Z pucharkiem lodów.

– Nie wierzę, że udało mi się schudnąć – sapię i opieram się o drzewo. Kayla jest kilka metrów przede mną i dzielnie prze pod górę.

– Wszyscy zrobiliśmy kiedyś coś, czego żałujemy! – odkrzykuje.

– Na przykład zaczęliśmy żyć.

– Albo nie trenowaliśmy i nie dbaliśmy o metabolizm.

Patrzę na pień dębu, który zdaje się podzielać moje zdumienie. Metabolizm? Drzewo lekko się otrząsa. To po drzewnemu wzruszenie ramionami.

– Czy ty zaczęłaś... czytać?! – krzyczę.

– Jesteśmy dorośli. Dorośli powinni znać mądre słowa.

– A ja myślałam, że wystarczy woda i seks bez zobowiązań.

Kayla wybucha śmiechem i przystaje na szczycie wzgórza, żeby na mnie zaczekać.

– Jeszcze rachunki – dorzuca, gdy do niej docieram.

– Jak mogłabym zapomnieć? – dyszę.

– Dla mnie to najgorsze.

– Rachunki?

Kiwa głową.

– Rachunki są straszne. Studia mnie nie przerażają. To chyba to samo co liceum, tylko że się tam mieszka.

– Ludzie w college’u dużo piją.

– My też dużo pijemy.

– Mają choroby weneryczne.

– Jak myślisz, czemu Marina się cały czas na WF-ie drapie w kroku?

– I mogą runąć twoje marzenia o zostaniu gwiazdą rocka.

– Teraz wolalabym być po prostu gwiazdą. – Wskazuje w niebo. Tłumi śmiech.

– Co ty powiesz?

– No tak. – Łapie się za piersi. – Moje dziewczynki ucieszyłyby się z braku grawitacji. A poza tym jest tam dużo fajnych skał i w ogóle. I kosmici.

– Nie ma „Cosmo” – ostrzegam.

– Wiem. Ale kosmos wystarczy.

Parskam śmiechem.

Przez jakiś czas tylko idziemy. W każdym razie Kayla idzie, a ja rżę. Ale chociaż płuca mi płoną i cieknie mi z nosa, wiem, że las jest piękny, pełen przesączającego się przez gałęzie światła i świeżego powietrza, a dźwięk fal co noc kołysze do snu ptaki. Kayla zatrzymuje się na kolejnym wzniesieniu i wskazuje na dom. Jest wielki, z francuskimi oknami i marmurowym tarasem. Na podjeździe nie ma żadnego samochodu. Możemy powęszyć, a jeśli za bardzo się nie zbliżymy, nie włączymy żadnego alarmu.

– Witaj w Château Avery.

– Dzięki, Wielka Niedźwiedzico. – Klepię ją w tyłek. Ona piszczy i rzuca mi w głowę szyszką. Ta wplata mi się we włosy, ale jej nie wyciągam, bo to coś, co dostałam od Kayli. Dała mi wiele rzeczy,

ciasteczkowe lizaki, dużo kawy i uśmiechów, ale ta szyszka znaczy więcej. Może trochę ostra i trochę niewygodna, ale zawsze jest przy mnie i wygląda obłędnie. Jak Kayla.

– Gdzie zaczynamy? – pyta.

– Nie mam najbledszego pojęcia – przyznaję. – Nie wiem nawet, czego szukamy. Ta wyprawa w głąb Mordoru może się okazać całkiem daremna. Ale to jedyny ślad, jaki mam, mój Samie Gamgee.

– Łee, czemu muszę być paskudnym hobbitem?

– Wren mówił, że to się stało w lesie – zmieniam temat. – Avery ich tu zawołała, więc nie mogło być zbyt daleko od domu. Ani za blisko drogi, bo ktoś mógłby ją zobaczyć. Musimy myśleć jak Avery.

Kayla krzywi się z obrzydzeniem, więc klepię ją pocieszająco po plecach.

– Bez poświęceń się nie obejdzie. Ale spoko, komórki mózgowe zregenerują się za dziesięć godzin. Nikt się nie dowie. – Obracam się na pięcie i wskazuję na południe. – Tamta kępa drzew pasuje idealnie. Daleko od drogi, ale niezbyt daleko od domu.

– Dobrze, możesz sobie być mądra i tak dalej, ale ja znalazłam Avery, jak ciebie jeszcze nie było na świecie. Wiem, jak ona myśli, i wiem, że tędy by nie poszła.

– Bo co?

– Bo tu jest pełno błota. Fuj!

– Nie wiem, czy wiesz, ale błoto wysycha. Pięć lat temu mogło go tu nie być.

– Nie wiem, czy wiesz, ale tu zawsze jest błoto. – Rozgląda się i wzdycha.

– A jeśli nic tu nie ma? Bo tak naprawdę, to czego my szukamy? Dowodu? Nawet nie wiem, jakiego ani na co to miałyby

być dowód. Może to jedna wielka strata czasu.

– Spróbujmy chociaż – upiera się Kayla. – Gdybym była na miejscu Avery i chciała kogoś gdzieś zwabić, żeby mu zrobić krzywdę, poszłabym w tę stronę. Tam ona i jej brat odpalili kiedyś fajerwerki, jak byli mali. Nie widać tego miejsca z domu, więc rodzice ich nie nakryli. Mieli tu tajną kryjówkę.

– Chętnie bym cię pocałowała, ale jest o jakieś pół roku za wcześnie, żeby zacząć eksperymentować z karierą uczelnianej lesbijki.

Kayla parska śmiechem i ruszamy w stronę wskazanej przez nią części lasu. Rosną tam o wiele grubsze drzewa, tak wielkie, że zasłaniają widok na dom i jezioro. Doskonale ustronne miejsce na diabelskie eksperymenty.

– Czego szukamy? – docieka Kayla. – Łusek po nabojach? Krwi? Ludzkich kości? Czy... – Wzdryga się i szepcze: – Podartych ubrań?

– Pewnie niczego z tego zestawu. Pięć lat to w cholere dużo czasu, żeby natura zrobiła swoje. Wypada mieć po prostu nadzieję, że nic nie znajdziemy, ale szukajmy czegoś, co tu nie pasuje. Co nie wygląda na dzieło lasu.

Kiwa głową i rozdzielamy się. Trzęsą mi się ręce. Oddycham płytko. To tutaj. Tu się to stało. Stoję w miejscu, gdzie do tego doszło. Tu Jack zmienił się w lodowatą, pozbawioną ludzkich uczuć maszynę. Sopię spotkało coś złego. Wren nasiąknął poczuciem winy, a Avery stała się potworem.

Nie jestem Sherlockiem Holmesem ani Veronicą Mars. Ta wycieczka to po trosze efekt szaleństwa, a po trosze nieokiełznanej nadziei. Przeszłość została pogrzebana w sercach Jacka i reszty. Wspomnienia wróciły mi na tyle, by wiedzieć, z jakim trudem wydobyłam z nich jakiegokolwiek informacje. I oto

znalazłam się w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Mam szansę sprawdzić przynajmniej efekty działania czasu i pogody.

Kłękam na leśnym poszyciu, wśród rozmiękłych igieł. Kopię. Zaglądam pod kamienie. Szukam w korzeniach, skupiskach grzybów i wielkich, gnijących pniach. Kayla prychnęła z niesmakiem, z gracją damy obrzuca spojrzeniem pnie i nogą rozkopuje mech. Ale nie mam żalu. Nie jesteśmy śledczymi. Ma rację. Co my tu w ogóle robimy? Tylko tracimy czas.

Po półgodzinie skupiania się ręce mam całe w ziemi, a wokół paznokci krew, bo parę razy kopałam za mocno. Ups. Jeszcze nie boli, ale zaczniesz. Wtedy czuję, jak za kostkę łapie mnie coś zimnego i mokrego, o czym bez zbędnej zwłoki informuję. Głośno.

– Zabierz to zabierz to zabierz to! Kayla! Kayla!!!
Kaylazabierzto!

– Dlaczego wrzesz...

– Zabierzto!

– To roślina!

Przestaję się miotać i patrzę. Spod nogawki moich dżinsów wygląda niewinnie zielone zielsko. Zdejmuję je, a Kayla wywraca oczami i wraca do poszukiwań.

– Tak? – Poprawiam dżinsy i wstaję. – Dobra, jak następnym razem zaczniesz się na ciebie krwiożercze zombi, ja też sobie usiądę i będę patrzeć. Z bezpiecznej odległości. Która prawdopodobnie sprawi, że nie będę słyszała twojego błagania o litość.

– To było zielsko.

– Ale zachowywało się jak zombi, a kogo mam za to winić? Matkę Naturę? – Patrzę w górę i krzyczę: – Dzięki, mamuśka! Może następnym razem wyluzujesz z zombiastymi mchami? Będę zobowiązana, dzięki, pa, poza tym jesteś super!

– Nie miałyśmy się przypadkiem zachowywać cicho? – pyta Kayla szeptem.

– Tak, ale co za różnica. Tu nic nie ma. Dałam dupy, dobra? Mój wielki plan zdobycia odpowiedzi na wszystkie pytania się nie udał i dlatego ryjemy w ziemi jak dwie neandertalki, które jeszcze nie słyszały o ogniu. Ani o rękawiczkach.

Kayla zamyśla się i patrzy przed siebie. Macham jej ręką przed nosem.

– Halo! Jeszcze nie odlatuj, głupku, musisz pracować, skończyć studia i połamać serca milionom chłopaków.

Ale ona łapie mnie za nadgarstek i powoli przenosi na mnie wzrok.

– Pamiętam.

– Co pamiętasz?

Patrzy znów ponad moim ramieniem.

– Raz w wakacje, w dziesiątej klasie... Jestem pewna, bo miałam pomarańczowe tankini, cudowne i megamodne, i...

– Kayla!

– No już. Więc wtedy w wakacje. Selena, Jen i ja przyszłyśmy na spacer w tę stronę, co było dziwne, bo jest tu mnóstwo kamieni i zawsze chodziłyśmy inną drogą, ale tamtego dnia przyszłyśmy tędy i dotarłyśmy tutaj, może kawałek dalej i Avery nam kazała... – Kayla zaczerpuje tchu. – Avery kazała nam się zatrzymać. Wpadła w jakąś panikę. Totalnie dziwną. Prawie histeryzowała, kazała nam zawrócić, a jak spytałyśmy dlaczego, powtarzała: „Bo tak mówię” i „To moja działka, idiotki, więc macie robić, co każę”.

Ściska mi się serce. Kiedy wyszedł temat Sophii, widziałam Avery w takiej histerii, że traciła swą wystudiowaną pozę porcelanowej lalki. Może jednak ten przyjazd nie był taki całkiem

bez sensu.

– I szłyście tędy? – dopytuję. Kayla kiwa głową.

– Jak pójdziemy dalej, znajdę to miejsce, w którym kazała nam zawrócić.

Idę za nią. Idzie szybciej niż zwykle, ale adrenalina tak mnie napędza, że bez trudu nadążam. Słońce wciąż stoi wysoko i oświetla wielkie, skute lodem jezioro Galonagah. Kayla wygląda na skraj lasu, gdzie zamiast ziemi i drzew pojawiają się kamienie biegnące nad brzeg. W kilku miejscach kręci głową i idzie dalej, aż w końcu, w końcu!, zatrzymuje się na dobre.

– To tutaj. Tu spanikowała.

Rozglądam się. Nie ma tu nic wyjątkowego, tylko drzewa. Ale skoro Avery tak się wystraszyła, kiedy tędy szły, to znaczy, że nie chciała, żeby zobaczyły coś, czego nie powinny. Coś, co tu ukryła. I co na pewno można wypatrzyć znad jeziora.

– Idziemy. A ty wystaw swoje szpiegowskie czujki i namierzaj.

Kayla przytakuje i rusza za mną. Idziemy powoli i bacznie się rozglądamy. Kayla dostrzega to pierwsza i łapie mnie za łokieć.

– Isis!

Patrzę we wskazane miejsce i serce mi staje. Zresztą, to za mało powiedziane. Wypada mi tyłkiem na ziemię. Nie ma go, a w jego miejscu pojawia się jakiś ciężki odlew.

Pod drzewem wbito w ziemię drewniany krzyż, a pod nim jest mała kupka kamieni.

– Czy to... – Kayla nie kończy, tylko przełyka ślinę. – Czy to jest...

– Grób – kończę za nią. – Tak.

Kayla tkwi w miejscu jak zamurowana, ale ja ostrożnie podchodzę i klękam. Krzyż jest strasznie prowizoryczny, ktoś po prostu związał sznurkiem dwa grube patyki, ale przetrwał próbę

czasu. Kora odpadła i zostało białe drewno. Na pewno byłoby je widać znad brzegu, gdyby ktoś przypadkiem stanął pod odpowiednim kątem. Ktokolwiek usypał ten grób, wiedział, co robi. Kamienie miały powstrzymać padlinożerców przed rozkopaniem go i zjedzeniem ciała.

Grób jest malutki.

Już wiem, co jest w środku. Próbuję nie wiedzieć, tak jak człowiek sobie wmawia, że nie wydarzył się wypadek albo nie umarło ulubione zwierzę. Zamyka się wtedy oczy i oddala na odległość wyciągniętej ręki, ale rzeczywistość jest silniejsza. Napiera i z brutalną siłą wciska mi prawdę prosto w duszę.

Muszę zobaczyć na własne oczy. Muszę wiedzieć. Skończyć to, co zaczęłam, co Avery, Jack, Wren i Sophia rozpoczęli lata temu. Zaczynam rozbierać grób.

– Isis, co ty robisz?! Przestań!

– Idź do samochodu i czekaj.

– Nie możesz po prostu... Nie wolno ci tego rozkopać...!

Patrzę na nią przez ramię.

– Tutaj jest pogrzebana prawda. Muszę ją poznać. Wracaj do auta i czekaj na mnie. Udawaj, że tego nie robię.

Zamyka oczy, ale nie odchodzi. Zdejmuję kamień po kamieniu, a potem jednym z nich, płaskim, zaczynam kopać. Jestem już dość głęboko, gdy słyszę szloch Kayli. Jej płacz odbija się echem i coś mi się zdaje, że nie są to pierwsze łzy, jakie widziały te drzewa. Bolą mnie ręce, palec, a krew ze zdartych skórek miesza się z ziemią, ale nie mogę się zatrzymać. Nie mogłabym, nawet gdybym chciała. Pół metra. Metr. I wtedy...

Spod ziemi wygląda skrawek różowego kocyka. Skapuje na niego moja krew. Kopię szybciej, ale ostrożniej, tylko wokół kształtu, który zaczyna się ujawniać. Pracuję aż można go

swobodnie wyjąć. Kładę pakuneczek na igłach i otwieram. Jest spięty agrafką, ale zardzewiała na tyle, że pęka i poły kocyka opadają na boki jak płatki zaschniętego kwiatu.

Czuję z lewej strony bliskość Kayli. Widocznie ciekawość wygrała z oporami. Jednak gdy tylko kocyk ujawnia zawartość, zaczyna płakać jeszcze bardziej i odskakuje, jakby coś ją oparzyło.

– Nie. Nie nie nie – szlocha. – Nie. Nie. Nie!

Spogląda na mnie maleńki, ledwie uformowany szkielet. Oczy miał tak małe, że nie mogły widzieć. I nigdy nie widziały. Tego jestem pewna. Na tym etapie to dziecko nie powinno się znaleźć po tej stronie brzucha. Obok leży bransoletka z koralikami w kształcie literek. Podnoszę ją drżącą dłonią.

„Tallulah”.

Wpatruję się w to imię tak długo, że zdaje mi się, jakby minęło wiele godzin. Albo dni. Tallulah.

Zdrobniale Tallie.

Jako mężczyzna do towarzystwa często bywam w barach. Ludzie przychodzą się tu napić, wyrwać się z codziennej rutyny. Klientki czują się bardziej komfortowo w zatłoczonym miejscu. I nie bez powodu. Czasem w ogóle nie chcą kontaktu fizycznego. Zdziwilibyście się, ile bogatych, samotnych kobiet płaci tylko za to, żeby ktoś ich wysłuchał. Tę część mojej pracy lubię najbardziej. Dobra, luźna rozmowa o pracy, ludziach i życiu syci mnie jak treściwy posiłek. Przypominam sobie wtedy, że ludzie wcale się tak bardzo ode mnie nie różnią, są równie wściekli na świat, tak samo zgorzkniali i smutni. Czasem klientki mają problemy, których skala przyćmiewa nawet mój.

Nie tylko ja na tym świecie cierpię.

I ta świadomość jest chorym, pokręconym ukojeniem.

Zaraz po przekroczeniu progu ogłusza mnie hałas dochodzący z piwnicy. Bull's Tail to nie jest miły bar. Ani nawet znośny. Wszędzie brud, siki i zaschnięte wymiociny. Ale o to mi właśnie chodziło.

W takich miejscach ludzie liczą na śmierć.

W sobotni wieczór jest zapchany po sufit. Mężczyźni puszą się i rżą ze śmiechu nad piwem i whisky, a w powietrzu unosi się duszący smród potu i zjełczałych orzeszków. Z wciśniętej w kąt skrzypiącej szafy grającej dochodzi rockowa muzyka, a nad barem wisi telewizor, ale na mecz prawie nikt nie patrzy. Barmanką jest starsza kobieta, kiedyś jasnowłosa piękność, dziś parodia samej siebie, przeczołgana latami znoszenia gwizdów i łapania za tyłek.

– Co podać? – Posyła mi trwający ułamek sekundy sztuczny uśmiech.

– Dwie kolejki najlepszej whisky. I dzin z tonikiem. Wszystko z lodem.

– Dowodzik?

Wyciągam dokument. W tym świecie fałszywe papiery to podstawa. Wiele osób pracujących w branży nie może pić alkoholu. Blanche odpowiednio mnie wyposażyła.

Barmanka zerka i kiwa głową. Czekam. Ja jeden nie mam piwnego brzucha i kobiety zaczynają to zauważać. I dobrze. To wszystko ułatwi.

Barmanka wraca i stawia przede mną drinki, a ja wypijam jeden za drugim, jak mogę najszybciej.

– No, no, no! – woła jakiś mężczyzna z lewej. – Jesteś stanowczo zbyt młody, żeby tak pić!

– A pan stanowczo za stary, żeby się wtrącać – odszczekuję.

Śmieje się, nie jest obrażony. Rozbawiłem go. Patrząc w jego stronę i okazuje się, że to ten, którego zauważyłem w tłumie widzów na walce bokseńskiej. Garnitur z tweedu osłania całkiem potężną sylwetkę. Nie jest gruby, wręcz przeciwnie. Ma szerokie ramiona i sporo mięśni. Siedzi prosto, ale nonszalancko. Palec wskazujący prawej ręki i prowadzące do niego ścięgna ma bardzo wyraziste, od razu widać, że strzela. Nie mam wątpliwości, że to żołnierz. Włosy przesiane siwizną i trochę przerzedzone, do tego blady wąsik. Spogląda ciemnymi, błyszczącymi oczami.

– Ludzie piją tak tylko z dwóch powodów: żeby o czymś pamiętać albo zapomnieć – rzuca.

– Widzę, że jest pan mistrzem frazesów – cedzę. Dżin z tonikiem parzy mnie w język. Kobiety się przemieszczają, a ja starannie wybieram cel. To musi być ktoś na tyle głupi, żeby się mnie wystraszyć. Czyli każdy pijany facet.

– Chodzi o dziewczynę, co? – dopytuje wojskowy. Nie zaszczycam go odpowiedzią. – Ładna jest?

Potrząsam lodem w szklance i dalej milczę.

– Czyli brzydka. Wręcz szkaradna.

– Nie – rzucam. – To nie ma znaczenia, ale nie.

– To nie ma znaczenia? – powtarza. Zaczepia mnie, żebym mówił, a mnie alkohol uderza do głowy i nie mam nic do stracenia.

– Chyba jest ładna. Tak myślę. Ale nie o to chodzi. Jest ładna, ale to nie wszystko.

– Oczywiście, że nie. W przeciwnym razie nie siedziałbyś tu i nie chlał.

Przesuwam szklankę w kierunku barmanki i spoglądam prosto na faceta. Uśmiecha się lekko, pije bourbona z lodem. Jego

milczenie działa mi na nerwy bardziej niż słowa, więc przełamuję ciszę.

– Mężczyźni lubią szufladkować kobiety. – Zaciskam usta. – Przypasowują je do wygodnych kategorii: seksowna, słodka, piękna... Robią to bez problemu, ale ja nigdy nie umiałem.

– Czyli ta konkretna dziewczyna – podsumowuje on – nie zalicza się do żadnej z tych kategorii?

– Zalicza się do wszystkich – odpowiadam za szybko jak na mój gust. – I do wielu innych. A jednocześnie do żadnej. Jest sobą, ni mniej, ni więcej. Ale to gadanie nie ma sensu.

– Rzuciła cię?

– Kazała mi się trzymać od siebie z daleka.

– Więc wylądowałeś w cuchnącym barze, żeby wdać się z kimś w bójkę i trochę wyżyć, co? – Mrużę oczy. On się nadal uśmiecha. – Długo już żyję i umiem rozpoznać kogoś, kto szuka okazji do bitki. Poznają też takich, co wiedzą, jak się walczy. – Nagle w jego ciemnych oczach pojawia się nowy, dziwy wyraz. – A przede wszystkim tych, co w głębi duszy, choć się do tego nie przyznają, lubią się bić.

Wpatruję się w blat baru, w wypolerowane drewno odbijające moją twarz. Mężczyzna przestaje się uśmiechać i zanim znów się odezwie, upija łyk bourbona.

– Czasem po chłopakach to widać. Większość z nas, wojskowych, nie lubi tego, co robimy, wierz albo nie. Idziemy do wojska za kolegami, żeby należeć do społeczności czy uporządkować życie. Nie dla krwi. A jednak co jakiś czas trafia się taki okaz, co to lubi krew. Jedni lepiej to ukrywają, inni gorzej, ale wcześniej czy później zawsze to wylezie.

– Co pan chce powiedzieć? – warczę.

– Chcę powiedzieć, synu, że jesteś potworem – odpowiada bez

wahania. – I nienawidzisz się za to.

Nie panuję nad sobą i moja pięść zderza się z jego szczęką. Lód się rozpląnął. Opanowanie i spokój, którymi się ratowałem, wyparowują w mgnieniu oka, a on reaguje, wypycha mnie na zewnątrz, barmanka coś krzyczy, inni pijani idioci gwizdzą, wiwatują i obstawiają wynik, idąc za nami, gdy się wytaczamy na zewnątrz. Wpadam w kałużę, uchylając się przed prawym sierpowym. To tak potężny cios, że przeszywa powietrze z głuchym łupnięciem. On jest wielki. Wyższy i potężniejszy niż Leo, a ja nie mam kija. Wyciąga po mnie ręce, pcham mu pod nogi kubek na śmieci, ale on go odpycha z taką siłą, że wpada na pobliski mur niczym puszka po napoju.

Po raz pierwszy, odkąd zobaczyłem Isis w kałuży krwi, czuję strach. Prawdziwy, realny, zimny strach, który sięga płuc i wywleka mi je przez gardło.

Zaciskam pięści i tańczę, by uniknąć kolejnego sierpowego, ale facet unosi kolano i kopie mnie w pierś tak, że nie mogę złapać tchu. Widzę tylko rozbłyśki czerwieni i bieli, nic więcej, wszystko pochłania ból.

Serce mi wali tak głośno, że prawie nie słyszę wiwatów. Ktoś próbuje nas rozdzielić, ale facet go odpycha i przyskakuje do mnie. Nagle tracę kontakt z podłożem, bo podnosi mnie za fraki i trzyma nad ziemią. Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy. Jego wzrok jest fascynująco pozbawiony emocji. Ciska mną gdzieś na bok. Gdy plecami walę w ceglany mur, w oczach widzę gwiazdy. Kości grzechocą, aż niedobrze mi się robi od tego dźwięku. Próbuję się pozbiierać, ale nogi mam jak z galarety.

Nachyla się do mnie.

– Nikt nie powstrzyma tego potwora w tobie. Ani rodzice, ani dziewczyna. Ani uczelnia, ani więzienie. Tylko ty możesz to

zrobić.

Krwawą śliną spluwam mu na nogi.

– Co pan o mnie wie?

– Blanche wiele mi powiedziała.

– Mogłem się domyślić, że jest pan jej przydupasem.

– Mylisz się. Nie jestem i nie ufam jej za grosz.

Obaj jej nie lubimy, to wystarczy, żeby ogień przygasł. On się rozluźnia, wola walki zniknęła. Wyciąga do mnie rękę. Szopka się skończyła, goście wracają do baru. Patrzę na jego dłoń, ale gramolę się sam. Każda kość w moim ciele błaga, żebym przestał się ruszać, wstrzyknął morfinę, owinął się bandażem albo zrobił cokolwiek, byle przestało boleć. Facet strzepuje brud z garnituru i się uśmiecha.

– Słyszałem, co zrobiłeś dla tych dwóch dziewczyn, dla tej Blake.

– I co?

– Zmasakrowałeś dorosłego skurwysyna.

– To nic takiego.

– Właściwie masz rację. Pobicie kogoś nie jest niczym wyjątkowym. Ale pobicie kogoś trzy razy większego od siebie już tak. Jesteś dziki, bezwzględny. Czujesz żądzę krwi. I zmarnujesz to wszystko w cywilnym życiu. Co więcej, jeśli nad tym nie zapanujesz, kiedyś sam przez to ucierpisz. Dobrze to wiesz. Zawsze wiedziałeś.

Dupek po części plecie bzdury, ale jest w tym też sporo bolesnej prawdy. Oczywiście, że wiedziałem. Sięga do kieszeni i podaje mi wizytówkę.

– Jak będziesz gotowy użyć tego konstruktywnie, zamiast destrukcyjnie, przyjdź do mnie.

Znika, zanim się zebrałem, żeby coś odszczeknąć, i jestem już

sam w tym zaułku, z obolałym ciałem i ogłupiałą głową. To najprostsza wizytówka, jaką w życiu widziałem. Prostsza nawet niż te z Rose Club. Wiem już, że to jakiś szemrany biznes.

Gregory Callan
VORTEX Enterprises

Udaje mi się wreszcie zebrać w sobie, żeby dojść do samochodu i paść na fotel. Z ulgą witam ciepło i ciszę. Za dużo wypilem. Za bardzo oberwałem. Szukałem okazji do bójki, a teraz wszystko mnie boli, jestem pijany, w ustach czuję smak krwi i marzę o cofnięciu się do tamtej nocy u Avery, znalezieniu się w idiotycznym pokoju z morskim wystrojem, w łóżku z Dziewczyną Batmana, z Isis, z Isis, która wyznała mi cicho, niepewnie, jękając się, że mnie lubi, a wtedy wszystko stało się prostsze. Ja i ona. Ja i ona w pokoju, sami.

Dzwoni mój telefon. Odbieram.

– Halo?

– Jack! – woła radośnie Sophia. – Doktor Fenwall mówi, że wpłynęła ostatnia rata za operację. Dziękuję! Dziękuję ci bardzo!

Przepędzam z głowy strzępy wspomnień i uśmiecham się.

– Nie dziękuj. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

– Tak ciężko pracujesz. Jestem ci bardzo wdzięczna. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że możesz wybrać miejsce, gdzie pójdziemy, jak następnym razem wyjdę na przepustkę?

– Tak.

– No więc doktor mówi, że w przyszłym tygodniu może mnie wypuścić na kilka dni. Wybieraj.

– Poszukam czegoś fajnego.

– Super! Ale Avery chciałyby dla mnie urządzać przyjęcie niespodziankę. Z okazji urodzin.

– Które masz w marcu.

– Wiem! Ale skoro mam przepustkę, to może to zrobić tylko teraz.

– Myślałem, że nienawidzimy Avery.

– Nienawidzimy! To znaczy: nie lubimy jej, ale naprawdę się stara. Pomyślałam, że to niesprawiedliwe. A poza tym, jeśli mi się nie uda...

– Nie mów tak! – ucinam.

– Jeśli mi się nie uda – powtarza stanowczo. – Nie chcę, żeby między nami było źle, kiedy... No wiesz.

– Nie wiem.

– Po prostu proszę cię. Chciałabym pójść.

Wzdycham.

– Dobrze. Porozmawiam z nią.

– Świetnie. Dziękuję. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe.

– Nie ma sprawy.

– I pozdrów ode mnie mamę. A zresztą sama mogę ją pozdrwić. Chociaż to będzie dziwne, jak nagle zaatakuję ją na Facebooku.

– Spoko – zapewniam. – Ona cię uwielbia. Możesz do niej zawsze napisać.

– No dobra. To idę spać.

– Dobrze. Dobranoc.

– Dobranoc.

Gdy się rozłączamy, w głowie dzwonią mi słowa Isis.

„Ona umiera”.

„Dlaczego jej nie powiedziałaś, co robisz?”

Opieram głowę o kierownicę i udaję, że jestem gdzie indziej. W jakimś ciepłym miejscu. Jak ten idiotyczny morski pokoik.

Rozdział 9

3 lata, 27 tygodni, 2 dni

Po rozprawie mama poczuła się lepiej.

Chociaż nie wiem, czy „lepiej” to odpowiednie słowo. Tak długo musiała być dla mnie silna, że teraz, gdy wróciłam, znów na mnie zawisła. Nie mam nic przeciwko, to u nas normalne, choć jednak czasem czuję się jak służąca, nie jak córka. Ale potem od razu czuję się winna, że tak myślę. Robię jej wtedy kolację, przynoszę herbatę i zapewniam, że wszystko będzie dobrze. Kochać to być przy kimś. Jeśli czegoś się nauczyłam od cici Beth, to właśnie tego. Rodzina jest przy tobie, gdy wszyscy inni odchodzą. Dlatego mnie wzięła, kiedy mama nie dawała sobie rady i z rozwodem, i ze mną.

Od czasu rozprawy mama chodzi na dwa razy więcej wizyt do psychiatry i wydaje się, że pomagają. Czasem przy okazji widuję Avery. Warczy na mnie przelotnie, zanim wypadnie z budynku. Ostatnio zrobiła się bardziej sucza, a to oznacza, że jest szczęśliwsza, więc pewnie Sophia znów z nią rozmawia. Avery jest jak jej jo-jo. Przyciąga ją i odrzuca, bardzo ją to bawi. Nie rozumiem tego, ale widzę w zwolnionym tempie, jakbym obserwowała samochód albo pociąg. Avery desperacko chce odpokutować, a Sophia udaje, że to możliwe, ale w ostatniej chwili wyciąga jej spod nóg dywanik i wszystkie nadzieje Avery

roztrzaskują się w pył. Spieprzenie jakiejś sprawy jest potworne. Ale jeszcze gorsza jest niemoc naprawienia tego. A Avery zmaga się z tym uczuciem od dawna. Nic dziwnego, że ma depresję.

Żal mi jej. Czuję litość. Nie jest to zdrowe uczucie, ale po wszystkim, co Avery zrobiła mnie, Kayli, Jackowi, Sophii i Wrenowi, nie mogę się zmusić do niczego lepszego. To paskudne z mojej strony i w ogóle nie w stylu Isis Blake. Dawna Isis bardziej by się starała zaprzyjaźnić z Avery, mimo wszystko. Dawna Isis parłaby naprzód z uśmiechem i przyjmowała ciosy, bo wie, jak się żyje, gdy człowiek został złamany.

Po odnalezieniu Tallie wszystkie elementy układanki złożyły się w całość. Avery jest przerażona, że ktoś mógłby znaleźć grób. Sophia tęskni za Tallie i gdy wpada w jeden ze swoich szałów, chce ją znów zobaczyć. Wren mówił, że to się stało nad jeziorem Galonagah. Grób też tam jest. Tallie była taka malutka. Nie mogła być siostrą Sophii, bo jej rodzice już wtedy nie żyli.

Logika podpowiada, że była dzieckiem Sophii.

Sophia chodziła wtedy do ósmej klasy. Trzynaście, czternaście lat to mniej więcej ten wiek, gdy wszyscy zaczynają uprawiać seks, z lepszym lub gorszym skutkiem, głównie na złość rodzicom. Sprawdziłam: szkielet płodu zaczyna się wykształcać w drugim trymestrze. Kostnienie jest szybkim procesem. I trwa od drugiego do piątego miesiąca ciąży. Szkielet, który widziałam, był maleńki, ale w pełni wykształcony i kompletny. Sophia musiała poronić mniej więcej w czwartym miesiącu.

Poronienie. To słowo odbija mi się w głowie pustym echem. Kiedy ja cierpiałam katusze z powodu Bezimiennego, Sophia była w ciąży i straciła dziecko. Doświadczyła olbrzymiej straty i o wiele większego bólu niż ja. Zasługuje na szczęście. Na życie. Ale świat jej nie pozwoli.

Coś wije mi się w myślach i podpytuje szeptem: z kim zaszła w ciążę?

„A ja uprawiałam seks. Z Jackiem”.

Wyrzucam z głowy wspomnienie tamtej rozmowy na dachu i idę naprzód. W szpitalu panuje cisza. Jak w grobie. Tyle że ludzie, którzy tu są, ze wszystkich sił starają się nie trafić do grobu. Bardzo się starają. Oddaliby za to ze cztery dawki morfiny i dwie tace gównianego szpitalnego jedzenia. Zawsze, jak tu wracam, dopada mnie klaustrofobia, smród odkażaczy, pacjenci w szlafrokach snujący się jak duchy z sali do sali, pielęgniarki i lekarze gapiący się na mnie i zastanawiający się, kim jestem w ich miniekosystemie. Naomi dzisiaj nie pracuje, z czego bardzo się cieszę. Nie chcę, żeby zrobiło się paskudniej, niż musi. Dla dobra Sophii.

Strażnik idzie siku, więc na moment zaglądam na oddział dziecięcy. Mira i James machają jak szaleni, a ja mrugam i stawiam na podłodze plastikową torbę z prezentami. Podbiegają w piżamkach z rysunkami postaci z kreskówek i uśmiechają się szeroko.

– Mira mówiła, że już nigdy nie przyjdiesz!

– Nieprawda! – Mira wywała do Jamesa język.

Śmieję się i mierzwię im włosy.

– Nie mogę długo zostać, ale w tym tygodniu przyjdę w ciągu dnia, dobra? A teraz otwierajcie prezenty. Tylko nie mówcie Naomi, skąd je macie. Jakby pytała, to wersja oficjalna brzmi, że od... Hm. Od Jezusa.

Skwapliwie kiwają głowami, a Mira ściska mnie za szyję tak mocno, że chyba chce się ze mną zjednoczyć na poziomie komórkowym. Udaje mi się odczepić od siebie jej palce i w ostatniej chwili wymknąć, bo strażnik już się pojawia za

zakretem. Słyszę jeszcze odgłosy rozdierania papieru i radosne piski. Ale wcale nie robi mi się z tego powodu lżej.

Staję przed drzwiami Sophii. W środku jest ciemno, a pod oknem jak zwykle stoi rząd wazonów. Pod kocem widzę jej stopy.

Stoję tak chyba parę lat. W końcu biorę głęboki wdech i wchodzę.

Miałam nadzieję, że zastanę ją śpiącą, ale nie. Jest całkiem przytomna, a jej niebieskie oczy spoglądają na mnie znad okładki jakiegoś romansu. Na okładce jest tym razem rycerz i cycata dziewczka wyglądająca na bardzo zagubioną.

– Siema! – Uśmiecham się.

– Zdaje się, że mówiłam, żebyś mnie zostawiła w spokoju – odpowiada poważnie.

– Ach, no tak, ale nigdy nie byłam dobra w realizowaniu poleceń. I spełnianiu życzeń. Ani w ogóle w niczym. No więc, oto jestem. Żeby... coś zrobić.

Rzuca mi beznamiętne spojrzenie.

– Jesteś irytująca.

– Ach, moja droga, to żadna nowość! – Siadam na krawędzi łóżka. – Przeciwnie, wiadomo było o tym od dawna. Już starożytni Egipcjanie przewidzieli moje przybycie. Choć tak naprawdę głównie skupiali się na tym, jak to moja imienniczka, Izyda, bogini płodności, bzyknęła się ze swoim bratem. Wtedy kazirodztwo było modne. Niedozywanie trzydziestki też.

Sophia się nie uśmiecha, patrzy stanowczo i twardo, a oczy ma jak dwa niebiesko-czarne krzemienie.

Nie ma na co czekać. Wątpię przyjaźń, jaka nas kiedyś połączyła, została nadszarpnięta naszymi problemami. Było łatwiej, kiedy nic o sobie nie wiedziałyśmy. Teraz wszystko się skomplikowało. Ale to nie znaczy, że nie warto walczyć. Obecność Sophii zawsze

była spokojna i kojąca, ale ciężka, a teraz uginam się pod nią bardziej niż dotąd.

– Poznałam Tallie – oznajmiam. Zapada półsekundowe milczenie, a potem Sophia powoli odkłada książkę. Nie mogę znieść tej ciszy. – Znalazłam ją. I przepraszam. Że węszyłam. Że ją znalazłam. Na pewno nie chcesz, żeby zbyt wiele osób ją znało. Przepraszam. I przykro mi, że to cię w ogóle spotkało...

– Co mnie spotkało? – wtrąca jadowicie Sophia. – Proszę cię bardzo, powiedz mi dokładnie, co mnie spotkało, skoro i tak już tyle wiesz.

– Czekaj, nie o to mi chodziło...

– Więc za co przepraszasz? Myślisz, że to coś zmieni? Że choć trochę pomoże? Słowa nie pomagają. Nigdy nie pomagały. A jeśli wychodzą z twoich ust, szansa jest jeszcze mniejsza. – Zaciskam wargi, a Sophia patrzy wściekle. – Nie potrzebuję twojej litości. Bo po to przyszłaś, prawda? A może chcesz mnie wpędzić w poczucie winy, skoro już wiesz to, co wiesz?

– Nie, nie mogłabym...

– Ależ oczywiście, że byś mogła. Bo myślisz jak Jack. A on to właśnie by zrobił.

Wzbiera we mnie wściekłość i ściska mnie za gardło.

– Nie. Jestem. Taka. Jak. Jack!

Macham rękami i niechcący strącam wazon. Rozbija się, a opalizujące odłamki rozsypują się po podłodze. Sophia uśmiecha się gorzko.

– Najwyższy czas, żebyś się na mnie wściekła! Wiedziałam, że nie jesteś idealno-maniakalną dziewczynką elfem, którą zgrywasz.

– Przestań mnie obrażać! Czemu to robisz? Dlaczego jesteś dla mnie taka okropna?

Przestaje się uśmiechać, a jej ciężkie powieki opadają.

– Bo masz wszystko. Zdrowie. Rodzinę. Przyjaciół. Ale chociaż to masz, i tak chciałaś tej jedynej rzeczy, która mi pozostała. Zazdrościłaś mi tego. Próbowалаś zabrać.

– Nieprawda...

– Prawda. Naciskałaś. Poznałaś go i robiłaś wszystko, żeby zwrócił na ciebie uwagę, a jak już to zrobił i dowiedziałaś się o mnie, cały czas brnęłaś. Tkwiłaś w jego życiu. Pragnęłaś go. Nadal pragniesz. I rzygać mi się od tego chce...

Piecze mnie wewnątrz dłoni. Głowa Sophii odskakuje na bok, a oczy wyrażają totalny szok, ale odwraca się z powrotem do mnie. Ma czerwony policzek.

– Nigdy nie lubiłam Jacka i nigdy nie polubię – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Jest twój. Zawsze był twój. Więc przestań. Nie zachowuj się jak jędra. Odpuść sobie tę bezsensowną nienawiść. Chcę być twoją przyjaciółką. Pozwól mi na to.

Zamiera i wpatruje się we mnie, a ja widzę, jak jej oczy powoli napęniają się łzami.

– Nie mogę – szepcze. – Po prostu nie mogę.

Zakrywa oczy dłońmi i zaczyna szlochać. Nie dotykam jej. Chciałabym, chcę ją przytulić, nazwać ją Sofką i trzymać za rękę, jak ona mnie trzymała, gdy płakałam z powodu mamy, Leo i tego, co się stało. Ale ona mnie nienawidzi. Myliłam się. Może i Jack jest złym księciem i może zły książę ją krzywdzi, ale smok rani jeszcze dotkliwiej.

Przez to, że mówię o Tallie, że ją znalazłam, zieję ogniem na wioskę i spopielałam mieszkańców. Sophię. Jacka. Wrena i Avery też. To nie mój dramat, ale wpycham się i tak, bo co? Myślę, że mogę pomóc? Wszystko naprawić? Nic na świecie nie sprawi, że tamta noc w lesie się nie wydarzy, nieważne, jak głęboko się

dokopię i co zrobię, żeby ich zmusić do mówienia. Jestem idiotką, skoro w ogóle się łądziłam, że mogę coś zmienić.

A wtedy, tak po prostu, Sophia bierze mnie za rękę i przyciska sobie do serca.

– Chcę odzyskać Tallie – płacze, a jej anielska twarz jest napuchnięta. – Proszę. Oddaj mi ją.

Ściskam ją za rękę i kiwam głową.

– Dobrze.

W dwa tygodnie po tym, jak znalazłyśmy ciało, zdołałyśmy w końcu o tym pogadać.

W szkole Kayla nie chciała rozmawiać. Próbowałam poruszyć temat w czasie przerwy śniadaniowej, ale odmawiała. Aż do teraz. Widocznie musiała się jakoś przełamać, uporać ze swoim szokiem i dopiero stawić czoło rzeczywistości.

Nazywa je Dzieckiem znad Jeziora. Nie widziała imienia na bransoletce, a ja jej nie przekazałam. Głównie dlatego, że już i tak przybiera odcień tysiącletniego ryżu, gdy poruszam temat. Gdyby jeszcze do tego dziecko miało imię, niewykluczone, że żałoba pchnęłaby ją do samozapłonu. W każdym razie tak myślę, że to to. Żałoba. Może po prostu przez to, że spędziła całe życie na amerykańskich przedmieściach, w jej rzeczywistości nie mieszczą się takie rzeczy jak niechciane ciąży i szkielety. Powiedziałam jej tylko, że to nie dziecko Avery, bo tym się martwiła i dlatego tak płakała w lesie. Wie, że dziecko było Sophii. Ale to dziwi ją jeszcze bardziej.

– Skąd wiesz, że Sophia miała...

– Po prostu wiem. Pytała Wrena, czemu nie był ostatnio na grobie. Wszyscy muszą o nim wiedzieć. Boże, nic dziwnego, że się tak pozamykali w sobie.

– Czekaj. Ale co się w końcu stało tamtej nocy? – Kayla zajada ogórka, a każdy chłopak w promieniu piętnastu metrów wpatruje się w nią jak zaczarowany. – Wtedy w gimnazjum? Czy ona...? Wtedy straciła dziecko? Czy wcześniej?

– Avery mówiła, że wynajęła jakichś facetów, żeby zrobili jej krzywdę, a Wren mówił, że Jack ich przegonił. Może straciła dziecko w wyniku szoku? A może któryś z nich ją popchnął, upadła i poroniła tam, na miejscu? To mogłoby ich zdruzgotać na tyle, że milczą do dzisiaj.

A jeśli musieli pochować nie jedno, a dwa ciała? Zdjęcie załączone do maila mam wciąż pod powiekami, jak rozżarzoną plamę, którą się widzi, gdy człowiek się za długo wgapia w słońce. Jest jednak jeszcze jeden aspekt, nawet wyraźniej przebijający się na pierwszy plan. Pierwsza werbalizuje to Kayla.

– Jeśli Sophia była wtedy z Jackiem... – Ściska mnie w żołądku. – To znaczy, że...

– Jak na godzinę jedenastą obie wyglądacie bardzo poważnie. – Nieoczekiwanie Wren siada obok Kayli i uśmiecha się. Ona odchrząkuje i przygląda włosy.

– Ach. Tak! Rozmawiałyśmy o... O balu na koniec szkoły. Po balu gimnazjalnym ten wydaje się jakiś niepotrzebny.

– Ale to ostatni raz, kiedy pełniłyśmy szkolne funkcje.

– I kupujemy używane kiecki – dodaje. – I ustawiamy się z zapłutymi kolesiami, którzy nie potrafią odróżnić pochwy od odbytu, DJ gra piosenkę o imprezowaniu do wschodu słońca, a wszyscy popijają tanią wódkę z przemyconych piersiówek. – Wren i Kayla wpatrują się we mnie w osłupieniu. – No co? – pytam niewinnie.

– Mówisz, jakbyś zaliczyła niejedną szkolną potańcówkę.

– Zaliczyłam dokładnie zero szkolnych potańcówek! – Z dumą

wypinam pierś i przypadkiem strącam ze stołu butelkę z keczupem, który rozpryskuje się w malowniczą czerwoną kałużę. Dociera aż do nosków butów należących do Jacka Huntera. Kayla i Wren zamierają, gapią się na niego i czekają, aż coś powie. Ja patrzę przed siebie, na nadzwyczajną srebrną trwałą pani pracującej w stołówce.

– Radziłbym, żebyś zaczęła sprawować większą kontrolę nad swoimi odruchami – cedzi Jack. – Albo nad ich brakiem.

Niby wszystko normalnie. Umysł podpowiada mi, że to normalny bieg rzeczy między Jackiem a mną. Wspomnienia są niedaleko, po prostu trochę zamglone, ale wszystkie sugerują, że powinnam coś odpysknąć, na przykład zauważyć, że jego włosy wyglądają jak kaczy kuper, ale nie mogę. Nic nie mogę powiedzieć. Jest przerażający. Mam w pamięci zdjęcie z maila, a kości Tallie wciąż przed oczami i ani jednego, ani drugiego nie mogę się pozbyć. Należą do niego. To efekty jego istnienia i jako takie mnie przerażają, mnie, dziewczynę, która nie boi się niczego z wyjątkiem stonóg. I zielonego Teletubisia. I pierwszego rzędu w kolejce Space Mountain w Disneylandzie.

Patrzę więc przed siebie i nic nie mówię. Jack czeka, Kayla i Wren czekają razem z nim, świat ani drgnie. Twarz Jacka prawie nic nie wyraża, ale cień zadowolonego z siebie uśmiešku szybko znika, gdy przekracza keczupową kałużę i wychodzi. Wren łapie naręcze serwetek i wyciera podłogę.

– Co to miało być? – pyta.

– Jak to?

– Nic nie powiedziałaś. Ty zawsze coś mówisz.

– Ignorowanie jest najlepszym sposobem na pozbycie się go. – Wzruszam ramionami. – Chyba mam dość. Już mi się znudziło.

Kayla mruży oczy.

– Wielkie sranie w wielkie banie, gdyby mnie ktoś pytał.

– Wolalabyś, żebym z nim wojowała, jak kiedyś? Przecież to się skończyło łzami. I rozbitą czaszką. Tym razem chętnie uniknę bisu.

Kayla i Wren spoglądają na siebie, ale nie naciskają. I jestem im za to wdzięczna. Ostatnie, czego bym chciała, to żeby wiedzieli to, co ja wiem. A wiem dużo. I boli mnie od tego głowa. A może i serce. Gdybym je miała.

– Widziałaś jego twarz? – pyta Kayla, gdy idziemy na zajęcia.

– Czyją?

– Jacka. Ma spuchniętą wargę i strupy. A na kości policzkowej wielkiego siniaka.

– Pewnie zaatakował lustro, bo zobaczył, że wygląda lepiej od niego.

– Isis, ja mówię poważnie!

– Ja też.

– Słuchaj, wiem, że masz w jego sprawie amnezję i nie pamiętasz, co do niego czujesz...

– Czuć? W jakim języku jest to obce słowo?

– ...ale nie musisz się zachowywać jak świnia. On też jest człowiekiem. Nie możesz pomiatać ludźmi, bo tak ci akurat pasuje.

Jej słowa boją, głównie dlatego, że prawie to samo powiedział Jack. Kayla jest wściekła i nie chce ze mną gadać, więc resztę przerwy spędzam na gryzmoleniu wybuchających przedmiotów.

Razem z Wrenem pracujemy nad pamiątkowym albumem dla absolwentów, więc mam doskonałą okazję, żeby mu wszystko pokazać. Drukuję zdjęcie z tego dziwnego maila i kładę na jego klawiaturze. Przez moment nic nie mówi. Potem pyta:

– Co to?

– A co ci przypomina? – odpowiadam rozkosznie.

– Skąd masz?

– Ktoś mi przysłał. Mailem. To urocza rączka Jacka, prawda? Trzymająca zakrwawiony kij wiszący nad czymś, co bardzo, ale to bardzo przypomina trupa. – Dłoń, którą Wren trzyma na myszce, zaczyna drżeć. – A co o wiele, wieweele ciekawsze – cisnę – zdjęcie jest fatalnej jakości. Nadaje się do kosza na śmieci. Albo do mojej kosmetyczki. Widzisz, jak się rozmywają piksele? Jak falują? Zupełnie jakby ktoś zrobił skрина z filmu...

– Z jakiego adresu to przyszło? – przerywa mi Wren. – Kto ci to przysłał?

– Kombinacja przypadkowo wciśniętych klawiszy. ikwjhk@yahoo.com. Nie rozpoznamy tego kogoś po adresie. Nie da się tego nawet wypowiedzieć. Bo jak? Ikwyjhyk? – Słyszę, że Wren wklepuje coś do komputera, i wzdycham. – Sprawdzalam, uwierz. Google nic nie mówi. Przekopałam pięćdziesiąt dwie strony i dane archiwalne. ikwyjhyk istnieje jedynie w tym mailu.

– Posłuchaj. – Wren wpatruje się we mnie spomiędzy naszych komputerów z bardzo poważną miną. – Ktokolwiek ci to przysłał, jest niebezpieczny. Zablokuj tego nadawcę i nie odpisuj.

– Czemu? – Śmieję się. – A co mi może takiego straszego pokazać? Zdjęcie swojego fiuta?

– To kadr z filmu, który nakręciłem tamtego wieczoru – mruczy Wren. – Dałem go śledczemu z FBI, który nas przesłuchiwał.

– Czekaj. Co? Federalni was przesłuchiwali?

Wren wciąga powietrze.

– Pojawiły się pewne... okoliczności. Tylko my przebywaliśmy w domku nad jeziorem, więc nas przesłuchali.

– W jakiej sprawie?

Nic nie mówi, więc wzdygam.

– Dobrze, czyli twierdzisz, że to zdjęcie przysłali mi federalni?

– Facet, który nas przesłuchiwał, przekazał film do ich archiwum. Pięć lat temu zmarł na atak serca.

– Skąd wiesz?

– Mam oko na wszystko. – Poprawia okulary. – Więc to nie on. Ten ktoś albo pracuje w FBI, albo włamał się do ich sieci. Jeśli dla nich pracuje, to kiepsko. Jeśli włamał się do sieci tak dobrze zabezpieczonej, to fatalnie.

– Daj spokój. Nikt się nie włamuje do FBI, chyba że w filmach.

– Zaufaj mi. Przeskanuj komputer. Sformatuj dysk. Nie ryzykuj. I nie zadawaj więcej pytań.

– I już? Mam zapomnieć, że kiedykolwiek to widziałam? Przykro mi, ale mam za dobrą pamięć i więcej szacunku do siebie. – Wren zaciska zęby, a ja się do niego nachylam. – Widziałam Tallie. Poznałam ją. Wiem, gdzie jest, i wiem, kim jest. Wiem też, co się stało tamtej nocy. Sophia ją straciła. Widzieliście to. Razem ją pochowaliście. Może inne ciała też, tego nie wiem. Ale nie spocznę, aż się dowiem.

Wren zaciska pięść i zrywa się z krzesła.

– W takim razie nie mam wyjścia.

Szepcze coś do pani Greene i wychodzi. Ruszam za nim, ale pani Greene unieruchamia mnie piskliwym głosem.

– A dokąd to idziemy?

– Na biegun południowy? – Marszczy czoło. – Do Nikaragui? – Marszczy się jeszcze bardziej. – Dobrze, już dobrze, do krainy sików.

– Przed chwilą wyszła Emily. Musisz poczekać.

– A jak się zsiłam w majtki? Czy nauczycielska pensja wystarczy na pokrycie kosztów wymiany uczniowskiej bielizny?

Noszę bardzo drogą bieliznę.

To ściema. Mam na sobie niebieskie majtki kupione trzy lata temu. Obie wiemy, że nie jestem Taką Dziewczyną.

– Na miejsce!

Krzyżuję ramiona na piersi i z głośnym plaśnięciem opadam na krzesło.

Wren przychodzi do mnie po raz pierwszy od prawie pięciu lat. Zagląda do biblioteki, namierza mój stolik i podchodzi, patrząc mi przy tym w oczy.

Od razu wiem, że stało się coś bardzo złego. To tchórz. Niepewny siebie. Do tego dżwiga lata poczucia winy. Nigdy nie zbliżyłby się z taką śmiałością, gdyby nie działo się coś naprawdę znaczącego.

Przesuwa po blacie kartkę papieru. To wydruk zdjęcia, na którym widzę znajomy zakrwawiony kij baseballowy i moją rękę, a w tle ciemny kształt, który znam aż za dobrze. Widuję go co noc, kiedy mój mózg postanawia uraczyć mnie koszmarem.

– Dała mi to Isis – oznajmia cicho, ale stanowczo. Na dźwięk jej imienia moje płuca skuwa lód, ale panuję nad sobą i tylko marszczę czoło.

– No i?

– Wiesz, co to jest – syczy. – Ktoś jej to przysłał mailem.

– Z jakiego adresu? Powiedziała?

– ikwjhk@yahoo.com Wszystko małymi literami.

Łatwe do zapamiętania. Opieram się wygodnie i staram się sprawiać wrażenie, jakby mnie to nie ruszało.

– Brzmi jak spammerskie konto.

Wren się schyla i myślę, że od pięciu lat nie znajdowaliśmy się tak blisko siebie. Za szklami okularów widzę pochmurne zielone

oczy.

– Wiem, że wiesz o komputerach więcej niż ja – zaczyna.

– To prawda.

– I wiem... Boże, cała szkoła wie, że lubisz Isis.

Zmuszam się do śmiechu, w którym niechcący pojawia się gorycz.

– Serio? Bardzo ciekawe. Uwielbiam świeże plotki.

– To nie jest plotka i z całą pewnością nie jest świeża. To jest stara przeklęta prawda i obaj o tym wiemy.

Oddycha ciężko i robi się czerwony. Jest sfrustrowany i poruszony, ale nie zły. Wren nigdy się tak naprawdę nie wścieka. Częstouję go moim najlepszym spojrzeniem spode łba.

– Widziałeś ją w stołówce? – pytam. – Ja dla niej nie istnieję. Ma mnie gdzieś. Czemu miałbym się przejmować, kto do niej pisze?

– Dowie się prawdy o tobie.

– Najwyższy czas, żeby dowiedział się ktoś poza nami.

– Ta osoba – jąka się i dziabie palcem w zdjęcie – jest niebezpieczna. I nawiązała kontakt z Isis. A jeśli zrobi jej krzywdę?

Zapada długa cisza. W końcu parskam i obrzucam go spokojnym spojrzeniem, od stóp do głów.

– I ja mam się tym martwić?

Odwraca się, jakbym go spoliczkował. Zgrzyta zębami i bierze z ławki kartkę.

– Myślałem, że się przejmiesz, ale widocznie się myliłem.

– Tak. A teraz odwróć się i wracaj, skąd przyszedłeś, będę bardzo zobowiązany.

– Mnie na niej zależy! – wykrzykuje nieoczekiwanie. W bibliotece zapada cisza. Bibliotekarka podnosi wzrok, ale Wren nie zwraca na nic uwagi. Nażelowane włosy ma nastroszone,

okulary mu się przekrzywiają. – Zależy mi na Isis. Bo zrobiła dla mnie tyle, co nikt inny, i przysięgam ci, że jeśli znowu coś jej się stanie, to...

– To co? – Śmieję się. – Walniesz mnie linijką? Naślesz na mnie sługusów z samorządu? Albo nie, wiem! Wykorzystasz znajomości i nie będę już w stołówce dostawał podwójnej porcji budyniu!

Wtedy rusza. Wren, tchórz trzymający kamerę i mój świetnie wychowany były przyjaciel, atakuje.

Nie zdążam nawet drgnąć, kiedy łapie mnie za koszulkę i pcha na regał z książkami. Spanikowana bibliotekarka wzywa ochronę, dziewczyny piszczą, a chłopcy zbierają się wokół nas i zachęcają do walki.

– No dawaj. – Uśmiecham się krzywo. – Walnij mnie. No już.

Oczy Wrena płoną i napina mięśnie nieoczekiwanie pokaźne jak na kogoś, kto nie uprawia żadnego sportu. Patrząc na jego pięść, ale w tym samym momencie opuszcza rękę.

– Nie. Bo na to liczysz. Ale zdaje się, że ktoś już ci porządnie obił gębę. Chcesz, żebym poprawił, bo jesteś zarozumiałym, masochistycznym dupkiem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! – Śmieję się.

Kiwa głową szybko i stanowczo.

– Tak. Nie mam. Wiem tylko, że zanim się pojawiła, byłeś trupem, od środka i na zewnątrz. Łaziłeś jak zombi. Wszyscy to widzieli. A kiedy przyjechała, zapłonąłeś jak pieprzona świeczka. To też wszyscy zauważyliśmy. Nawet Sophia.

– Zamknij gębę – warczę.

– To dlaczego Isis cię teraz ignoruje? – Wybucham śmiechem. – Bo sobie uświadomiła, ile Sophia dla ciebie znaczy i że ją tylko zwodziłeś?

– Nigdy... Nikt nigdy...

– Ależ tak! – syczy Wren. – Przyznaj! Isis ma za sobą gorsze bagno, niż jakakolwiek dziewczyna powinna mieć, a ty dałeś jej nadzieję! A gdy poznała Sophie, zdeptałeś ją.

– Nie masz...

– Jak mogła z nią konkurować, idioto? – Wren mówi już ciszej, ale równie jadowicie. – Wysil ten swój wielki mózg na dwie sekundy. Poświęciłeś dla Sophii wszystko. Pisałeś do niej. Jesteś z nią od gimnazjum. Miałeś Tallie, o tym Isis też wie...

Robi mi się białe przed oczami, a gdzieś w czaszce rozlega się alarmujący dźwięk.

– Co?!

– Wie. Widziała ją. Pojechała tam i ją znalazła. Bo to Isis i taka już jest.

Coś we mnie pęka.

– Co zrobimy? – pytam, a ochryply szept zaskakuje nawet mnie. Oczy Wrena jaśnieją.

– Powiedz jej prawdę. Zanim zrobi to ten od maili i wciągnie ją w to jeszcze głębiej.

– Zapomniałeś, że ona nie zwraca na mnie uwagi.

– Zajmę się tym – zapewnia Wren. – Tylko obiecaj, że jej powiesz, jak zorganizuję sprzyjające okoliczności.

– Robi się z ciebie mały dyktator.

– Mam już dość... – Zaciska dłonie w pięści. – Mam dość uciekania. Za każdym razem, jak uciekam, komuś się dzieje krzywda. Ale nie tym razem. Więcej nie ucieknę. Musimy stawić czoło konsekwencjom naszych czynów. Nie możemy tak żyć.

Odwraca się i wychodzi, zanim mam okazję słownie sprowadzić go do parteru.

Z reszty dnia pamiętam tylko panikę. Patrzą na Isis z parkingu i

czuję się jak prześladowca, ale ważniejsze jest obserwowanie jej twarzy w nowym świetle. Wie, co zrobiłem tamtej nocy. Dlatego mnie lekceważy. Jest zbyt inteligentna, żeby nie połączyć faktów.

I wie o Tallie.

Trzyma w rękach moje największe tajemnice. Tak, jak ja od miesiący znam jej sekret. Także od miesiący mam w telefonie jej numer, chociaż nigdy nie pisałem ani nie dzwoniłem. Aż do teraz. Kciuki fruują po klawiaturze.

„Remis”.

Obserwuję, jak wyciąga telefon, a Kayla cały czas coś do niej mówi. Isis podnosi wzrok i rozgląda się po parkingu, a nasze oczy spotykają się na ułamek sekundy. Zalewa mnie fala bursztynowego ciepła, pozwalam na to.

Gdy udaje mi się wyzwolić, odwracam się i wychodzę.

To ostatni wieczór.

Ostatnia kobieta.

Starsza. Zdobycz jakiegoś prawnika, zamknięta w domu, skazana na kierat i Marthę Stewart, ignorowana przez męża, który ma na boku za dużo dziwek, żeby się nią przejmować. Nie mają dzieci. Jest wysportowana, żalсна i zestresowana. Pokój hotelowy wydaje się miłszy niż zazwyczaj, a gdy jest już usatysfakcjonowana i zmęczona, zaczyna płakać.

– Dziękuję.

Wciążam dzinsy i serdecznie kiwam głową.

– Ile... Ile masz lat? – dopytuje. – Wiem, że już pytałam, ale nie wierzę, że dwadzieścia trzy.

Uśmiecham się uspokajająco.

– Spokojnie, więcej niż osiemnaście.

Zakrywa oczy.

– Boże drogi, jesteś prawie dzieckiem.

Myślę o kobietach przed nią, które, odkąd miałem piętnaście lat, wierzyły, że mam dwadzieścia jeden. Ona nie ma o niczym pojęcia. Szybko dorosłem, a ona nic o tym nie wie.

– To mój ostatni wieczór – informuję, zapinając koszulę. – W tej pracy.

– Tak? Dobrze. Tacy dobrzy, mili ludzie nie powinni pracować w tej branży. To ich niszczy.

A jednak korzystasz z naszych usług, myślę. Krzywię się tak, żeby nie widziała. W Rose Club jest wiele dobrych osób. To ignorantka, kolejna osoba, która uważa, że w branży seksualnej pracują sami degeneraci, niegodni jej. Hipokrytka. Bierze prysznic i ubiera się, a ja w tym czasie wyciągam laptopa, siadam na łóżku i podłączam się do trudniejszej do namierzenia sieci wifi.

– Opłaciłam pokój, możesz zostać na noc – oznajmia. Jest ubrana w różowy garnitur, a rude włosy ma perfekcyjnie ułożone.

– Dzięki – mrużę. Kobieta – nie pamiętam jej imienia – patrzy mi przez ramię.

– Co robisz? Wygląda bardzo ciekawie...

– Uruchomiłem siedemdziesiąt dwa pliki wykonywalne, bo szukam nieprzypisanego do żadnej sieci adresu IP. – Patrzy bezmyślnie. Wzdycham. – Szukam kogoś.

– Ach! Dziewczyny? Byłej dziewczyny?

Boże. Takie kobiety jak ona zawsze wszystko sprowadzają do romansu. Wywracam oczami.

– Autora anonimowego listu.

Śmieje się nerwowo.

– No dobrze, w takim razie zostawię cię w spokoju. Jeszcze raz

dziękuję.

– Interesy z tobą to przyjemność – odpowiadam. Ale to w ogóle nie było przyjemne. Ostatni raz miałem z seksu prawdziwą przyjemność, a nie tylko chorą satysfakcję, kiedy po raz ostatni spałem z Sophią. Było to prawie półtora roku temu. Później jej bóle tak się nasiliły, że czasem nie mogła nawet chodzić.

Później jej dusza pociemniała.

Czekam, aż drzwi za kobietą się zamkną, i wracam do przeszukiwania wyników. Przyjmuję dwa kryteria, jedno to adres mailowy nadawcy, a drugie adres Isis. Który przypadkiem także mam. Nie ukrywała go, gdy kiedyś porozwieszała w całej szkole ogłoszenia, prosząc o kontakt tych, którzy mogą mieć coś paskudnego do powiedzenia na mój temat.

„Ona wie o Tallie”.

Wyrzucam z myśli słowa Wrena i wracam do pracy. Z całą pewnością nie jestem uzdolnionym hakerem, jeśli w ogóle jakimkolwiek, ale znam jeden czy dwa przydatne programy. Ruby i C++ to języki łatwiejsze do zrozumienia niż wiele bzdur wygadywanych przez ludzi. Informatycy znacznie zdolniejsi ode mnie opracowali haniebnie proste w obsłudze sposoby śledzenia IP, żeby ludzie tacy jak ja mogli z nich korzystać do woli.

Po dwóch godzinach odsiewania zostało mi sto trzydzieści siedem tysięcy sto osiem prawdopodobnych adresów IP, z których mógł zostać wysłany mail. Musiałbym przejrzeć wszystkie, jeden po drugim, ale musi być jakiś wspólny czynnik. Którym jest niewątpliwie Isis. Dlaczego ona? Sprawdzam Maryland i Waszyngton. Są dwa IP stamtąd, ale żaden nie jest związany ze śledczymi z FBI, mającymi taśmę. Którą za moimi plecami dał im Wren.

Nie jestem o to zły. Chociaż byłem. Potem jednak

dowiedziałem się, że taśma uległa uszkodzeniu, a technologia retuszu obrazu wideo nie była w tamtych czasach najlepsza. Policja znalazła ciało Josepha Hernandeza kilka dni po całym wydarzeniu i uznała jego śmierć za wypadek. Pozostali trzech mężczyźni wynajęci przez Avery pracowali dla jej rodziców. Ci wiedzieli, że ich córka doprowadziła do jakiejś tragedii, ale woleli przymknąć na to oko. Tych trzech facetów nie pisnęło słowa.

Co przypomina mi o Belinie, kobiecie, która z mojego powodu straciła tamtej nocy męża. Wkrótce będzie potrzebowała kolejnego czeku. Dałem go Wrenowi, ale to ostatnia taka suma, jaką będę dysponował przez dłuższy czas. Oczywiście zainwestowałem niewielką kwotę w fundusz hedgingowy, żeby miała za co żyć, gdy ja będę w college'u, ale to wystarczy na rok, góra dwa lata. Mam nadzieję, że na drugim roku będę już miał dobrze płatne stypendium. Nie, to nie nadzieja, po prostu muszę je mieć. To jedyne wyjście.

Wtedy Sophia będzie już po operacji.

Którą przeżyje albo nie.

Uciskam skronie palcami i próbuję się skupić. Źródło większości częściowo pasujących adresów IP mieści się na Florydzie. Mrużę oczy. Tam mieszkała Isis. To nie może być przypadek.

Wyraźnie odstaje adres z Dubaju. Pozostałe są amerykańskie. Kimkolwiek jest ta osoba, dobrze wie, jak znaleźć informacje, których nie powinna mieć. Jest dobry. Przekierowanie swojego adresu IP przez serwery proxy do Dubaju mogłoby zwiść skupiających się na Ameryce. Chyba że jednak trzyma się Florydy, bo wie, że ten nieszczęsny Dubaj kłułby w oczy. Jedna i druga wersja są równie prawdopodobne.

Wzdycham i sięgam po słuchawkę. Zamawiam obsługę, żeby

zmienili pościel. To będzie długa noc.

Piję kawę i jem sajgonki, a w trakcie dostaję esemesa. Od kogoś, kto w mojej książce kontaktów opisany jest jako „Nigdy”. Ignoruję palpacje, które odczuwam na widok tego słowa na wyświetlaczu.

„Co byś zrobił, gdyby wszyscy cię nienawidzili?”

Zastanawiam się nad odpowiedzią. W pewnym momencie tak właśnie było, że wszyscy mnie nienawidzili. Kobiety, bo je odrzucałem. I mężczyźni, bo odrzucałem kobiety, które kochali.

„Olałbym ich”.

Usiłuję nie patrzeć co chwilę na telefon. Mam coś do zrobienia. Ale przez te dziesięć minut, po których przychodzi odpowiedź, brnę przez uzyskane dane bezmyślnie i z trudem.

„Tak robię. Ale niespecjalnie mi się to podoba”.

„Więc przestań. Rób, co Ci się podoba, a nie to, co nie”.

„Ale to, co mi się podoba, rani ludzi. Wtrącam się. Psuję”.

„Czasem trzeba coś popsuć. To ludziom przypomina, że życie jest krótkie”.

Zapada długa cisza. Zaczynam żałować, że to napisałem, ale wyświetlacz znów rozbłyskuje.

„Byłaby bardzo ładnym dzieckiem”.

Pieką mnie oczy. Znika zimna obojętność okazana kobiecie, z którą niedawno uprawiałem seks oraz skupienie na rozwiązaniu tajemnicy anonimowego maila. To jedno zdanie i nic więcej nie ma znaczenia.

„Dziękuję”.

Rozdział 10

3 lata, 29 tygodni, 6 dni

Ciemne, suche drzewa przypominają gigantyczne kawałki cynamonu. Jezioro Galonagah wygląda o północy jak tafla stopionego czarnego cukru. Księżyc wisi na niebie niczym biały krążek sera brie.

Zgubiłam się jak jasna cholera. A do tego jestem głodna. Ale to nic nowego. Jestem głodna średnio przez trzysta sześćdziesiąt trzy dni w roku. Jedyne dni, kiedy nie mam apetytu, to urodziny Hitlera oraz dzień po Święcie Dziękczynienia. Dobrze, że te dwa dni nie następują jeden po drugim, bo musielibyśmy nazwać to święto Dniem
Dziękczynienia zatożehitlerkopnąłwkalendarzwlatachcztedziestyc a to stanowczo za długa nazwa jak na święto obchodzone w kapitalistycznej Ameryce.

Tyle uwagi poświęcam gorliwym i głębokim rozważaniom nad podniosłością świąt, że gubię się jeszcze bardziej. Wbrew powszechnemu przekonaniu latarka nie jest takim znowu zajebistym gadżetem, chyba że chce się urządzać imprezę techno dla ubogich. Urządzam ją na całe dwie sekundy, ale jest okropnie i cicho, więc szybko, gaszę i przysiadam. Na norce skunksa. Ten świntuch jest z oczywistych względów niezadowolony, więc wystawia tyłek i strzyka mi na nogę swoim koszmarnym

smrodem.

– O jasna... Ty dupku! – Dławię się i zakrywam nos i usta rękawem bluzy. – Isis do całego lasu, ten pasiasty wieprz to świnia! O Chryste, to nigdy nie przestanie cuchnąć, tak?

Skunks przez moment z dumą podziwia swoje dzieło, a potem się oddala. Wymachuję za nim pięścią, co oczywiście nic nie daje. Ale nie mam czasu na rozróby z lokalną dziczyzną, nawet jeśli zachowuje się jak suka. Muszę znaleźć Tallie. Ale las za dnia znacząco różni się od lasu w środku nocy i kiedy nagle nad moją głową rozlega się zachrypnięty wrzask kruka, zaczynam żałować decyzji o wpakowaniu się w tę scenografię z horroru. Uparcie jednak trzymam się brzegu jeziora, pilnując jednocześnie, żeby za bardzo się nie zbliżyć do krawędzi.

W końcu spomiędzy drzew rozbłyskuje biały krzyż. Ziemia jest nadal miękka po tym, jak dopiero co rozkopałam ją po raz pierwszy. Bezczeszczenie grobów nie jest w pierwszej piątce moich ulubionych zajęć, ale muszę przyznać, że jestem w tym świetna. Choć nikt nie musi się o tym dowiedzieć. Nigdy.

– Cześć Tallie – szepczę. – Wróciłam.

Różowy kocyk jest przybrudzony, więc strzepuję ziemię i zdejmuję igły. Tallie patrzy maleńkimi, pustymi oczodołami. Miałyby niebieskie oczy, bo i Sophia, i Jack takie mają. Założę się, że wyglądałyby zjawiskowo, jak lapis lazuli albo ocean w letni dzień. Byłaby piękna, z włosami Sophii oraz twarzą i sylwetką Jacka. Uśmiecham się, rozwijam zawiniątko i biorę bransoletkę z jej imieniem.

– Nie masz nic przeciwko temu, że ją wezmę? – Tallie nic nie mówi, więc kiwam głową, a srebro lśni w świetle księżyca. Na nowo zawijam ją w kocyk i grzebię z nadzieją, że to po raz ostatni. – Przyjdę do ciebie jeszcze – obiecuję. – Twoja mama nie

może, ale ja tak.

– Ej, chodźcie tędy!

Nocną ciszę rozcina głos, a w lesie pojawiają się obcy. Słyszę kroki, ciężkie i głęboko zapadające się w poszyciu. Dudni od nich ziemia. Wielu potencjalnych seryjnych morderców gotowych odrąbać mi głowę płonącym toporem. Albo to rodzice Avery. Tak czy inaczej, mam przesrane. Nurkuję za gnijący pień niedaleko i wstrzymuję oddech. Prawie nie słyszę słów. Są dość daleko ode mnie, ale jednak wystarczająco blisko.

– Macie coś?

– Nie. Jest pan pewien, że to tutaj?

– Oczywiście. Moje źródło w policji jest pewne. Szukajcie. Musimy mieć na niego haka.

Haka? Moja zachwycająca ciekawość wygrywa i wyglądam zza pniaka. Widzę mężczyznę w nienagannie uszytym tweedowym garniturze w towarzystwie dwóch innych w czarnych strojach. Facet w tweedzie jest wysoki i ma bardzo potężne bary. Jego włosy są tak siwe, że aż białe i roztacza aurę starego-siwego-faceta-który-ma-władzę. Od razu go za to nie lubię. To nie jest tata Avery, widziałam go kiedyś. On wprawdzie jest bogaty, ale nie tak, jak ten. Ten ma roleksa, buty z włoskiej skóry i dwóch facetów w garniturach wypełniających jego rozkazy. To poziom bogactwa, z którym wiąże się posiadanie wielu wrogów.

– Jeśli mogę spytać, czy Jack Hunter naprawdę jest warty aż takiego zachodu? To tylko uczeń liceum – rzuca jeden z facetów.

Gość w tweedzie odpowiada:

– Tak, jeszcze jest w liceum, ale za cztery miesiące idzie na studia. To tylko kwestia czasu, zanim Harvard zwęszy jego geniusz. Nie dam Aramonowi odebrać sobie akurat jego. Jest zbyt mądry i zbyt bezwzględny. Idealny. A teraz szukajcie. Ciało

musi być gdzieś tutaj. Grób jest pewnie prowizoryczny i mały, w końcu to było dziecko.

Ciało. Mówią o Tallie. Nie pozwolę, żeby ją naleźli. Muszę do niej dotrzeć pierwsza...

Przesuwam nogę, bo łapie mnie skurcz i to mogłaby być ostatnia rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. We wszechświecie równoległym, w którym ci goście mieliby pistolety. Ale nie mają. Mają tylko uszy. Co już i tak jest problematyczne.

– Co to było, do cholery? – pyta jeden.

– Jeleń? – podpowiada drugi.

– Tu nie ma jeleni – stwierdza Tweedowaty. – Moriyama, sprawdź tam.

Facet w garniaku kroczy ku mnie. Zgiął się wpół i zacisnął pięści. Stwierdzenie, że nie chciałabym, żeby mnie złapali, jest takim samym niedopowiedzeniem, jak to, że stanie w ogniu jest drobną niedogodnością. Serce wali mi w uszach. Znajduję kamień i rzucam daleko od siebie, w lewą stronę. Facet zamiera, a potem rusza w stronę, z której dobiegł dźwięk, a ja powoli przemieszczam się w przeciwną.

I wtedy za nogę łapie mnie coś włochatego, a ja nie jestem w stanie powstrzymać mojego cudownego głosu od wydostania się na zewnątrz. Piszczę. Albo śpiewam arię operową, trudno stwierdzić, bo w tej chwili rozpętuje się piekło. Ja biegnę, ktoś biegnie za mną, Tweedowaty coś krzyczy, czyjaś ręka zaciska się na moich włosach, ja staję jak wryta i się schylam, a facet przelatuje mi nad głową i turla się w dół wzgórza z pękiem moich włosów w garści.

– Po prostu super, zepsuleś mi fryzurę! – wrzeszczę. Ale ta brawura jest krótkotrwała, bo dociera do mnie drugi facet w garniturze i łapie mnie wpół, unieruchamiając mi ręce wzdłuż

boków.

– Pieprz się! Puść mnie natychmiast!

– Nie sądzę, księżniczko. – Z trudem wytrzymuje moje miotanie się. Wtedy odzywam się rozkosznym tonem:

– Puść mnie, proszę. Twoje przyszłe dzieci będą ci za to wdzięczne.

– Co?

Wykorzystuję fakt, że zbiłam go z tropu i z całej siły kopię go w jaja. Wydaje ściśnięty pisk i pada na ziemię, a ja się wyrywam i pędzę w dół. Zostawiłam samochód niedaleko szlaku. Moje nogi chcą znieruchomieć i już nigdy więcej się nie poruszyć. Nie chodzi o to, że się boję. No dobra, trochę tak. Ale strach to tylko piętnaście procent. Kolejne sześćdziesiąt procent to ekscytacja tym, jakim jestem doskonałym ninja, a ostatnie dwadzieścia pięć procent to mój umysł wrzeszczący mi do ucha, że muszę zawiadomić Jacka o tych złamasach. Platonicznie. Wcześniej esemesowaliśmy i wypisywałam jakieś idiotyzmy o Tallie, ale chyba się nie wściekł. Mam nadzieję, że wystarczy mi szczęścia jeszcze na tę rozmowę. Że mój świeżo wykluty, głupi strach przed nim będzie siedział cicho jeszcze przez chwilę.

W końcu ścieżka wychodzi na parking, a ja gramolę się do mojego limonkowego garbusa. Nie zawieź mnie, skarbie! Kaszle i rzezi, gdy zapalam silnik, a ja odwracam się i desperacko zerkam w stronę ścieżki.

– No dalej, dalej, to kiepski moment na pierdzenie! Wybierz inną chwilę. No wiesz, na przykład jak nie będę uciekać przed chcącymi mnie zabić tajemniczymi gangsterami w garniturach za tysiąc dolarów, mającymi mikroskopijne jaja!

Silnik ożywa, a ja wykonuję najdoskonalszy w historii Ohio zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Co jest wymowną metaforą, bo

tutaj wszyscy jeżdżą tak, jakby dopiero co dostali prawko i wypili sześć piw na uczczenie tego.

Zatrzymuję się dopiero, gdy od jeziora Galonagah dzieli mnie piętnaście kilometrów i czternaście McDonaldów. Nie znajdują mnie. Chyba że widzieli mój samochód na parkingu i teraz go szukają, co jest wysoce prawdopodobne. Rozważam nocne przemalowanie karoserii. Może mogłabym... no nie wiem, zanurzyć auto w krwi moich wrogów i przemalować je na czerwono? Ale Avery ma za mało krwi, zresztą, żal mi jej, a poza nią nienawidzę tylko tych, którzy mnie gonią, a oni nie wchodzi w grę, bo mnie gonią i...

– Podać keczup?

Kasjer podaje mi torbę frytek. Wielką torbę frytek.

– Keczup jest złudzeniem. Człowiek nie zna życia ani prawdy, dopóki nie poleje frytek sosem barbecue – pouczam go.

Wygląda na skruszonego. I słusznie! Siadam przy najbliższym najmniej tłustym stoliku i wcinam. Gdy mój burczący żołądek jest jako tako usatysfakcjonowany, piszę do Jacka.

„Muszę z tobą porozmawiać. Osobiście. Teraz”.

Odpowiada prawie natychmiast.

„Co jest? Coś się stało?”

„Nie chcę pisać. Gdzie jesteś?”

„Przyjedź do Hiltona na rogu Pierwszej i Broadview. Będę czekał w lobby”.

Biorę torbę z frytkami i wychodzę. Nie powinnam się bać. Ani denerwować. Kazałam mu się odczepić, ale przecież jestem smoczyką, a on tylko księciem, to ja zieję ogniem, to ja mącą w życiu ludzi, których kocha, i ja ich ranię, i jego też, jestem smokiem, więc jakby co, to odleczę. Nic mi nie będzie. Mnie nigdy

nic nie jest. Przeżyłam Bezimiennego. Przetrwałam Leo. Zniosę i to. Nic mi się nie stanie. Jest dobrze.

Znajduję miejsce parkingowe cztery przecznice od hotelu. Tutejszy Hilton jest znacznie mniejszy niż ten w Columbus, ale bardzo ładny, a w lobby są marmurowe podłogi i świeże orchidee. Recepcjonista się do mnie uśmiecha. Jack już czeka, siedzi aż zbyt idealnie wyprostowany na skórzanym fotelu, ubrany we flanelową koszulę i dżinsy. Przycupnął na krawędzi i jak tylko wchodzę, podrywa się.

– Co się stało? – dopytuje. – Nic ci nie jest?

– Wygrałam milion d-dolarów – odpowiadam. Z jakiegoś powodu nie mogę mu patrzeć w twarz. To chyba wstyd. Tak myślę, że to wstyd i poczucie winy.

– Trzęsiesz się jak osika. Chodź. W pokoju jest cieplej.

– Nie. Ja... – Odsuwam się. – Ja chcę ci tylko coś powiedzieć i sobie pójść. Nie chcę... nie chcę...

– Przebywać ze mną w jednym pokoju? – podpowiada szeptem.

– Po prostu... Nie bądź dla mnie miły. Będę wdzięczna, jeśli zapomnisz, że przez ostatnie tygodnie udawałam, że nie istniejesz, tylko na chwilę, żebym zdążyła ci to powiedzieć. Doznaj chwilowej amnezji. Albo nie, cholera. Nie rób tego. Próbowałam. Nic fajnego. I trzeba zjeść masę galaretki.

– Isis...

– Ktoś ryje w twojej przeszłości. Ktoś oprócz mnie, o to mi chodzi. Widziałam ich nad jeziorem.

Mruży oczy.

– Przepraszam, ale poszłam znów odwiedzić Tallie, bo Sophia... Poprosiła mnie i...

Jack odchodzi i zmierza w kierunku windy.

– Ej! Czeka! Jeszcze nie skończyłam!

– Wsiadaj.

– E... Nie? Nie oglądałeś japońskich horrorów? Wsiadanie do windy po zmroku to proszenie się o seans wudu.

– Albo wsiądziesz i pojedziesz ze mną na górę albo możesz sobie iść.

Wydymam policzki i przez jakieś cztery sekundy cierpię.

– Dobrze! Ale zaraz potem wychodzę!

– Zaraz potem sam cię wykopię – obiecuje. Po tych słowach robi mi się lepiej, choć przy okazji trochę mnie ściska w żołądku. Drzwi się za nami zamykają, a on wciska guzik z jedenastką. Stoimy razem w zamkniętej przestrzeni przez trzydzieści sekund. On pachnie miętą i potem, ale w najlepszym znaczeniu tego słowa. Wciskam się w najdalszy kąt i myślę o tym, jak bardzo on i Sophia się lubią, i to działa, udaje mi się utrzymać głowę tuż nad powierzchnią wspomnień wirujących pod warstwą tego zapachu.

Winda się otwiera i Jack prowadzi mnie do pokoju 1106. Nie jest bardzo duży, ale piękny, podwójne łóżko jest gładko pościelone. Spodziewałam się bałaganu i krajobrazu po seksie, jakkolwiek miałyby wyglądać. Skąd miałabym wiedzieć. Naprawdę, muszę przestać myśleć o seksie w obecności mojego wroga, który na dodatek wcale, a wcale mi się nie podoba, i jestem tu tylko z powodu dziwnych i złowrogich mężczyzn w garniturach, bo taka już ze mnie dobra samarytanka, nic ponadto.

– Przestań myśleć na głos. – Jack zdejmuje buty.

– Jestem przytłoczona – odpowiadam. – Ostatnimi wydarzeniami.

– Mówiłaś o seksie. To ci się ostatnio przydarzyło? Gratuluję. Kim jest ten szczęściarz?

– Ślimakiem morskim – przypominam. Siadam na fotelu. Ostrożnie.

– Chciałem być miły.

– Więc nie chciej, bo ci nie idzie.

Usta mu drżą, jakby miał się krzywo uśmiechnąć, ale trwa to tylko przez moment.

– Skaleczyłaś się?

Podążam wzrokiem za jego palcem. Spodnie na udzie mam rozszarpane, a pod rozcięciem widać dużą, czerwoną ranę. Krew wsiąka w tkaninę.

– O nie! Moje ulubione džinsy! Byłam w nich na pierwszym w życiu koncercie!

– Na twoim miejscu bardziej przejąłbym się ziejącą raną – parska Jack.

– To twój problem. Ja osobiście nie mam problemów z krwią. Widuję ją co miesiąc. A ty powinieneś przestać bez przerwy wywracać oczami, bo gdzieś czytałam, że od tego się psuje wzrok. Będzie ci trudno utrzymać renomę tajemniczego i powściągliwego, jeśli co chwilę będziesz wpadał na jakąś ścianę, nie uważasz?

– Idź pod prysznic.

– Sam idź pod prysznic.

– Cuchniesz skunksem. I krwawisz. Musisz się wykąpać.

– A tak, w całym zajściu brał udział także całkiem duży skunks. Ale zajmie mi to tylko dwie sekundy i przestanę okadzać tym zapachem twoje włosy ułożone w kształt kaczego kupra, więc słuchaj...

Krzyżuje ramiona na piersi.

– Niestety, moją zdolność koncentracji bardzo narusza smród wydzielin dzikiej zwierzyny oraz widok krwi. Idź. Pod prysznic.

Są tam ręczniki i szlafrok, a ja poproszę obsługę hotelową, żeby wyprali i wysuszyli twoje rzeczy.

– Próbujesz być miły. Niedobrze mi od tego. Nie pasuje ci to do koloru oczu. Zero z dziesięciu użytkowników kupiłoby ten produkt po raz drugi.

– Usiłuję być praktyczny. Mam coś ważnego do zrobienia. Skończę akurat, jak się umyjesz, i będę mógł oddać się w pełni twojej chaotycznej opowieści dotyczącej, jak sądzę, mojej przyszłości. Więc idź.

– Nienawidzę cię.

– I dobrze. Byle po cichu.

Siada na łóżku, bierze laptopa i zaczyna stukać w klawiaturę, w jednej chwili całkiem tym pochłonięty. Poczucie winy tężeje i ciąży mi na sercu. Idę do łazienki i krzywię się, ściągając ubłocone spodnie i kurtkę. Siniaki będę miała chyba do końca tysiąclecia. Dzięki, Mikroajeczny Dupku! Pukanie do drzwi tak mnie zaskakuje, że wyskakuję pod sufit.

– Daj mi ubrania! – woła Jack.

– Super, wielkie dzięki! Teraz będę miała śliwę na głowie.

– Co ty chrzaniasz? Daj ubrania.

– Odejdź! Rzucę je na podłogę. Nie mogę ryzykować, że twoje wszy na mnie przejdą.

– Dobrze, tylko się pośpiesz.

– Sam się pośpiesz – burczę błyskotliwie. Prawda jest natomiast taka, że serce wali mi jak młotem. Wszystko we mnie się tak tłucze, obija o kości i skórę, żeby wyrwać się na wolność i zbiec w postaci niczym nieograniczonego worka mięsa. Jestem naga. Ja jestem naga, a trzy metry ode mnie jest chłopak, więc panikuję, ale nie dopuszczę, żeby ta panika wydostała się którędykolwiek, nawet w głosie, nawet w doborze słów, bo ona jest normalna,

zawsze panikuję, gdy ja jestem naga, a w pobliżu jest chłopak. Trzęsąc się jak liść, otwieram drzwi. Gdy jestem pewna, że odszedł, rzucam ciuchy na podłogę, a potem szybko zamykam je za sobą.

Mam idiotyczną bieliznę. Różową, z rysunkiem pandy. Pomyśli, że jestem głupia. I niedojrzała.

„Głupia dziewczynka! Jesteś brzydka! Myślisz, że ktokolwiek na tej planecie chciałby się spotykać z taką brzydką, grubą dziewczyną jak ty?”

Kręcę głową. Co mnie obchodzi, co o mnie pomyśli? To Jack Hunter, największy niemyty dupek świata. Ech, czasem mi niedobrze, jak sama siebie słucham.

Postanawiam obmyć się w wodzie żywej i wyłonić się z niej jako mniej obrzydliwa, dojrzalsza jednostka. Gorący prysznic przynosi cudowną ulgę i sprawia, że przestają mi się trząść ręce, a luksusowy szampon i mydło pachną migdałami. Adrenalina wzbudzona ucieczką się uspokaja, a gdy narzucam na siebie szlafrok, czuję się jak nowo narodzona. Jak ktoś, kto nie jest mną. Co mi bardzo dobrze robi, nie ukrywam. Inna dziewczyna by się nie trzęsła. Nie panikowałyby, że musi się pokazać w szlafroku. Każda inna byłaby spokojna, ogarnięta i doskonale wiedziałyby, jak się zachować i co powiedzieć, przebywając w hotelu z chłopakiem. Kolejne pukanie do drzwi.

– Czego znowu? – rzucam.

– Mam dla ciebie ciuchy. Nie twoje, ale lepsze to niż szlafrok. I masz też plastry.

Mięknę. Pomyślał nawet o plastrach?

– Zostaw na progu.

Uchylam drzwi i szybko wciągam ładunek. Miękką spódnica, długa, pobłyskująca i czarna oraz biała koszula. Koszula jest

Jacka, bo nim pachnie. Na kołnierzyku są wyhaftowane różowe usta. Wywracam oczami. Nic dziwnego, że ma przy sobie damską spódnicę i zabunkrował się w Hiltonie. Naklejam plaster i wychodzę z łazienki.

– Skończyłeś pracę? – pytam.

Podnosi na chwilę wzrok znad laptopa, ale zamiera na widok spódnicy i koszuli. Potem kiwa głową.

– Tak. To był ostatni raz.

– Ostatnia randka? Na zawsze? – Potakuje. – Świetnie! – Klaszczę. – Boże, to... naprawdę super. Gratuluję, już nie jesteś niewolnikiem seksualnym!

Krzywi się.

– Daj spokój.

– Jakie to uczucie? Być wolnym i w ogóle?

– Skaczę z radości – odpowiada bez cienia uśmiechu.

– Czekaj, bo mnie rozpraszasz. Jacyś faceci weszli w lesie, tam gdzie leży Tallie. Podśluchałam ich, szukali ciała. Ciała dziecka.

Jack zamyka laptop.

– Jak wyglądali?

– Dwóch miało czarne garnitury, to były sługusy. Ten główny był wielki, w tweedowym garniturze. Miał białe włosy i wyglądał na drania, jakby cały las należał do niego. Miał megadrogi zegarek. Ogólnie był chyba megabogaty.

– Powiedział, kim jest? Jakies wskazówki?

– Nie. Tylko że idziesz do Harvardu i on chce cię zgarnąć dla swojej firmy, zanim zrobią to inni. Nazwał cię genialnym i bezwzględny i jeszcze gadał jakieś idiotyzmy w tym stylu, ale nie zapamiętałam, bo zawsze się wyłączam, jak ktoś mówi o tobie coś miłego. Szukali ciała Tallie.

Oczy mu pochmurnieją.

– Co się stało po tym, jak ich usłyszałaś?

– Oni usłyszeli mnie. A konkretnie moją stopę na jakimś patyku. Więc uciekłam. Jednego zepchnęłam ze wzgórza, a drugiemu przykopałam w jaja. Jak na jeden wieczór, to naprawdę nieźle mi poszło.

– A potem... Wsiadłaś do auta i od razu przyjechałaś tutaj?

– Po drodze zatankowałam. – Podnoszę torbę frytek.

Szczypie się w grzbiet nosa.

– Niech to szlag.

– Coś się stało? Oczywiście poza tym, że jakieś zbiry na ciebie czyhają? I nie wiadomo, czy chcą cię udusić, czy co. W każdym razie pilnuj swojej szyi. Jest taka piosenka Wu-Tangów. *Protect ya neck*. To bardzo dobra szyja. Wiele razy się jej przyglądałam, kiedy się zastanawiałam, czy by nie zacisnąć na niej palców.

Śmieje się. Krzyżuję ramiona na piersi.

– Co cię, przepraszam, tak śmieszy?

Kręci głową, a pasma jego głupich włosów spadają mu na głupie oczy. Sińce zbladły, ale nadal są, jak atramentowe wspomnienia po cięższych czasach.

– Nic. Ale to miłe, że wróciłaś do siebie.

– Ach.

– Brakowało mi tego – mówi dalej. Oczy na chwilę mu łagodnieją, ale zaraz znów skuwa je lód. – Nieważne. Zapomnij, że to powiedziałem.

Zapada cisza, a mnie oślepią ból głowy. Pulsuje i paraliżuje mi kręgosłup wysyłanymi w górę i w dół wyładowaniami bólu. Ten sam ból poczułam w gabinecie pani Mernich. Cholera, cholera, cholera. Nie teraz mózgu, błagam...

Już miałam na sobie jego koszulę. Pachnie tak samo jak wtedy. Dał mi ją, żebym miała w czym spać, bo mój strój z okazji

Halloween okazał się za ciasny, ja się upiłam, w pokoju wisały obrazki z morzem i pachniało lawendą. Byłam szczęśliwa, przez kilka sekund on się nade mną pochylał i mnie całował, a ja byłam szczęśliwa. Raz siedzieliśmy na ławce plecami do siebie, gwiazdy świeciły, gdzieś wkoło dudniła impreza, ale my trwaliśmy na wyspie ciszy i spokoju. Z nim byłam spokojna. Rzeczywistość i wspomnienia zlewają się. Jestem w pokoju hotelowym, ale w pokoju z nadmorskimi obrazkami także. Koszula jest miękka. On pachnie tak jak wtedy. Tylko że teraz siedzi przy komputerze i patrzy na mnie z niepokojem, a Jack z przeszłości pochylał się nade mną, a jego usta zwiedzały każdy centymetr kwadratowy mojej szyi, obojczyków, warg, kącika ust i...

– Isis? Wszystko dobrze? – pyta hotelowy Jack. – Zapomnij, co powiedziałem. Staram się zerwać z przeszłością. Ale bywa trudno i gadam głupoty. Już nie jesteś częścią mojego życia, tak jak chciałaś. Wyparłem cię. Słowo.

„Lubię cię”.

W mojej piersi rozwija się coś bolesnego i potwornego, jakby rosła tam gigantyczna muchołówka. Obie wersje mnie jednocześnie sięgają do jego dłoni.

– Przypomniałam sobie – szepczę. Jego palce są długie i smukłe, ale czuję w nich siłę. – Pamiętam imprezę na Halloween. Powiedziałam, że cię lubię. A ty... Ty mnie pocałowałeś. My...

W mojej głowie pojawia się echo słów Sophii.

„Dlatego cię pocałował. Dlatego zadał sobie trud poznania cię. Bo jesteś taka sama jak ja. Równie beznadziejna”.

Wypuszczam jego rękę, jakby zaczęła parzyć.

– Przepraszam. Cholera. Wybacz.

– Co? – mruczy Jack.

– Dopowiadam sobie różne rzeczy. Moje wspomnienia wróciły,

ale teraz znam także kontekst, więc nie powinnam w ogóle się tym zajmować.

– Wspomnienia wróciły? – pyta w napięciu, ale zaraz odchrząkuje. – To... To dobrze. Nie musisz przeproszać za...

– Chodzi mi o to, że nie... Wiem, że tamta noc nie była prawdziwa. W sensie to całowanie. Oboje się upiliśmy. Nie chciałeś tego, po prostu byłeś dziwacznie miły, jak to ci się zdarza raz na ruski rok, a ja byłam megapijana, więc kiedy powiedziałam, że cię lubię, chodziło mi o to, że jako wroga, rozumiesz? Jako kolegę, z którym mogę walczyć, werbalnie, i nie tylko! Tak! Naprawdę cię lubiłam. Jako wroga. Jezu, nawalanki z tobą były super. – Śmieję się, ale sama słyszę, jaki to pusty dźwięk. – I wiesz, że wiem. Że przypominam ci Sophię. Gdzieś tam, głęboko, jesteśmy bardzo podobne, więc nic dziwnego, że wszystko ci się pomieszało i dlatego mnie pocałowałeś. Spoko. Całkowicie to rozumiem. I przeproszam, że po pijaku się na ciebie rzuciłam, a potem się wystraszyłam jak kretyńka. Jezu, nikomu się nie powinno coś takiego przytrafić. No więc przeproszam, że musiałeś przez to przejść.

Od miesiący chciałem ją przytulić. Tłumiłem tę potrzebę, trzymałem na wodzy ogień zamknięty w sercu góry lodowej. A ona nieświadomie mnie sprawdzała, wiele razy. Dźgała, trącała, zabrała się nawet do rozbijania lodu piłą łańcuchową, ale nigdy nie dostała się do środka, bo nazywam się Jack Hunter i zawsze nad sobą panuję.

Z wyjątkiem tamtego jednego razu w morskim pokoju. Tamtego razu, który ona uważa za lipę. Za który się obwinia. To wynika z jej przeszłości, jej powodem jest Will Cavanaugh. Jeśli teraz tego nie powstrzymam, zrobi sobie krzywdę. Cykl męczarni

zapoczątkowanych przez Willa wbije kolce głębiej. Jeśli ona nie jest w stanie tego powstrzymać, musi to zrobić ktoś inny. Czyli ja.

– Nie chcę cię wystraszyć – mówię w końcu. Isis podnosi wzrok, a w oczach koloru cynamonu widzę zaskoczenie.

– Że co?

– I nie chcę, żebyś się poczuła niezręcznie...

– E?

– ...ale w niczym nie przypominasz Sophii. Jesteś Isis Blake, uparta, trzepnięta, dobra i silna. Jesteś sobą. I dlatego cię wtedy pocałowałem. Bo chciałem pocałować Isis Blake. I zrobiłem to. Bez pytania. Miałaś wszelkie prawo mnie powstrzymać i wycofać się. Bałaś się, a ja, całując cię, sprawiłem, że wystraszyłaś się jeszcze bardziej. To moja wina. Nie twoja. – Jest w szoku i chyba pierwszy raz w życiu nie wie, co powiedzieć. – Tak, byliśmy pijani – mówię dalej. – Ty bardzo, ja mniej. Więc to ja powinienem zachować się odpowiedzialnie i ja ciebie przepraszam. Posunąłem się za daleko i zbyt szybko. Byłem szczęśliwy. – Śmieję się śmiechem, w którym nie ma wesołości. – Raz w życiu byłem szczęśliwy. To żadne usprawiedliwienie, ale mam nadzieję, że przynajmniej zrozumiesz moje motywacje. – Jej mina nadal wyraża szok, w którym trwa. – Przepraszam. – Uśmiecham się. – To się już nie powtórzy. – Isis milczy. Muszę przełamać napięcie. Wstaję i przeciągam się. Strzelają mi kostki w karku i nadgarstkach. – Idź już. Robi się późno i na pewno jesteś zmęczona. Musisz odpocząć. Dziękuję, że mi powiedziałaś o tych facetach. Sprawdzę, kto...

Coś na mnie wpada od tyłu i sekundę mi zajmuje uświadomienie sobie, że to ona obejmuje mnie w pasie i przyciąga do piersi. Wtula twarz w moje plecy.

– Ale ja chcę – szepcze. – Chcę, żeby to się powtórzyło.

Rozpięta we mnie sieć niepokoju pęka, nić po nici, rozluźniam mięśnie. Przeszywa mnie ulga, czysta i jasna. Nie tylko ja tego chcę. Nie tylko ja! Moja skóra robi się cieplejsza, oddech się uspokaja, a z każdą sekundą ciszy świadomość jej słów wnika coraz głębiej. To, co mówiła wtedy w morskim pokoju, nie było tylko pijackim bzdurzeniem. Lubi mnie. Pławię się w tym, jak długo się da, a ona ociera twarz o moją koszulę jak zwierzątko, jak coś dzikiego, co naznacza innych swoim zapachem.

– Chcę ci coś pokazać – oznajmia.

– Dobrze. – Staram się mówić cicho i spokojnie.

Wyciąga przede mnie ręce i podciąga prawy rękaw. Dotąd zawsze, zawsze, miała tę rękę zakrytą. Nigdy nie nosiła bluzek z krótkimi rękawami, nawet w tamtej ładnej rękę miała cały czas zasłoniętą i trzymała ją wnętrzem do dołu. To odruch, trzymać ją z dala od oczu innych.

Przestaję oddychać.

Od wewnętrznej strony nadgarstka ma na delikatnej skórze jakieś ślady. Okrągłe, wybrzuszone blizny. Dziesiątki blizn. Nakładają się na siebie, wyglądają jak zarośnięty liliami staw. To ślady po przypaleniach papierosem.

– Jak... – zaczynam, chociaż i tak znam odpowiedź. – Przepraszam, to nie moja sprawa.

Zaczyna mówić. Drżą jej ręce.

– To Bezimienny. – Zamykam oczy. Potwierdzenie jest jeszcze bardziej wstrząsające niż domysły. – Wiem, że są brzydkie. – Głos jej drży. – Przepraszam, nie chciałam cię zniesmaczyć.

Odwracam się i obejmuję ją, ostrożnie, żeby nie wywierać presji i żeby nie czuła się unieruchomiona. Dotyk jej ust na mojej piersi niemal wywołuje dreszcz, ale w ostatniej chwili udaje mi się go stłumić. Widzę bliznę na czubku jej wciąż mokrej głowy.

Pachnie migdałami i lasem.

– Nie ma w nich nic brzydkiego – zapewniam. – Mogę?

Waha się, ale kiwa głową. Sięgam za plecy, chwytam jej dłoń i unoszę. Delikatnie przesuwam palcem po bliznach. Krawędzie są poszarpane, ale w środku skóra jest jedwabista. Po każdym kółku przejeżdżam kciukiem.

– Wygląda jak galaktyka – oznajmiam. – Pełna gwiazd, supernowych, kriogejzerów i innych cudownych zjawisk, które mógłbym wymieniać dalej, ale pewnie umarłabyś z nudów.

Śmieje się i wibrują mi od tego żebra.

– Mam jeszcze jedną. – Wskazuje na głowę. – Nie jest tak brzydka, ale za to większa. Możesz do mnie mówić Pocięta Buźka. Głowa. Czaszka. Pocięta Czacha. Na pewno jest jakiś szwedzki zespół deathmetalowy o takiej nazwie.

Nachylam się i całuję ją w czubek głowy. Czuję pod ustami gładką powierzchnię blizny.

– Musimy kiedyś posłuchać – proponuję, a Isis wydaje dziwny dźwięk, coś pomiędzy piśnięciem a westchnieniem. – Coś nie tak?

– N-nie. Po prostu... Ktoś pocałował... To, że ktoś to robi... E...

– Nie podobało ci się?

– Podobało! To naprawdę... Naprawdę miłe. Przyjemne. – Wtula twarz w moją koszulę, jakby chciała zniknąć, ale i tak widzę, że jest cała czerwona.

Czuję się, jakbym się rozpływała. W środku jest mi ciepło i cała jestem dziwnie odprężona. Nie chcę, żeby to się skończyło.

Jestem bezpieczna.

Po raz pierwszy od bardzo dawna jestem naprawdę, naprawdę bezpieczna. Jakby nic złego nie mogło mi się stać. Jakby ten

jeden raz Bezimienny nie mógł wsadzić łapy w moje wspomnienia i dostać się do mnie w ten sposób.

– Bałam się – mamroczę. – Jak uciekałam przed nimi. I boję się, że widzieli mój samochód.

– Jeśli chcesz, możesz tu zostać – proponuje. – Będę spał na kanapie.

– Byłoby fajnie.

– Jasne. Muszę jeszcze tylko coś skończyć, ale śmiało wskakuj do łóżka. – Bierze laptopa i siada na kanapie. Prawie mi szkoda, że wyszłam z kręgu jego ciepła, ale potem sobie przypominam, że to przecież kujon. Wpada mi w oko talerz z resztkami czegoś, co wygląda jak sos sojowy i mój żołądek wydaje odgłos konającego byka.

Jack unosi brew.

– Czyżbyś była głodna?

– Cicho! – Rumienię się. – Mam frytki.

– One cię balsamują od wewnątrz – rzuca i sięga po telefon. – Zamówimy coś, co nie przetrwa w niezmienionym stanie nawet pod wpływem promieniowania.

Wskakuję pod kołdrę i staram się nie myśleć, że w tym łóżku Jack uprawiał seks z jakąś starszą kobietą. Widzę, że pościel została zmieniona, ale zawsze to używane łóżko. Chociaż, z drugiej strony, w końcu to hotel! Pewnie wiele osób uprawiało tu seks! A jest mięciutkie i puszyste, jakbym leżała na własnym zwiotczalym brzuchu.

– Dobry wieczór, tak, pokój 1106. Chciałbym zamówić łososia z parmezanem, sałatkę ze szpinaku oraz crème brûlée. Tak. Tak, dziękuję.

Kiedy się rozłącza, marszczę czoło.

– A co to? Zaczęło się jeszcze lepiej powodzić?

– Moja ostatnia klientka płaci za pokój. Moglibyśmy zamówić dwanaście porcji homara, a i tak pokryłaby koszty.

– Ach, zalety pracy w branży seksualnej. – Padam na poduszki. On nie odpowiada, zajęty komputerem. – Słuchaj, kto to był ten koleś w tweedzie?

Jack wzrusza ramionami.

– Wnioskując po twoim opisie, chyba go znam.

– Tak? Byliście razem na zjeździe bogatych bufonów?

– W barze. Gdzie mnie złał na miazgę.

– Dlatego wyglądasz jak kotlet?

Jack kiwa głową.

– Jest niezły. Trenował sztuki walki. Sądząc po ciosach i pozycji obstawiam karate.

– A ty trenowałeś wymachiwanie kijem, co? Nie takim dla bogatych playboyów, tylko zwykłym, do baseballu?

– Do czasów liceum trenowałem taekwondo. Ale on jest znacznie lepszy.

– Ktoś mi przysłał zdjęcie – mówię. – Twojej ręki z kijem baseballowym. I ciała...

– Wiem. Wren mi powiedział. A raczej: wykrzyczał. W bibliotece.

– Wren? Wykrzyczał? Nieładnie jest kłamać. Oczywiście, chyba że jest zabawnie.

– Był bardzo poruszony. Wiele można o nim powiedzieć i mamy skomplikowaną przeszłość, ale jest zaskakująco lojalny wobec ludzi, których uważa za przyjaciół. Nie miało to co prawda znaczenia, gdy tamtej nocy podkulił ogon i zwiął, ale zawsze. Teraz liczy się gest. Zmiany, drugie szanse i cały ten szajs.

– Zabiłeś kogoś. – Już się nie boję. Pokazałam mu blizny, a on się nie wzdrygnął. Jeśli powie, że tak, ja też się nie wzdrygnę.

Jego lodowate oczy lśnią. Zapada długa, nieznośna cisza. Jestem przekonana, że słyszy moje bicie serca, które niesie się na co najmniej dziesięć metrów.

– Nie wiem – odpowiada w końcu.

– Jak to?

– Było ciemno. Policjanci powiedzieli, że spadł z klifu, bo go nie zauważył. Ale nie zauważył go także dlatego, że mu podbiłem oko.

– No i co, drugie miał sprawne.

– To mnie nie usprawiedliwia. Równie dobrze to ja go mogłem zabić.

Uważa, że to, co mi mówi, jest prawdą. Dostrzegam w jego oczach poczucie winy. Gdyby kłamał, widziałabym to.

– Nieprawda.

Patrzy ze złością.

– O ile wiemy, to może być prawda. Nie boisz się? Zabiłem kogoś. Jestem mordercą.

– Bronieś Sophii. Tak jak bronieś przed Leo mamy i mnie. Taki już jesteś. Chronisz ludzi. – Otwiera usta, ale zaraz zamyka i gapi się w podłogę. – Słuchaj – kontynuuję. – Ja też zrobiłam rzeczy, z których nie jestem dumna. Wiem, jak to jest, chcieć kogoś zabić. Serio. Zamierzałam zabić Leo, gdy mama mi powiedziała, co się między nimi dzieje. Zaplanowałam to. Chciałam go zatruć chloroformem, a jeśli to by nie wystarczyło, posiekałabym mu fiuta na plasterki, potem palce, a na końcu gardło. Czasem aż mi się to śniło. Niczego tak nie pragnęłam, jak to zrobić. Marzyłam, żeby zapłacił za to, na co ją skazał. – Jack się we mnie wpatruje, ale wzruszam ramionami. – No więc tak. Wiem, jak to jest. – Widzę w jego oczach coś na kształt wdzięczności. – Czyli ten gość w tweedach ma wtykę w policji –

podsumowuję. – Ale skąd policja wiedziała o Tallie?

– Nie wiedzieli – zapewnia Jack. – Ale widzieli Sophię. Sanitariusze z karetki albo lekarze prawdopodobnie im powiedzieli, że... Że ją straciła. A gliniarze natrafili w lesie na krew, jak oglądali miejsce zbrodni. Bez trudu dodali dwa do dwóch. Ale nie znaleźli Tallie. Avery o to zadbała. Pochowała ją gdzieś, gdzie nie znalazłby jej nikt, kto nie zna tamtych okolic tak dobrze, jak ona.

– Więc czemu Pan Tweed jej szuka?

– Nie znam jego motywów. Może szuka informacji o mnie? Im więcej się o mnie dowie, tym więcej będzie miał argumentów, żeby mnie przekonać.

– Bo jesteś idealnym kandydatem do pracy w jego dziwacznej firmie?

– Bo jestem idealny, kropka. – Parska śmiechem. Rzucam w niego poduszką, która z wdziękiem przelatuje nad laptopem i wali go w twarz.

– Dzięki, grawitacjo! – wołam i podnoszę kciuki. Jack wojowniczo odkrztusza piórko. – Co zrobisz? – pytam po chwili. – Nie możemy im pozwolić znaleźć Tallie. Nie chcę tego i Sophia na pewno też.

Spojrzenie Jacka robi się ostre, ale zaraz potem łagodnieje.

Odwraca się do laptopa i zaczyna szybko pisać.

– Wow, jesteś megawkręcony w ten komputer. Wow! Nie mogę przestać mówić „wow”.

– Przestań mówić „wow”.

– Co tam wowabiasz? Znaczący: porabiasz?

– Szukam tego, kto ci przysłał zdjęcie.

– Ach. A potem co? Co zrobisz, jak go znajdziesz?

– Wysadzę go w powietrze – warczy.

Unoszę brew.

– Wysadzę mu twardy dysk – poprawia się.

– Trochę bardziej zgodne z prawem – przyznaję. – Ale nie tak zabawne.

Pokojówka przywozi na wózek jedzenie i zostawia, a Jack daje jej napiwek. W ciągu niecałych pięciu minut wciągam wszystko, co było na talerzach.

– Jezu, kobieto, udławisz się.

– Warto! – ćwierkam i połykam crème brûlée. Potem zaczynam się spektakularnie krztusić.

– Dław się trochę ciszej. – Wraca do komputera i mruczy do siebie: – Mam. Wreszcie. Koleś jest naprawdę niezły, ale gdyby udało mi się...

Zamiera jak jeleń, który usłyszał odciążanie kurka strzelby.

– Ja tu umieram! – przypominam mu z poziomu podłogi.

– Adres IP prowadzi do Good Falls na Florydzie. Tam mieszkałaś – stwierdza. – Przysłał ci to ktoś z twojego miasta. Ktoś, kogo znasz. Kto z twoich znajomych dobrze się znał na informatyce?

Serce mi staje i przestaję udawać, że umieram, bo zaczynam umierać naprawdę.

– Isis? Co się dzieje? – Wpatruję się w sufit i zastanawiam się, ile kroków dzieli mnie od toalety. Nie chciałabym znów obrzygać Jacka, chociaż za pierwszym razem było naprawdę czarująco. Widzę nad sobą jego twarz. – Isis? Zbladłaś.

– To on – mówię cicho. – Co roku wygrywał stanowy konkurs informatyczny.

– Kto?

Myślałam, że dał mi spokój. Przez myśl mi nie przeszło, że ten mail mógł być od niego. Prawie rok ciszy upewnił mnie, że

jestem wolna.

Zgrzytam zębami i zasłaniam sobie oczy, jakbym chciała odgrodzić się od ciemności. Niemożliwe, ale prawdziwe. Miałam koszmary, że mnie znajduje. Ale tyle czasu go nie widziałam, że dałam się zwieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa, zbudowanemu przez nowych przyjaciół i przez Jacka. Byłam głupia. Naiwna. Ani trochę nie zmądrzałam. Gdzieś bardzo głęboko, mimo nowo odnalezionej siły i odwagi, wiedziałam, że dobry czas nie może trwać wiecznie. Nigdy nie trwa. Bezimienny jest w moim życiu skazą, która nigdy nie zniknie. Ciemność przez niego zasiana rozpanoszyła się wokół mojej duszy i czekała na najmniejszą szczelinę, jakąkolwiek szansę wtargnięcia do środka. Bez względu na to, jak twarda była moja zbroja, jak lojalnych miałam przyjaciół i jak delikatny okazał się Jack, zawsze będę słaba. Może to ich dobroć uczyniła mnie słabą.

Ciemność zawsze znajdzie sposób, żeby zaatakować, tak jak to zrobiła teraz.

– Bezimienny.

Rozdział 11

3 lata, 30 tygodni, 0 dni

Jack usiłuje mnie przekonać, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby uniemożliwić Bezimiennemu kontaktowanie się ze mną przez maila. Ale ja wiem, że to nic nie da. Może i jest niezły w tym komputerowym śledzeniu, ale Bezimienny jest o wiele, wiele lepszy. Zawsze był dobry. Całe weekendy siedział zagłębiony w jakichś długich, skomplikowanych kodach. Czasem odwoływał nasze randki u niego w domu, żeby ćwiczyć programowanie. Był dobry, bo trenował, a dzięki ćwiczeniom okazało się, że ma talent. Nauczyciel informatyki z naszej szkoły mówił o nim non stop.

Skoro udało mu się dostać do materiału wideo przechowywanego przez policję, na pewno znajdzie i mnie. Jeśli wiedział o filmie, pewnie wie o Jacku, prawdopodobnie od Wrena. Nie sądzę, żeby mówił mu o tym z premedytacją, ale może mu się wyrwało. A może Bezimienny mnie śledził, aż znalazł, i przez szkolne komputery dowiedział się o Jacku. Założę się, że niektórzy gadali o naszej wojnie na zdezelowanych macach w pracowni informatycznej. A może...

Żołądek mi się ściska i wspomnienie po cudownym crème brûlée nabiera kwaśnego smaku.

Może Bezimienny już dawno zhakował mojego maila i czytał

rozmowy z Kaylą o Jacku?

– Wyczyść twardego dysku, na wszelki wypadek – poleca Jack. – Załóż sobie nowe konto mailowe i zmień hasła do wszystkiego.

– Znowu się włamie.

– Nie włamie się – zapewnia Jack stanowczo. – Zobacysz. Nie pozwolę mu.

– Przez cały ten czas mnie obserwował. – Śmieję się. – Co ze mnie za idiotka. Myślałam, że od niego uciekłam.

– Uciekniesz. Zobacysz. Tylko się nie poddawaj. Współpracuj ze mną. Razem to naprawimy.

– Nie ma sensu. – Odwracam się na bok. – Będzie mnie dręczył do końca życia. Zawsze będzie przy mnie. Jak ta pieprzona blizna...

Zawijam rękę w kołdrę, żeby nie musieć na nią patrzeć. Jack ją odsłania i podnosi do ust.

– Posłuchaj mnie. Nie będzie zawsze przy tobie. Pewnego dnia zmusisz go, żeby odszedł, i wtedy odejdzie. A ty będziesz szczęśliwsza. Stare wspomnienia pozostaną, ale im więcej nowych zgromadzisz, tym tamte będą mniej wyraźne. – Wzdrygam się, ale on nie spuszcza ze mnie wzroku. – A ja ci w tym pomogę, jeśli będziesz chciała.

– Co z Sophią?

– Zawsze będzie częścią mojego życia, a ja zawsze będę ją wspierał. Ale już wiem, czego chcę. Prawda jest tutaj, siedzi na hotelowym łóżku, patrzy na mnie i wygląda nieznośnie uroczo. – Twarz mi płonie. Jack wstaje. – Chodźmy spać. Będziemy się martwić jutro. Mówiłaś mamie, że tu jesteś?

– Cholera – syczę. – Muszę do niej zadzwonić. To może być jedna z tych nocy.

– Jakich?

– Czasem ma zapaść. Wracają dręczące wspomnienia, wpada w histerię i nie może spać, jeśli nie ma mnie obok.

– Jezu, Isis, jak długo to trwa?!

– Odkąd się tu przeprowadziłyśmy, żeby uciec od Leo – odpowiadam. – Ale to nic takiego.

– Nieprawda! – upiera się. – Twoja mama nie może spać bez ciebie? To dla ciebie wielki ciężar.

– Nieprawda! – protestuję. – Robię, co mogę, żeby jej pomóc. To moja mama. Kocham ją. A ona mnie potrzebuje.

– Sama siebie potrzebujesz. Nie możesz tu zostać na zawsze.

W jego słowach słyszę echo tego, co mówiła ciocia Beth. Ale potem przypominam sobie łzy mamy w sądzie.

– Mogę przynajmniej spróbować.

– To nie jest zdrowe. Ona potrzebuje profesjonalnej pomocy...

– Dostaje pomoc. Ale to nie wystarcza.

Jack się zamyka, ale widzę, że się krzywi. Korzystając z ciszy, dzwonię do mamy. Sądząc po głosie, wszystko u niej w porządku. Zamówiła dla nas chińszczyznę z dowozem, ale kiedy mówię, że zostaję na noc u przyjaciółki, słyszę w jej głosie wymuszoną radość.

– Och! To świetnie! U której przyjaciółki?

– U Kayli – kłamię. – Mogę ci dać jej numer.

– Byłoby świetnie. Powinnam zadzwonić do jej rodziców i się przywitać?

– Jej rodzice... wyjechali.

Mama cmoka.

– Czyżbyście coś piły?

– Mamy butelkę wina – przyznaję. – Przepraszam...

– Przestań, skarbie. – Mama się śmieje. – Nie szkodzi. Nie musisz kłamać, żebym się lepiej czuła. Baw się, zasługujesz na to.

Bóg jeden wie, jak bardzo należy ci się wesoły czas z przyjaciółmi po tym wszystkim, na co cię naraziłam. Tylko obiecaj, że nie będziesz prowadzić ani nie wsiądziesz do samochodu z kimś, kto pił. I że wrócisz do domu przed południem.

– Obiecuję. Jestem bezpieczna, słowo.

– Wiem, kochanie. Jesteś najlepszą córką, jaką matka może sobie wyobrazić.

– Ty też. To znaczy nie córką. Chociaż córką na pewno też. Babcia z pewnością tak uważa, niech Bóg ma w opiece jej pomarszczoną, przeczołganą demencją duszę.

Mama chichocze.

– Śpij dobrze.

Rozłączamy się. Jack patrzy na mnie karcąco.

– No co? – pytam zaczepnie. – Na co się tak gapisz?

– Co zrobisz po szkole? – docieka. – Nie mów, że tu zostajesz.

– Ty zamierzałeś tu zostać dla Sophii – odpalam. – A potem nagle się okazało, że idziesz do Harvardu.

– Sophia mnie poprosiła – mówi znużonym tonem. – Będę ją odwiedzał co miesiąc. A poza tym z dyplomem z Harvardu zyskam szansę na lepszą pracę i zarobię dość, żeby ją przez dłuższy czas utrzymywać.

– Mówisz, że mój związek z mamą nie jest zdrowy. A twój z Sophią może jest?

Jego atrakcyjna twarz pochmurnieje na chwilę.

– Gardzę twoim sposobem rozumowania – rzuca. – Ale czasem masz rację. Jestem hipokrytą.

– I debilem – przypominam. – Ale wybaczam ci.

W jego westchnieniu słyszeć śmiech.

– Chodźmy spać.

Gasi światło, wyjmuje z szafy zapasowy koc, rozściela na

kanapie i kładzie się na nim. Ja moszczę się pod kołdrą i staram się nie czuć winna. W ogóle nie mogę zasnąć. To powtórka z tego, co wydarzyło się w domu Avery, tylko że tym razem nie jestem pijana ani przerażona. Tylko ta ciemność... Wydaje mi się, że Bezimienny jest wszędzie. Dałabym wszystko i wszystko zrobiła, żeby go przepędzić i znów się poczuć bezpiecznie.

– Zimno – mówię. Jack się odwraca.

– Chcesz drugi koc?

– Nie... – Przełykam ślinę. To najtrudniejsze, co w życiu zrobiłam, nie licząc konkursu ortograficznego w pierwszej klasie, gdy wyłożyłam się na słowie „oszałamiający” i tamtego dnia, gdy dostałam pierwszego okresu i załamam sobie spodnie oraz rozkładane krzeselko, na którym siedziałam na próbie szkolnej orkiestry, i musiałam z tym krzesłem przyklejonym do tyłka chyłkiem boczkim przedostać się do łazienki, żeby ratować sytuację. Nabrałam wtedy zupełnie nowego szacunku do krabów i ich sposobu chodzenia. To cholernie trudne. – Czy mógłbyś...? – Staram się mówić głośniej, ale głos mi się łamie. – Może chciałbyś... Zwykle mówienie idzie mi lepiej. – Śmieję się. – To głupie. Przepraszam. Zapomnij.

Przewracam się na bok i naciągam kołdrę na głowę, żeby nie słyszał przekleństw, które miał pod nosem. I wtedy czuję, że materac z drugiej strony łóżka się ugina, a moje płuca chcą eksplodować.

– O to chodziło? – słyszę z bliska głos Jacka.

Wystawiam głowę i kiwam zbyt desperacko. I gorliwie. Jack cicho chichocze. Gdy wzrok przyzwyczajają mi się do ciemności, widzę, jak on się odwraca do mnie plecami i naciąga na siebie koc. Jego stopy są kilkadziesiąt centymetrów od moich, a plecy jeszcze bliżej. Trzęsę się i jednocześnie modlę do każdego boga,

jaki mnie akurat słucha, żeby tego nie poczuł. Nie chcę, żeby źle to zinterpretował – że się boję – i sobie poszedł. Boję się, gdzieś w głębi mnie jest twardy jak skała lęk zasiany przez Bezimiennego, ale nie jestem przerażona. Nie oddycham płytko, nie panikuję, nie podskakuję z byle powodu. To naprawdę różnica. Ten strach nie jest chaotyczny, tylko uporządkowany, a ja znam jego przyczyny i panuję nad nim.

Powoli wyciągam rękę i kładę mu na plecach. Czuję pod palcami, jak napina mięśnie. Ale nie odsuwa się ani nic nie mówi, więc zbliżam się i przytulam. Jest ciepły, cieplejszy niż koc. Zapada cisza, a nasze oddechy się do siebie dostosowują. W końcu się odzywa:

– Jesteś najbardziej nieprzewidywalną dziewczyną, jaką w życiu poznałem.

– Wiem. – Uśmiecham się. – Nie zamierzam za to przeproszać.

– I dobrze.

Do pokoju wdziera się światło i siada mi tłustym tyłkiem na twarzy; świat się kończy, ja ślepnę, totalny dramat. Przewracam się na drugi bok, widzę na poduszce twarz Jacka i wtedy naprawdę wszystko się kończy. Na zawsze. Bo mój wszechświat eksploduje.

Skwierczę pod nosem, usiłując sobie przypomnieć, jak się znalazłam w tym pokoju hotelowym. Potem wspomnienia wracają i jestem na siebie dość wściekła, że się poddałam bez walki i tu zostałam. Jack otwiera zaspane niebieskie oko. Leniwie przeczesuje mi włosy, a przy okazji jęczy:

– Kto dał ci prawo do bycia przytomną przed szóstą rano i jak mogę się zemścić?

– Dlaczego ty mnie w ogóle dotykasz? – szepczę. – Fajnie tak?

Większość ludzi mówi, że jestem gąbczasta i paskudna.

Śmieje się i zakrywa oczy rękami. Przeciąga się przy tym jak kot prężący grzbiet.

– Co chcesz na śniadanie? Mogę coś przynieść albo zamówimy. Musimy się wymeldować do pierwszej.

– Wczoraj po drodze widziałam kawiarnię. Wyglądała bajerancko i cuchnęła bekonem. Idź tam. A ja się wymknę przez okno.

– Chodźmy razem.

– Posłuchaj: a może przestaniemy przebywać w swoim towarzystwie?

Opiera się na ramieniu i bawi fioletowym pasmem moich włosów.

– To propozycja sprzeczna z twoim wczorajszym zachowaniem.

– Dotknęłam twoich pleców! Nie rób z tego czynności seksualnej! – zapowietrzam się. – Czy ja powiedziałam „seksualnej”? Głośno? Bez zająknięcia?! Chwała Chrystusowi! Czekaj, Chrystus jest za seksem? Nigdy nie pamiętam, który bóg jest za czym.

– Lubię cię – mruczy Jack. Elegancko spadam z łóżka. Po chwili ciszy wyglądam znad materaca i podnoszę rękę.

– Halo? Pamiętaj o mnie. Wolałabym nie dostać zawału serca przed osiągnięciem wieku, w którym będę mogła legalnie kupić alkohol.

– Aż tak cię zaskoczyłem? – parska. Po chwili milczenia dodaje:
– Lubię cię.

– Ach! – Zasłaniam się przed tym słowami.

– Lubię cię.

– Przestań!

– Och, już czuję, że będzie fajnie!

– Będziesz konał w mękach – odpowiadam, ale on już wstaje i wciąga spodnie. Moja twarz staje w płomieniach, gdy sobie uświadamiam, że spał w bokserkach. Obok mnie. Później przez sekundę widzę w okolicy rozporka znaczące wybrzuszenie i umieram, a wiem, jak to jest, gdy się umiera: płoniesz, wiatr rozwiewa twoje prochy, wpadają komuś do oka i chodzi z nimi cały dzień, wszyscy myślą, że ma zapalenie spojówek, ale nie, to twoje resztki...

– Isis? Cśś.

– Sam bądź cśś! – syczę. – Przeżywam siedemnaste z kolei załamanie psychiczne po zobaczeniu po raz pierwszy tego ładunku!

Jack wkłada kurtkę i zgarnia ze stolika portfel.

– Czekam na dole.

Zamyka drzwi i zostaję sama. Sama, ale z nim czekającym na dole. W eleganckim hotelu. Przed śniadaniem w kawiarni. Szczypię się w nogę i aż sapię, gdy się okazuje, że wcale się nie obudziłam. Na moje oko nie ma tu ukrytych kamer. Ale z drugiej strony, gdybym je widziała, nie byłyby zbyt ukryte, prawda? W każdym razie to chyba nie jest ustawka. Więc jednak sen wyprodukowany rzutem na taśmę przez moją budzącą się podświadomość. Na razie przestaję się tym interesować. Muszę się z tym pogodzić. Spałam w tym samym łóżku, co Jack Hunter, mój wróg, rywal, a teraz zdaje się ktoś więcej niż przyjaciel.

I byłam bezpieczna.

Przy śniadaniu w kawiarni omawiamy plan. On ma na oku IP Bezimiennego, ja robię porządki w komputerze. Potem guzdrzemy się na parkingu z brzuchami pełnymi bekonu i tostów. Szuram nogami. Nie mam pojęcia, co robić. Jak

dziewczyna powinna się pożegnać z chłopakiem, z którym spała, ale tak naprawdę nie spała? Jest jakiś poradnik na takie okazje? Powinnam go napisać i przesłać sobie z czasu przeszłego? Czy drukarnie działają w takim tempie?

Nie mogę dłużej się nad tym zastanawiać, bo Jack wyciąga rękę i klepie mnie po głowie.

– Dojedziesz cało do domu?

– No chyba! – Jestem urażona, że mnie klepie jak dziecko, ale czuję się też dziwnie rozpromieniona w miejscach, o których nawet nie chcę myśleć. – Jestem jak kierowca NASCAR! Nie licząc milionów dolarów.

– Szkoda. Wyobraź sobie, ile osób mogłabyś wkurzać, gdybyś była milionerką.

– Co najmniej dziesięć! I ich babcie.

– A tak, stara tradycja rodu Blake'ów, wkurzanie babć.

– To nic trudnego, wystarczy zostawić w zlewie brudne garnki i mieć kota bez różowego sweterka.

– Pozdrów mamę.

– Ty swoją też, jeśli mnie jeszcze pamięta. Albo czekaj, nie pozdrawiaj, nie zrobiłam najlepszego pierwszego wrażenia. Przecież przyjechałam, żeby...

– Pamięta – przerywa mi stanowczo. – Uważa, że jesteś słodka.

– Ha! Czyli musiała spotkać moją sobowtórkę. Która nie istnieje.

Jack się uśmiecha. Nie jest to ten jasny uśmiech, który widziałam, gdy był u Sophii w szpitalu. Ale jest ciepły, bez odprysków lodu, więc naprawdę więcej nie trzeba.

– Masz mój numer – rzuca.

– Tak. Napiszę, jakby coś się zadziało. I coś się nadziało. Nie, nadziewanie jest obrzydliwe.

Jack odchodzi. Chciałabym powiedzieć tysiąc głupich rzeczy naraz: dziękuję, przepraszam, że wybrałaś takiego popaprańca jak ja, zasługujesz na kogoś lepszego, jedź bezpiecznie, śpij dobrze i jedz zdrowo, ale wszystkie słowa i uczucia splatają się w jeden wielki kłęb i ulatują w powietrze, a ja otwieram usta i nic nie mówię, więc po chwili je po prostu zamykam.

– Co zrobiłaś?!

Odsuwam telefon od ucha w ramach profilaktyki zdrowego słuchu.

– Spałam z nim. W tym samym łóżku – szepczę.

– Uprawiałaś seks z Jackiem Hunterem?!

– Jezu, Kayla, nie drzyj się tak, to niegodne damy!

– Powiem ci, co jest niegodne damy: spanie z Jackiem Hunterem!

– Nie spaliśmy razem, tłumoku! Czy ja wyglądam na głupią, żeby dotykać tego worka zarazków?

Kayla w końcu łapie oddech.

– Racja. Ty nawet nie umiesz powiedzieć „fiut”, żeby na siebie nie zwymiotować. A czasem na biurko. A czasem na małe dzieci.

– To się zdarzyło raz i ten chłopiec sam się wpakował w trajektorię lotu moich rzygów. Nic nie poradzę, że nie ogarniał fizyki ciał ciekłych.

– Ale spałaś z nim w łóżku, hello! To jest druga baza! A można druga i pół.

– A może druga i trzy czwarte?

– Nieważne, nie będę ci wyjaśniać takich rzeczy.

– Mówię po raz ostatni: nie wydarzyło się nic seks... ekscentrycznego, dobra? Nigdy bym tego nie zrobiła z twoim byłym. Nigdy.

– A ja bym zrobiła. Z twoim byłym. Gdybyś takiego miała. I był cholernie seksowny. Oczywiście gdybyś mi dała jasne przyzwolenie. Które ja ci daję, bo błagam cię, to Jack Hunter! Ktoś w tej szkole powinien go przelecieć, zanim wyjedzie do Hollywood albo do krainy modeli i będzie podpisywał kontrakty na nowoczesne choroby weneryczne.

– Chyba oszalałaś.

– Jezu, mówiłam ci?!

– Że oszalałaś? Nie, sama się domyśliłam.

– Nie! Wren zaprosił mnie na bal!

Opada mi szczęka.

– Wren w okularach?

– No chyba! A jakiego jeszcze znamy?

– Ślinił się, szurał nogami i bełkotał coś o mózгах!

– Fuj! Nie! Był całkiem przytomny i jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że to nie było zombi. Czy to takie dziwne, że ktoś chce iść ze mną na bal?

– Nie, ale... Wren nie jest specjalnie odważny.

– Właśnie! – piszczy. – To najlepszy komplement na świecie, że zebrał się na odwagę, żeby mnie zaprosić i w ogóle, nie?

– No tak. Zgodzisz się?

– Już się zgodziłam!

– A co na to twoje przekonanie, że jest królem kujonów?

– Zrobił się trochę... fajniejszym królem kujonów. Ostatnio mieliśmy razem technikę i było naprawdę fajnie. Zrobiliśmy budkę dla ptaków i wyszła ślicznie. A ja zacięłam się w palec piłą i on się strasznie przejął, zabrał mnie do pielęgniarki i...

– Podoba ci się.

Kayla się dławi.

– Nieprawda! Ale go lubię. I chcę iść na ten bal. A on jest

całkiem uroczy. I jest miły.

– Nie ma prawda jazdy.

– I co z tego? Ja mam! A poza tym poproszę tatę, żeby wynajął limuzynę. Przy okazji, zapraszam ciebie i Jacka.

– Nie ma czegoś takiego, jak ja i Jack.

– Spaliście w jednym łóżku.

– I co?

– To. Że jesteście parą – oznajmia. – Widzimy się w poniedziałek.

Wzdycham i się rozłączam. Super jest mieć przyjaciół. Ale kiedy ci wmawiają nowy status matrymonialny, nie jest już tak fajnie. Tak, ja i Jack spaliśmy w tym samym łóżku. A on dotknął moich włosów. I się uśmiechał i...

Biegnę do łazienki, wsadzam głowę pod kran i odkręcam zimną wodę. Kiedy przyjeżdżam po mamę odebrać ją z terapii, jest zaskoczona, że mam mokre włosy.

– Coś się stało?

– Chrystus pokropił mnie winem zmienionym w wodę.

– Co?

– Brałam prysznic. Jak sesja?

– Dobrze. Rozmawialiśmy głównie o tobie. I Stanfordzie.

– Tak? – pytam piskliwym głosem. – Super.

– Będzie ci tam cudownie, kochanie. A jeśli tata pomoże finansowo, naprawdę dasz radę. Poznasz wiele nowych osób i nauczysz się niesamowitych rzeczy.

– Tak. Mają też świetne programy stypendiów zagranicznych. – Wjeżdżam na autostradę. – Czytałam o wymianie z Belgią. Trwa cztery miesiące, czyli jeden semestr, mieszka się u jakiejś rodziny, w programie jest pełno kulturalnych atrakcji, jeździ się na wieś, na tydzień do Francji, brzmi po prostu...

Milknę, gdy kątem oka dostrzegam, że mama podnosi rękę i ociera łzy.

– Mamo? Wszystko dobrze?

– Przepraszam. – Siąpi nosem i się śmieje. – W porządku. Naprawdę, nic mi nie jest.

– Płaczesz?

– Wszystko dobrze, skarbie. Ja. Ja...

Płacze głośniej. Dygocze, ramiona jej drżą, a dłonie się trzęsą, gdy desperacko chowa twarz.

– Mamo! – Zjeżdżam na boczny pas i zatrzymuję samochód. Obejmuję ją ramieniem. – Co się stało? Proszę cię, powiedz.

– N-nie – jęczy. – Egoistka ze mnie. Przepraszam. Jedźmy do domu.

– Nie! Dopóki mi nie powiesz, z jakiego powodu tak płaczesz!

Łka mi w ramię, a każdy jej szloch rozdziera mi serce. Nie powinnam się tak ekscytować Stanfordem. Na pewno boli ją samo słuchanie, że pojedę tak daleko.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała – płacze. – Zostań tu, proszę. Potrzebuję cię.

Krzywię się i zamykam oczy. Przytulam ją mocniej, a jej płaszcz okrywa nas obie.

– Już dobrze – szepczę. – Mamo, jest w porządku. Nic się nie martw. Nigdzie nie jadę, obiecuję.

– Nie! Ja chcę, żebyś jechała! – Podnosi wzrok. Oczy ma czerwone i spanikowane. – Po prostu nie chcę, żebyś jechała. Ale wiem, że musisz. Masz dojrzewać, uczyć się i latać samodzielnie. Tylko że nie wiem, co zrobię bez ciebie. Przepraszam. Jedź. I rób, co zechcesz. Tylko obiecaj, że będziesz wracać i czasem mnie odwiedzać, dobrze?

– Mamo, ja nigdzie nie...!

– Ależ tak! – W jednej chwili wpada w furję. – Jedziesz, nie słuchaj mnie! Nie ograniczaj się dla mnie. Chcę, żebyś pojechała do Stanfordu.

– Ale ja nie chcę.

– Chcesz. Wiem, że tak. I rezygnujesz dla mnie, a ja tego nie zniosę. Potrzebujesz towarzystwa ludzi równie błyskotliwych jak ty. I wyzwania. A to wszystko zapewni ci Stanford. Boże, moja mała córeczka będzie studiować na Stanfordzie! Jestem dumna. Pękam z dumy!

Dochodzi do siebie, a ja ruszam. Mama się uśmiecha i trajkuje o przyziemnych sprawach jak zakupy w warzywniaku, co sąsiedzi powiedzieli o jej ogródku i jak było w pracy, ale wiem, że smutek nie minął, bo w domu zamyka się w pokoju i włącza muzykę, a robi to tylko wtedy, gdy nie chce, żebym słyszała płacz.

Ściska mnie w piersi, gdy po raz kolejny przeglądam broszury Stanfordu. Cudowny sen, który się nie spełni.

Nie mogę jej zostawić. Nie potrafiłabym jej zostawić z czystym sumieniem. Byłabym za daleko, żeby pomóc, gdyby coś się znów stało, byłaby zbyt samotna. Nie poprawi jej się beze mnie, tylko pogorszy. Muszę być blisko. Bardzo blisko. Zostać z nią, aż będzie miała dość siły, żeby znów stanąć na własnych nogach, a Stanford to uniemożliwi.

Wiem, co robić.

Zawsze wiedziałam.

Wkładam broszury do biurka i zakrywam starymi szkicownikami, jeszcze z podstawówki. Rzeczy, których nie dotykam. I już nigdy nie dotknę.

Dźwięk przychodzącej poczty odrywa mnie od ponurych myśli, ale po chwili dokłada jeszcze więcej. List z tamtego adresu,

z którego przyszło zdjęcie. Bezimienny.

Cześć, Isis!

Jak tam? Dostałaś zdjęcie, prawda? Ten Jack wydaje się naprawdę fajny. Pieprzyliście się już?

Zresztą, kogo ja oszukuję. Nie musisz mówić. Do zobaczenia któregoś dnia :-).

Walczę z falą wymiotów, ale ponoszę spektakularną klęskę.

Ciemność dopada mnie w łazience. Wylewa mi się z oczu i z ust, gdy bezdźwięcznie łkam. Zamykam drzwi i kulę się na podłodze, przyciskając kolana do piersi.

Znajdzie mnie.

Nie jestem bezpieczna. Nigdy nie będę.

Nigdy nie będę bezpieczna. Ani wolna. Jack nie ma racji. Nic z tym nie zrobi. Nie może pomóc. Bezimienny żyje we mnie i będzie tu zawsze. Tak jak ciemność.

Noszę w sobie ziejącą jamę i wystarczy kilka słów z ust chłopaka, który mnie zgwałcił, żeby z rykiem wypadły z niej potwory.

Rozdział 12

Naomi nie jest zadowolona, że wyjeżdżam. Nigdy tego nie lubiła, bo Sophia jest wtedy smutna i to jej pewnie utrudnia pracę. Z nachmurzoną miną prowadzi mnie do jej pokoju.

– Coś się stało? – dopytuję słodko.

Elokwentnie burczy pod nosem.

– Nie podlizuj się.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego jesteś jeszcze śliczniejsza niż zwykle. Nowy krem pod oczy?

– Naprawdę idziesz do Harvardu? – rzuca. – Wiesz, jak to daleko?

– Zdaje się, że w innym stanie.

– A co z Sophią? Hm? Co ona robi, jak ciebie nie będzie? – Słowa Naomi są jak igła wbita prosto w serce. Chyba to widzi, bo wzdycha i pociera czoło. – Przepraszam. Ja... Ona jest tu od tak dawna, a operacja coraz bliżej i martwię się. Doktor Fenwall mówi, że szanse na to, że przeżyje, wynoszą...

– Nic jej nie będzie – mówię. – Jest twarda. Twardsza niż wygląda. Da radę. A gdy będzie po wszystkim, zacznie żyć własnym życiem.

Naomi kiwa głową. Otwiera drzwi do pokoju Sophii i prawie krzyczy. Nikogo nie ma. Podchodzę do parapetu, pod którym leżą potłuczone wazony, wszystkie, które jej dałem. Podłoga cała jest w odłamkach, ostrych i lśniących, które kuszą, żeby ktoś na

nie nastąpił i żeby poląła się krew.

– Gdzie ona jest? – jęczy Naomi. – Powiedziałam jej, że przyjdiesz i żeby czekała. O nie, nie, nie, nie...

– Rozdzielmy się. Sprawdź stałe miejsca – polecam. – Ja pójdę na górę, a ty weź dół. I spytaj doktora, czy jej nie widział.

Naomi kiwa głową i ruszamy. Wbiegam po dwa schodki, a potem lawiruję wokół wózków i lekarzy. W stołówce jej nie ma i dowiaduję się, że cały dzień nie było. Świetlica jest prawie pusta, a kiedy pytam miłą starszą panią, czy ją widziała, kręci głową. Pielęgniarki pracujące z Naomi też nic nie wiedzą. W toaletach ani śladu. W końcu docieram na oddział dziecięcy, gdzie Mira i James grają w gry wideo. Podnoszą wzrok, a Mira się uśmiecha.

– Cześć, Jack! Sophia przed chwilą u nas była.

– I gdzie poszła?

– Na górę. Chyba na dach. Chociaż nie wolno nam tam chodzić.

Pokonuję kolejne półpiętra, brakuje mi tchu i jest mi niedobrze. Czemu dach? Idzie tam tylko, gdy jest nieznośnie smutna. A te potłuczone wazon? Uwielbiała je... Nigdy by nie...

Przyspieszam, wpadam na drzwi ewakuacyjne i wbiegam na dach oświetlony słabym słońcem.

Sophia stoi przy krawędzi. Nie na niej, jak wiele razy wcześniej, gdy ją tu znajdowałem i czego się obawiałem. Zerka na dół, patrzy na rozciągający się u jej stóp świat. Dłonie ma splecione za plecami, a silny wiatr targa jej srebrzyste włosy.

Ogląda się przez ramię i uśmiecha do mnie.

– Cześć.

– Sophia... – Podbiegam do niej, łapię w dłonie jej twarz i szukam ran. – Co się stało?

– Nic. Po prostu chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Ale ty nie wyglądasz najlepiej.

Oddycham spokojniej.

– Przyszedłem z wizytą, ciebie nie było, wszystkie wazony potłuczone... Ty to zrobiłaś?

Kiwa głową.

– Przypadkiem. Tańczyłam i trochę mnie poniosło. A nie chciało mi się sprzątać, więc zostawiłam, żeby ktoś inny się tym zajął, a sama przyszłam tutaj. Jestem podła, wiem.

– Nie, nie szkodzi. Po prostu się martwiliśmy, Naomi i ja.

Przekrzywia głowę i mnie przytula.

– Och, przepraszam! Nie chciałam was zdenerwować, naprawdę!

Ja też ją obejmuję, wdycham zapach jej włosów i upewniam się, że naprawdę jeszcze tu jest. Prawdziwa. Pachnie, czuję ją, jest bardziej rzeczywista niż wszystko w moim życiu. Zawsze tak było.

Chciałbym jej opowiedzieć o Isis, o tym, że Gregory Callan szuka Tallie. Z drugiej strony wiem, że źle to zniesie, a czeka ją trudna operacja, jej psychika musi być nieugięta, jak ze stali. Powiem jej potem, gdy będzie cała i zdrowa. Gdybym zrobił to teraz, stres mógłby ją zepchnąć poza krawędź, skąd nie będzie już powrotu.

– Kocham cię – mówię.

Chichocze i mnie głaszcze.

– Wiem. Ja ciebie też. I dziękuję, że przez cały czas jesteś taki silny. Od dawna tak bardzo się starasz. Niedługo będzie po wszystkim.

– I będziesz mogła robić, co zechcesz. Iść, gdzie ci się podoba. Odzyskasz wolność.

Śmieje się i mocniej mnie przytula.

– Już jestem wolna.

Dzisiaj jest lepiej.

Nie jaśniej, bo ciemność wciąż czai się w polu widzenia, ale daję jej kopa w bebechy i jadę do szpitala. Zatrzymuję się w przy wejściu na ostry dyżur.

Gdy znalazłam się tu po raz pierwszy, byłam innym człowiekiem. Nieprzytomnym i krwawiącym, ale to szczegóół. Grunt, że zdecydowanie innym. Głośniejszym. Bardziej bezceremonialnym. I mniej złym. Nie zrobiłam na tym uczciwego interesu. Ale interesy nigdy nie są uczciwe. Życie daje i odbiera. Nieustannie i dogłębnie. Tyle zdążyłam się już nauczyć.

– Isis!

Widzę, że zbliża się do mnie doktor Mernich. Jej nieokiełznane włosy wydają się dziś jeszcze dziksze.

– Dzień dobry! Co tam słyhać w wariatkowie?

Śmieje się.

– Właściwie nic takiego. Wszystkie dziwne zjawiska w tajemniczy i niezrozumiały sposób skończyły się, gdy wyszłaś ze szpitala.

– Hm. Cóż mogę powiedzieć? Poltergeisty bywają kapryśne. Oraz nadprzyrodzone i nieistniejące. Ale przede wszystkim kapryśne.

– Przyszłaś do Sophii?

– Tak.

– O wiele lepiej wyglądasz. – Przygląda mi się badawczo. – I lepiej brzmisz.

– Tak? Bo czuję się tak gównianie jak jeszcze nigdy.

– Ale przynajmniej to czujesz. Nie uciekasz. To dobry początek. Małe kroczyki, pamiętasz?

Kiwam głową.

– Tak. Chyba coraz lepiej ogarniam, o co chodzi. To znaczy

wypasiona maszyna czyszcząca wspomnienia, jak w *Zakochanym bez pamięci*, byłaby oczywiście bardzo przydatna i mile widziana, ale wiem, że wy, ludzie nauki, jesteście powolni i spłukani. Wybaczam wam.

Uśmiecha się, ale tylko na chwilę.

– Isis? A tak między nami, jak twoim zdaniem radzi sobie Sophia?

– Właściwie nie wiem. W jednej chwili mnie lubi, zaraz potem nienawidzi, a w przerwach nade mną płacze. Ale wydaje mi się, że jakimś cudem jest silniejsza. Skupiona na tym, co naprawdę ma dla niej znaczenie. I czasem nawet stara się być miła.

– Z wyjątkiem tych chwil, kiedy nie jest, co?

– Tak. W tym rzecz.

Chwilę się zastanawia nad tym, co powiedziałam, a potem klepie mnie w ramię.

– W każdym razie dziękuję, że tak często do niej przychodzisz. Ona cię naprawdę lubi. Tak w głębi duszy. Uważa cię za przyjaciółkę i chce, żebyś była szczęśliwa, chociaż ona nie może.

– Naprawdę?

– Ma problem z okazaniem tego. – Pani doktor wzdycha. – Nieuleczalna choroba to najbardziej stresujący stan dla ludzkiego mózgu. Emocje szaleją, a nie pomaga fakt, że guzy zmieniają jej osobowość.

– No tak. Ale to zrozumiałe. Nikt nie może być przez cały czas szczęśliwy – stwierdzam.

– Tak. Ale ty się starasz bardziej niż inni, prawda?

Jej słowa trafiają w sedno. Uśmiecha się ostatni raz, a potem się odwraca, rusza korytarzem i woła coś do innego lekarza.

Zaglądam na oddział dziecięcy, ale Mira i James są w stołówce. Drzwi do Sophii stoją otworem, więc wkraczam i zastaję ich z

Jackiem w objęciach. Od razu się wycofuję, ale Sophia mnie słyszy i reaguje.

– Isis! Cześć! – Podbiega i mnie przytula. To nieoczekiwana zmiana od ostatniego spotkania, ale tak się cieszę, że znów jest dla mnie miła, że nie wnikam. Ponad jej ramieniem patrzę na Jacka. Jego twarz niemal nic nie wyraża, widzę tylko cień zmarszczonych brwi.

– Cześć. Przepraszam, że tak wparowałam bez pukania.

– Nie szkodzi. Cieszę się, że jesteś. Ty, Jack i ja, wreszcie razem. Świetnie, prawda? – To pytanie kieruje do Jacka. On sztywno kiwa głową, a potem wpatruje mi się w oczy. Przelotnie, ale intensywnie, i przypomina mi się noc w hotelu, że był taki miły i ciepły. Twarz mi płonie, a Sophia się na mnie gapi.

– Pójdę już – oznajmia nagle Jack.

– Co? Czemu? Znowu praca? – Sophia przechyla głowę.

– Nie. Ale nie chcę przeszkadzać w dziewczynskich rozmowach.

– Okres! – wołam nagle do Sophii. – Krwisty, obfity okres!

– Tampony! – dopowiada.

Jack nas mija i idzie do drzwi.

– Przyniosę coś do jedzenia. Wrócę.

Kiedy wychodzi, Sophia zwraca się do mnie.

– No więc? Co tam?

Nie wiem, co myśleć o jej nieoczekiwanym trajkotaniu. Przez ułamek sekundy jest tak jak kiedyś, zanim wróciła mi pamięć. Mówi się, że wiedza daje siłę, ale w moim przypadku okazała się przekleństwem. Przez nią straciłam przyjaciółkę, którą poznałam w bardzo trudnych chwilach. Może dzisiaj nic jej nie boli, rozmyślam. Może lepiej się czuje. A może zdrowieje! Ślepa nadzieja pojawia się na moment, bo już cichutki głosik szepcze

mi do ucha, że ona nigdy nie wyzdrowieje, nieważne, że na to zasługuje i że życie jest niesprawiedliwe.

Grzebię w kieszeni i wyciągam srebrną bransoletkę z napisem Tallulah. Cicho dzwoni w powietrzu, a między nami zapada ogłuszająca cisza. Sophia szeroko otwiera niebieskie oczy, z namaszczeniem wyciąga rękę i bierze przedmiot. Gładzi kciukiem wygrawerowane litery.

– Tallie... – szepcze.

– Nie mogłam zabrać... reszty. To znaczy, tam jest jej grób, tam powinna zostać, prawda? To miejsce jej spoczynku. Ale pomyślałam, że chciałabyś odzyskać bransoletkę.

Sophia przez długą chwilę milczy. Raz za razem bada palcami łańcuszek. Właśnie zamierzam poczuć się niezręcznie, że jeszcze tu stoję, kiedy się odzywa:

– Dostałam ją od Jacka. Po tym, jak to się stało. Cieszę się, że znów ją mam. – Próbuje się uśmiechnąć, ale wychodzi grymas. – On nie wiedział. Nie powiedziałam mu. Ale tamtej nocy w lesie tajemnica wydała się na oczach wszystkich. Wtedy... – Zaciska bransoletkę w dłoni, a oczy jej ciemnieją, już nie są tak promienne. – Był najlepszym, co miałam w życiu – mówi dalej. – Zrobiłabym wszystko, żeby go przy sobie zatrzymać. Pewnie rozumiesz. Też chciałaś, żeby Bezimienny z tobą został, prawda?

Powoli kiwam głową. Opowiedziałam Sophii o nim w najżałośniejszym okresie mojej rekonwalescencji, gdy byłam najbardziej bezbronna. Nie wszystko. Ale wystarczająco dużo. Żeby zdołała znaleźć dla nas wspólny mianownik. Dla niej i Jacka oraz mnie i Bezimiennego.

– Bransoletka leżała przy Tallie od lat. W ziemi, razem z nią. Nie mogłam jej zobaczyć ani odwiedzić. Codziennie mnie to zadręczało. Ale teraz mam to znów przy sobie.

– Masz ją przy sobie – podsuwam. Sophia podnosi wzrok. Oczy ma mokre, zarzuca mi ramiona na szyję.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję. I przepraszam za wszystko, co powiedziałam. I co zrobiłam. Wynagrodzę ci to, dobrze? Naprawdę bardzo bym chciała.

– Ale nie musisz. Wiem, że było ci ciężko. Ogólnie, że twoje życie jest ciężkie. Więc nie utrudniaj go sobie dodatkowo.

– Nie utrudnię! Avery robi imprezę, więc to nie będzie nic stresującego. Musisz tylko ubrać się wystrzałowio, albo jak chcesz, i przyjść!

– Hm, jak sięgnę pamięcią, nie mam najlepszych doświadczeń związanych z imprezami u Avery.

– Ja też nie – przypomina Sophia. – Ale to moje urodziny, a ona obiecała, że będzie grzeczna. Zresztą, nie pozwolę jej na żadne wybryki. Chciałabym, żebyś przyszła. Będą Wren i Jack. I masa ludzi, z którymi powinnam była chodzić do szkoły, chyba większość naszej klasy.

– Duża impreza?

– Ogromna! Ma być tort, DJ i proszę cię, bądź, proszę!

Jej twarz promienieje, jak kiedyś, na początku, gdy udawało mi się ją rozśmieszyć. Kiedy dopiero przyszedłam do szpitala.

– No tak. Dobra. Przyjdę.

Uśmiecha się i widzę, że jej ulżyło.

– Świetnie! Dwudziestego ósmego, u niej w domu. Ma się zacząć o siódmej, ale powinnaś się strategicznie spóźnić, bo alkohol też będzie strategicznie spóźniony.

– Jak ty mnie znasz!

Sophia kręci głową i się uśmiecha.

– Też tak myślałam. Ale nie. Nie znam cię w ogóle. Jesteś jedyna. Tylko ty przyniosłaś mi to, czego naprawdę chciałam. Nie

kwiaty. Nie jedzenie. Nie leki ani litość. Przyniosłaś mi moje maleństwo, po tym wszystkim, co ci powiedziałam i zrobiłam. – Jeszcze raz mnie przytula. – Nie udajesz, że jesteś dobrym człowiekiem jak inni. Po prostu jesteś dobra.

– Ależ ja jestem smokiem. Jestem zła. Jack i ja...

Sophia się odsuwa i słabo się uśmiecha.

– Ty i Jack jesteście moimi najlepszymi przyjaciółmi. Jedynymi. Dziękuję, że wytrwałaś przy mnie, przy chorej idiotce.

Milczymy i wkoło słychać tylko szuranie pielęgniarek i pacjentów po korytarzu oraz stłumione pikanie aparatury.

– Lubię Jacka – wypalam. Słowa wyskakują wypchnięte przez poczucie winy. Sophia reaguje od razu.

– Ja też go lubię.

– Chyba... Chciałabym z nim być.

– Ja też bym chciała. – Uśmiecha się szerzej. – Ale nie mogę. W każdym razie już niewiele dłużej.

– Ale po operacji...

– Nie wiem, co będzie po operacji. Nikt nie wie. Przyszłość jest dziwaczna. Możemy sobie planować i wizualizować, a wystarczy mała dziurka w kadłubie statku, żeby nas zatopić. Nauczyłam się nie planować. Po prostu... Pozwalam rzeczom się dziać.

Nie mówię ani słowa, tylko zaciskam usta tak mocno, że przypominają cienką kreskę. Moje uczucia do niej i do Jacka ze sobą walczą. Widzę oczami wyobraźni, jak rozpryskuje się krew. Ktoś stracił rękę. Albo pięć.

– Cokolwiek się stanie – kontynuuje Sophia – chcę, żeby był szczęśliwy. Chyba to miała na myśli doktor Mernich, jak mówiła o pogodzeniu się ze swoją śmiercią. Nie chodzi o to, żeby ją zaakceptować. Trzeba zaakceptować życie tych, którzy zostaną. Ich uczucia, pragnienia i potrzeby. Na początku nie potrafiłam

znieść tej myśli. Chciałam, żeby wszyscy cierpieli tak jak ja. Avery, Wren i nawet Jack. I nawet ty. Ale teraz rozumiem... – Spogląda na bransoletkę i się uśmiecha. – Rozumiem, że jedyne, co mogę zrobić, to wszystko wam ułatwić.

– Posłuchaj...

– Chodźmy na górę! – Sophia łapie mnie nieoczekiwanie za rękę. – Na dach. Po raz ostatni!

Wieje delikatny wiaterek. Nie ma gołębi, ale kilka kruków dziobie w antenę nad drzwiami. Zimowe słońce jest blade i świat się wydaje wyblakły, ulice są szare, a budynki białe. Sophia siada na krawędzi dachu, a ja obok. Patrzymy, jak ludzie wchodzą do szpitala i wychodzą, zajęci swoją codziennością. Na zardzewiałej huśtawce bawi się dwoje dzieci. Sophia pokazuje je palcem.

– James i Mira wyglądają bardzo dobrze. A w każdym razie lepiej, niż kiedy tu przyszli. – James zeskakuje z huśtawki w locie, a Mira ostro go za to upomina. Sophia się śmieje. – James może nawet kiedyś stąd wyjdzie. Jeśli zwalczy chorobę. Ale Mira jest taka jak ja. Na początku im zazdrościłam. Mieli rodziców, którzy ich kochali i do nich przychodzili. Ja byłam sama. – Odchyła się i wyciąga przed siebie chude ręce. – Zbliżyłam się do nich, żeby spłynęło na mnie trochę tej rodzicielskiej miłości. Na jakiś czas wystarczyło. Ale potem zazdrość wygrała i któregoś dnia ostro na nich naskoczyłam. Od tamtej pory się mnie boją.

– To nie była twoja wina...

– Moja – prostuje stanowczo. – Mernich mi pomogła to zobaczyć. Manipulowałam otoczeniem, bo nie miałam kontroli nad swoim życiem.

– Czemu mówisz w czasie przeszłym?

Uśmiecha się krzywo i posyła mi potępiające spojrzenie.

– Bo te sesje odbywały się w przeszłości. Nie łap mnie za

słówka.

Podnoszę ręce.

– Dobrze, pani oficer, przyznaję się do winy.

– Skazuję cię na karę więzienia – oznajmia. – W izolatce. Bez komiksów.

– Ej! A skąd będę wiedziała, z kim się przespał Kapitan Ameryka?

– Na pewno cały Internet będzie o tym trąbił.

Potem milkniemy. Słońce zaczyna zachodzić i zsyła na szary świat odcienie różowego złota.

– Bądź dla niego dobra – prosi w końcu Sophia. Po sposobie, w jaki to mówi, wiem, że chodzi jej o Jacka. – Wiele przeszedł z mojego powodu. Za to, że mnie nie znienawidził po tym wszystkim, na co go naraziłam, kocham go jeszcze bardziej. I czuję się jeszcze gorzej.

– On jest dobry – stwierdzam. – I ty też jesteś.

– Chciałabym. – Śmieje się. – Ale nie. Nie byłam dobra. Nie w tym życiu, może w następnym. Jeśli w ogóle będzie jakieś następne. Mimo całego mojego racjonalizmu lubię myśleć, że coś jeszcze będzie. Choć o tym nie mówię. Jestem hipokrytką?

– Jesteś człowiekiem. – Nie chcę zepsuć tej chwili pytaniem, co Jack zrobił tamtej nocy, ale cień Bezimiennego wisi nade mną, a im jest ciszej, tym robi się ciemniejszy. – Bezimienny przysłał mi zdjęcie. Jacka z kijem baseballowym. Zakrwawionym. I nie mogę się nie zastanawiać...

– On tego nie zrobił – przerywa mi bez namysłu Sophia.

– Czego?

– Nie zabił tamtego człowieka. Nikogo nie zabił. Przepędził ich, wszystkich. Jeden po prostu w ciemności uciekał w złą stronę i spadł. – Czuję, jakby płuca skuwał mi lód, ale Sophia kręci głową.

– Czemu on ci przysyła takie rzeczy?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem.

– Zachowuje się, jakby chciał cię dręczyć.

– Pewnie chce. Znając go, na pewno tak.

Sophia oddycha głęboko.

– Tamtej nocy zaczęło się śledztwo. Wezwaliśmy policję. To znaczy ja nie. Wren wezwał. Ja byłam zbyt zajęta, miałam zapaść. Przeraziłam się, potknęłam się o korzeń, upadłam i walnęłam się w głowę o drzewo. To była reakcja łańcuchowa, Tallie wyszła, nie mogłam tego powstrzymać. – Szklistymi oczami patrzy gdzieś przed siebie. Mówi jak robot, jakby nie o sobie. – Wszyscy spanikowali. Wren, Avery, Jack. Byli dziećmi. Wszyscy byliśmy. A ja im nic wcześniej nie powiedziałam. Jack zadzwonił po karetkę. Wren uciekł. Avery pochowała Tallie, żeby babcia się mnie nie wyparła. Była bardzo radykalną katoliczką. Oni bywali u mnie w domu i o tym wiedzieli. Jack do samego końca próbował mnie chronić. Wren też. Nie zasługuje na moją nienawiść. – Sophia majta nogami zwieszonymi z krawędzi dachu. – Przyjechało pogotowie, do mnie. Policja po ciało. Ja cały czas byłam nieprzytomna. W szpitalu zrobili mi tomografię i odkryli guzy. Dowiedzieli się też o Tallie. Nie powiedzieli babci, bo tajemnica lekarska, bla bla. Gdy się obudziłam, Jack mi opowiedział, co się stało. I jak będzie od tej pory wyglądało moje życie. – Patrzy na mnie. – On się obwinia o śmierć tego mężczyzny, chociaż policja uznała, że to był wypadek. Rodzice Avery wydali dużo pieniędzy na PR. Gazety pisały, że to byli pijani wędkarze, którzy spędzali weekend nad jeziorem. Mimo że policja знаła prawdę. Poszła fama, że Joseph Hernandez po prostu... zniknął. Uciekł. Ani słowa o tym, że Avery ich wynajęła.

I że pracowali dla jej rodziców. Oni wszystko zatuszowali. To przerażające, co można kupić, jeśli się ma pieniądze.

– Czyli Belina... – zaczynam. – Wren zabrał mnie do kobiety, której Jack wysyłał czek. To była...

– ...żona Josepha – potwierdza Sophia. – Jack chce wszystko naprawić za pomocą pieniędzy, bo nic więcej nie może zrobić. Inne rany są zbyt głębokie, żeby mogły się zagoić.

– Skąd wiesz o Belinie?

– Od Wrena. On się mnie ciągle boi, ale esemesy czynią cuda w rozmowie z ludźmi, którym nie ma się odwagi spojrzeć w oczy. Nie powiedział mi tylko, skąd Jack bierze pieniądze. Albo od kogo.

Nagle bardzo mnie interesują moje buty. Wreszcie znam przebieg nocy, nad którą się tyle zastanawiałam. Wiem, co się wydarzyło. Prawda jest tak przerażająca, jak się spodziewałam. Takie rzeczy nie spotykają zwykłych ludzi. Ale co z tego, skoro spotkały. Nie mogę tego zmienić.

– Rzeczy się po prostu dzieją – przywołuję echo słów Sophii. – Dobre albo złe.

– A my musimy żyć z konsekwencjami – dodaje. – Albo nie. Niektórzy z powodu tych konsekwencji wybierają śmierć.

– Niektórzy są głupi.

Obserwujemy zachód słońca i wschód księżyca. Dzień mija jak każdy inny, w powolnym, dwudziestoczworgodzinym rytmie, ale nagle sobie uświadamiam, że dla Sophii to musi być jak mgnienie.

W końcu robi się za zimno, żeby dalej siedzieć na dachu, więc wracamy i kupujemy w stołówce gorące kakao. Rozmawiamy o imprezie, o tym, w co się ubrać i jaką muzykę puszczać. Sophia się upiera, że nie chce prezentów, bylebym przysłała.

Gdy docieram do domu, mama siedzi przy kuchennym stole nad rachunkami. Zachodzę ją od tyłu i przytulam, a ona odwraca się ze śmiechem.

– A to z jakiej okazji?

– Dotarło do mnie – mruczę w jej ramię – że człowiek jest strasznie kruchy. I wszystko może się zmienić w ciągu sekundy. Więc nie chcę tracić czasu na nieprzytulanie cię i niemówienie, że jesteś najlepszą mamą, jaką mogłabym sobie wymarzyć.

– Och, skarbie! – Mama mocno mnie przytula. – Wszystko w porządku? Co się stało? Chodzi o college?

– Nie, o przyjaciółkę. Wiele się od niej dowiedziałam. O życiu. I o nieżyciu. Jest krótkie. Znaczący życie. Krótkie, dziwne, bez przerwy coś się dzieje i nie wiem już, co mam robić. Chyba nie wymyślę nic poza tym, żeby być sobą.

Uścisk mamy staje się mocniejszy.

– I więcej nie trzeba. A bez względu na to, co zrobisz, ja będę przy tobie, kochanie. Zawsze. Zawsze masz mnie po swojej stronie.

– Wiem. – Wtulam twarz w jej pierś i wypowiadam proste słowa pełne prawdy i wdzięczności: – Dziękuję.

Od wieków wpatruję się w ostatniego maila od Bezimiennego. Chce, żebym cierpiała. Dlatego to robi. Nie daje mi spokoju. Nie może dać. Nie po tym, co mi zrobił. Karmi się moim bólem, obżera się nim, póki może. Jest jak Leo. Ale ja mu nie pozwolę. Życie jest na to zbyt krótkie.

Gdybym odpowiedziała, sprawiłabym mu przyjemność. Zaznaczam więc wszystkie listy i kasuję je, a potem, do kompletu, usuwam także konto mailowe. Zakładam nowe, świeże, z pustą skrzynką. Ja nadal mogę zacząć od nowa.

W przyszłym roku będę nawet musiała, bo z tym się wiąże studia. Kolejny etap życia tego wymaga.

Ale i tak zawsze będę mogła zacząć od nowa, bo jestem tutaj, a nie w szpitalu. Bo jestem zdrowa i żywa. Bo nie pozwolę mojej przeszłości, żeby mnie zniewoliła jak Jacka, Sophię, Wrena i Avery.

Bo nie jestem moją mamą. Ani Jackiem. Ani Sophią. Nie jestem swoją historią.

Nazywam się Isis Blake i jestem przyszłością.

Rozdział 13

3 lata, 31 tygodni, 1 dzień

Dom Avery jest miejscem znajomym, ale w bardzo złym sensie. Parkuję w tym samym miejscu co zawsze, tak żebym mogła szybko uciec, jeśli zajdzie potrzeba. Muzyka już dudni, wylewa się na ulicę i wypełnia zamknięte osiedle. Łomocze wśród drzew i samochodów zaparkowanych chaotycznie na trawniku. Pijani goście wytaczają się przez drzwi, pokładają na trawie, siłują i gonią się z papierem toaletowym i szlauchem.

Po raz ostatni przyglądam koszulkę. To ta z Florence and the Machine, którą miałam tu ostatnio, ale przypomniałam sobie o tym dopiero, jak wsiadłam do samochodu. Dżinsy mam dziurawe i postrzępione, ale nie dlatego, że kupiłam je w luksusowym butik, który spędził wiele godzin na misternym wykonaniu tych dziur. Po prostu tyle razy spadłam w nich z roweru. Chłodne powietrze wpadające w dziury przypomina mi, że sama im to zrobiłam. To ja. Zniszczyłam je, ale mogę w nich wciąż chodzić i wszystko jest w porządku, bo robią to, co trzeba: osłaniają mój zjawiskowy tyłek.

Rzeczy bywają zniszczone, ale wciąż pełnią swoją funkcję.

Wysiadam i ciaśniej opatulam się kurtką. Jest lodowato. Czyżby wiosna nie dostała wytycznych? Gdzie je trzeba zapisać, na liściach? Na płatkach? Na truchle nowo narodzonego jelonka?

– Noc jeszcze młoda, a my już w sentymentalnym nastroju?

Podnoszę wzrok. Przede mną stoi Jack w groteskowo obleśnej skórzanej kurtce i ciemnych dżinsach. Towarzyszy mu Wren w takiej samej jak zawsze kraciastej koszuli.

– Taka praca – odpowiadam. – Zapewniam uszczypliwości, dorzucam kilka pustych, ale serwowanych w dobrej wierze komplementów, gadam do siebie, a może nawet zbiję jakąś butelkę czy dwie.

– Tylko nic nie tłucz. – Wren wykręca dłonie. – Już trzy osoby się pocięły szkłem.

– Wow, a cóż to nasz Szefuńcio nosi na piersi? – pytam. Do koszuli przepiętą ma małą złotą gwiazdkę z numerem jeden. Gdy schyla głowę, żeby się jej przyjrzeć, zjeżdżają mu okulary, więc je natychmiast poprawia.

– Kiedyś dostałem od Sophii. To jeszcze z czasów, kiedy... Kiedy...

– To ta przypinka z olimpiady matematycznej? – wtrąca się Jack. – Rany! Nie sądziłem, że jeszcze ją ma.

– Ja też nie. – Wren śmieje się smutno. – Byłem pewien, że ją wyrzuciła już dawno temu.

– Przypinka z olimpiady?

Jack potakuje.

– Kiedyś Wren i Sophia startowali w konkursie matematycznym. Oboje bardzo się w to zaangażowali, przygotowywali się, jak to tylko kujony z żyłką rywalizacji potrafią. Uczyli się całymi tygodniami, nawet miesiącami. Sophia strasznie chciała wygrać. Ale wygrał Wren. To znaczy, technicznie rzecz biorąc, był remis, ale jury przyznało zwycięstwo Wrenowi z powodu jakiegoś imponującego wyliczenia.

– Sophia się wściekła – wspomina Wren. – Nie odzywała się do mnie chyba przez miesiąc. Więc podarowałem jej tę przypinkę, a ona zaczęła płakać i powiedziała, że bym nie był dla niej taki miły.

Jack się cicho śmieje, a Wren kręci głową ze smutnym uśmiezkiem błakającym mu się na ustach. Nie jestem częścią tej historii, ale i tak robi mi się ciepło, gdy widzę, jak wspominają czasy przyjaźni, bliskości i wzajemnej troski, zanim rozdzieliła ich ciemność.

– No dobra, to ja skoczę po procenty na lamenty. Grzechy dla uciechy. Flaszkę, nie blaszkę – oznajmiam.

Wren i Jack jednocześnie unoszą brwi i wybucham śmiechem.

– Mam na myśli drinka. Zaraz wracam.

Poznaję wiele osób, nie tylko z grupy Avery. Zaprosiła także niepopularne osoby: znajomych Wrena z samorządu, członków orkiestry, hipsterów, a nawet Nożownika. I wiem, że tym razem nie wśliznął się tu bez pytania, bo mijając go, Avery skinęła mu głową, zamiast się skrzywić.

– Udajesz uprzejmą? Jestem w szoku! – wołam.

Odwraca się do mnie. Włosy znów ma proste i lśniące, skórę idealną i doskonały makijaż. Wygląda o wiele, wiele lepiej niż ostatnio.

– Sophii zależało, że bym była miła. Więc stwierdziłam, że co mi tam, raz w życiu mogę. Możliwe, że mnie to zabije, ale przynajmniej umrę ze świadomością, że się wywiązałam z obietnicy. – Chwilę się nad tym zastanawia i wzdycha. – Powinnam to wpisać do aplikacji na uczelnie. Oni uwielbiają miłych.

Chichoczę.

– Większość ludzi lubi miłe osoby. Dobrze, że nie jestem większością.

– Ty mnie nigdy nie lubiłaś – stwierdza gorzko Avery. – A ja ciebie.

– To prawda. Ale staramy się jakoś się znieść. To już coś, nie sądzisz?

Wpatruje się we mnie płonącymi zielonymi oczami. Wtedy zauważam, że płakała. Poprawiła już makijaż, ale dostrzegam opuchliznę pod oczami i czerwony nos.

– Widziałaś Sophie? – pytam.

– Przed chwilą z nią rozmawiałam na górze. Dręczyła mnie, żebym cię znalazła i przysłała do niej, więc idź z nią pogadać. Szybko. Zanim wybuchnie.

– Taka jest szczęśliwa?

Avery się uśmiecha. Nie krzywo, nie złośliwie, nie zjadliwie i nieszczerze. Tylko po prostu. W tym uśmiechu rozbłyskuje młodsza Avery, lżejsza. Niewinniejsza. Kiwa głową.

– Tak. Jest szczęśliwa. Naprawdę, naprawdę szczęśliwa.

Klepię ją po ramieniu i idę na piętro. Jest tu ciszej, ale nie jak w kabinie dźwiękoszczelnej, najwyższej jak w dżungli zamieszkaney przez stado małp w rui. Poprawka: stado małp w rui, które znają muzykę taneczną. Dźwięki są przytłumione, a ja snuję się bez celu, ale jednocześnie mając przed sobą wyraźny cel. Na końcu korytarza widzę smugę platynowych włosów. Francuskie drzwi otwierają się na niewielki balkon. Sophia opiera się o barierkę, patrzy w gwiazdy, w jednej ręce trzyma drinka. Ma na sobie piękną sukienkę z białej koronki, krótką, bez rękawów i wygląda w niej olśniewająco, jak gołąb, który zaraz zerwie się do lotu.

Słyszy kroki i odwraca się.

– Cześć! Najwyższa pora na ciebie! Nie masz drinka?

– Znalazłaś się wyżej na mojej liście priorytetów. Co jest dziwne, bo alkoholu nikt nie wyprzedza. Nawet Tom Hiddleston

musi pobrać numerki i chwilę poczekać w kolejce.

Sophia się uśmiecha, a ja stoję obok niej. Na dole ktoś wybiega na dwór, całkiem nagi, krzyżąc coś o „królu kosmicznych najeźdźców”.

– Dobra impreza. Ludzie się bawią, tracą bieliznę...

– I zdrowy rozsądek – wtrąca Sophia.

– ...a już na pewno zdrowy rozsądek. Cofam to, co mówiłam. To genialna impreza.

Sophia chichocze i upija łyk ze swojego kubeczka. Ma tam coś niebieskiego i spienionego. Wystawia zabarwiony na niebiesko język.

– Faj! – Popycham ją dla żartu. – Chyba jesteś chora!

– I to zaraźliwie! – przekonuje. – Taki był mój plan: wydać wielką imprezę urodzinową, zarazić wszystkich i rozpocząć apokalipsę zombi.

– Wreszcie! Od lat na to czekam!

Zapada cisza, ale przyjemna. Patrzę na nią i widzę, że ma na nadgarstku bransoletkę Tallie. Jest bardzo ciasna, ale jej ręce są tak chude, że pasuje. Srebro pobłyskuje w świetle księżyca. Nie mogę oddychać.

– Chciałabym ci podziękować – zaczyna Sophia. – Tak porządnie.

– Za co? Że zmieniłam twoje życie w piekło?

– Za to, że się starałaś. – Wiatr rozwiewa jej włosy, więc wsadza je za ucho i uśmiecha się. – Mało kto się stara. Kiedy już widzą, jaka jestem naprawdę, podejrzliwa, zgorzkniała, wściekła i żaloszna, odchodzą albo się poddają. A ty zostałaś. I za to ci dziękuję.

– To nic takiego. Po prostu... Uparłam się jak osioł. Nic poza tym.

– Chciałaś pomóc. – Chwyta mnie za rękę. Czuję na skórze chłód bransoletki. Dłoń Sophii też jest zaskakująco zimna. – Próbowałaś pomóc i nigdy nie zdołam ci się za to odwdzięczyć. – Stoimy tak, trzymając się za rękę, ja patrzę na nią, a ona w niebo. – Kojarzysz van Gogha? – pyta nieoczekiwanie.

– Odciał sobie ucho i malował słoneczniki, jakby był po kwasie? Śmieje się.

– Tak, to ten. Jego obrazy... Wszyscy twierdzą, że są piękne, ale mnie zawsze było od nich smutno i trochę strasznie. Są przerażające, te jaskrawe kolory i ten chaos. Ale może to jest właśnie piękne, na swój sposób.

Kiwam głową i tłumię ironiczne komentarze, żeby móc rozkoszować się tą chwilą.

– Namalował *Gwiaździstą noc*, gdy przebywał w szpitalu psychiatrycznym.

– Serio?

– Tak. Wkrótce przed śmiercią malował mnóstwo pól pszenicy. Te obrazy lubię najbardziej, są spokojne, kojące.

– Chciałabym je kiedyś zobaczyć.

– Zobaczysz – stwierdza stanowczo. – Są bardzo ładne. Ale to smutne, że się zabił. Z pistoletu. W każdym razie próbował. Chybił, doczołgał się do gospody, w której nocował, i skonał w łóżku po godzinach męczarni.

– Chryste. – Wsysam powietrze przez zęby. Ona kręci głową i uśmiecha się.

– Jego ostatnie słowa brzmiały: „Smutek będzie trwał wiecznie”. I myślę, że miał rację, ale czuję też, że bardzo, bardzo się pomylił. Nie będzie trwał wiecznie. Bo my nie trwamy wiecznie.

Mrok, który zamknęłam w klatce, żeby zaprezentować się na

tej imprezie radośnie i beztrąsko, wyrwa się na wolność i ulatuje mi z serca. Sophia chyba to widzi, bo lekko mnie ściska za rękę.

– Hej, wszystko dobrze. Przyniesiesz mi jeszcze trochę tego niebieskiego czegoś? Nie jestem dość wstawiona, żeby tańczyć, trzeba coś z tym pilnie zrobić.

– Ha, znam to uczucie. Zaraz wrócę.

Biorę jej kubeczek, a przy okazji lekko ściskam jej dłoń. Na dole impreza jest już porządnie rozkręcona i rozkręca się jeszcze bardziej. Macham do Jacka, a on idzie za mną do kuchni.

– I? Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak. Chciała, żeby jej dostarczyć nowego drinka. Idź do niej. Ściągnij ją tu, zatańcz z nią, nie wiem.

Wzdryga się, ale dobrze to maskuje.

– Jeszcze jej nie powiedziałem.

– Wiem. A ja czegoś nie powiedziałam tobie. No i tak to. Wszyscy coś przed wszystkimi ukrywają. I dobrze. W tych okolicach sekrety są na porządku dziennym.

– Nie powiedziałem ci czegoś bardzo ważnego. A chcę, żebyś wiedziała – zaczyna, a jego lodowate oczy wwiercają się we mnie.

– Przestań – mówię. – Naprawdę, nie teraz. Odpuść.

– Jeśli ci nie powiem, oszaleję. – Nachyla się. – Musisz to wiedzieć. Chcę, żebyś wiedziała...

– Isis! Zatańcz ze mną! – Nagle wyrasta obok mnie Kayla, ewidentnie wstawiona, i ciągnie mnie za rękę na parkiet. Z drugiej strony trzyma mnie Jack. Delikatnie, ale stanowczo.

– Proszę cię, to potrwa moment – błaga.

Jego bezbronny ton zbija mnie z tropu. Ale Kayla nadal ciągnie, wpadam na jakiegoś chłopaka i potykam się, ale Kayla podtrzymuje mnie przed upadkiem i zaczynam chwiejnie iść

naprzód. Sekundę później otaczają mnie poruszające się ciała, a łupnięcia muzyki wypełniają mi czaszkę. Kayla jest bardziej pijana, niż sądziłam, bo mnie obejmuje i się kołysze od biedy do rytmu.

– To prawie koniec! – krzyczy.

– Czego?

– Szkoły. A jeśli ja... I ty... Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam. A jeśli pójdziemy na studia i przestaniemy się z sobą kontaktować? Przestaniemy być... przyjaciółkami?

Mówi głośno, a głos drży jej z emocji. Obejmuję ją i nachylam się do jej ucha.

– Nie przestaniemy – zapewniam. – Choć wiem, że trudno dawać słowo, bo przyszłość to przyszłość, nie znamy jej.

– Co? – Kayla marszczy brwi.

– Po prostu wszystko będzie dobrze – oznajmiam. – Nie możesz się martwić przyszłością. Mamy tylko teraz.

– Brzmisz jak wróżba z chińskiego ciasteczka!

– A ty, jakbyś była naprana.

Wybucham śmiechem i rozluźniam objęcia. Odchodzę na palcach i widzę ponad tłumem twarz Jacka, a serce zaczyna mi bić jak młotem, ilekroć nasze spojrzenia się spotykają. Chciał mi coś powiedzieć, coś ważnego. I tak naprawdę wiem, o co chodzi. Wiem, co musi powiedzieć, to samo czułam w hotelu i w morskim pokoju u Avery, na Halloween. Tego jednego się boję i jednocześnie pragnę. Chcę od niego uciekać i jednocześnie do niego biec, najszybciej jak potrafię.

Boję się w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Kayla lekko mnie popycha i przywraca do rzeczywistości. Uśmiecha się.

– Idź. On czeka. Przepraszam, że cię odciągnęłam. Nie

wiedziałam, że to był czas na poważną rozmowę.

– Nie był – protestuję drżącym głosem.

– Był. – Kiwa głową dla potwierdzenia swoich słów. – To nic złego. Nie możesz się martwić przyszłością. Mamy tylko teraz.

Popycham ją dla żartu.

– Nie znoszę, jak dźgasz mnie moimi ckliwymi słowami, podła manipulantko!

Jej śmiech jest trochę głośniejszy niż muzyka, a potem odwraca się i zaczyna wirować, tańczyć z wysoko uniesionymi rękami.

Nie powinnam się czuć jak w filmie, ale się czuję. Idę w stronę Jacka, przepycham się wśród tancerzy i osób stojących wokół parkietu, a wszystko zdaje się rozgrywać w zwolnionym tempie. W oczach ma pokłady spokoju, o jaki nigdy go nie podejrzewałam. Czeka, a na jego twarzy malują się setki pomieszanych emocji. Lodowa maska, którą widziałam tyle razy, zniknęła, został tylko uśmiech, lekko maskowany niecierpliwością. Niebieskie jak niebo oczy w mroku niemal lśnią. Nie czuję w brzuchu motyli, tylko łagodne pomruki.

Jestem przerażona, ale się nie boję. Już nie.

Potem staję przed nim, bardzo blisko, i oboje czekamy, aż to drugie odezwie się pierwsze.

– Isis...

– Nie wiedziałam...

Oczywiście zaczynamy w tej samej chwili i jednocześnie wybuchamy śmiechem.

– Przepraszam – mówię. – Ty pierwszy.

– A jeśli chcę, żebyś ty zaczęła?

– Czemu? Przecież ja nigdy nie mam nic ważnego do powiedzenia.

Czuję na palcach ciepło, a kiedy patrzę w dół, widzę, że trzyma mnie za rękę.

– Nieprawda. Wszystko, co kiedykolwiek powiedziałaś, było ważne.

– Nawet kawały o kupie?

– Zwłaszcza. – Śmieje się. – Ja jestem zbyt poważny.

– Naprawdę?! – Udaję zdziwioną. – Nigdy bym nie pomyślała!

Zaciska mocniej dłoń i uśmiecha się ironicznie.

– Jestem zbyt poważny, ale przez ten rok się nauczyłem... – Milknie i patrzy na mnie. – Przekonałem się, że to może człowieka zabić. Od środka. Od dawna chodziłem jak trup. To będzie frazes, co powiem, i do tego masochistyczny, ale gdy mnie pierwszy raz walnęłaś... – Śmieje się i kręci głową. – Jakbyś mnie obudziła ze śpiączki. Jakbym się wynurzył spod powierzchni wody, żeby zaczerpnąć tchu. Wściekłem się. Po raz pierwszy od bardzo dawna coś poczułem. Moje życie nie było już pogrążone w bezruchu i ciszy. Drgnęło. Ty je wprowadziłaś w ruch. Wydałaś dźwięk, który usłyszałem, choć nikomu dotąd się to nie udało. – Jest smutny, a mnie ściska w piersi. – Po wszystkim, co się stało, byłem przekonany, że już nigdy się tak nie poczuję. Ale pojawiłaś się ty, otoczona irytującą, ale zachwycającą aurą, i pokazałaś mi, że się myliłem. – Delikatnie unosi moją dłoń do ust. – Musisz coś wiedzieć...

Powietrze nad imprezującym tłumem przesywa wrzask, ucinając jego wypowiedź w połowie niczym nożem. Takie krzyki to nic dziwnego, ale ten się nie kończy. Ktoś wrzeszczy i dołączają się inni, wciąż nowi, brzmi to jak drapanie gwoździem po metalu. W ich głosach słyhać panikę i szok, czysty i niczym niemaskowany. Dochodzą sprzed domu. Jack puszcza moją rękę i patrzy w górę, a ja podążam za jego wzrokiem.

– Co się do cholery stało? – syczę.

Przepychamy się przez tłum, ruszający w kierunku, z którego dochodzą wrzaski. Nocne powietrze jest lodowate i uwolnione oddechy unoszą się jak kłębki chmur nad konkretnym miejscem po lewej stronie domu. Niektórzy przeklinają, inni płaczą, jeszcze inni desperacko wybierają jakiś numer w komórkach. Jack prze naprzód, dołącza do niego Wren, ale ja stoję jak przymarznięta do ziemi i patrzę na balkon nad swoją głową.

Zapada cisza, ale usta wszystkich wciąż się poruszają. Krzyk Jacka prawie nie wybija się ponad dzwonienie w mojej głowie. Poruszam się nieznośnie powoli, jakbym brnęła w potoku szlamu. Ludzie się nie ruszają. Napieram na nich, aż ustępują, i gdy przepuszcza mnie ostatnia osoba z kręgu, dostrzegam Jacka pochylającego się nad śliczną sukienką Sophii, nad bransoletką Tallie wokół jej wygiętego nadgarstka, nad głową wykręconą pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i bezkresnymi niebieskimi oczami otwartymi szeroko i wpatrującymi się we mnie jak oczy manekina, lalki, ptaka, który nigdy nie nauczył się latać.

„Smutek będzie trwał wiecznie. Myślę, że miał rację, ale czuję też, że bardzo, bardzo się pomylił. Nie będzie trwał wiecznie. Bo my nie trwamy wiecznie”.

Bonus

Po raz pierwszy możecie spojrzeć na wszystko oczami Wrena!

Wren

Podczas pogrzebu Sophii nie pada deszcz. A powinien.

To pierwszy pogrzeb w moim życiu. Choć powinienem być na pogrzebie Tallie, gdy Avery grzebała ją w lesie. Wtedy w nocy było bardzo ciemno i Jack nigdy Tallie nie zobaczył. Widział tylko Sophię całą we krwi i spanikował. Pojechał z nią w karetkę.

Ale Avery i ja zauważyliśmy. Tylko że ja uciekłem, przerażony. Czasem jak zamknę oczy, słyszę jeszcze za sobą krzyk Avery. „Tchórz!”

Patrzę teraz na jej twarz. Stoi z dala od tłumku zgromadzonego wokół trumny. Właściwie kryje się w cieniu drzewa, do samego końca zawstydzona tym, co zrobiła Sophii.

I słusznie, że się wstydzi. Ja też powinienem.

Tyle tych powinności. Rzeczy, które powinniśmy byli zrobić, ale już nie zrobimy. Przytłaczający żal spowija wszystkich zgromadzonych na pogrzebie Sophii.

Isis jest poważna, stoi obok Naomi, pielęgniarki Sophii, i matki Jacka. To skromny pogrzeb, rodzina Sophii nie żyje, a przyjaciół miała niewielu. Ksiądz mruczy jeden wers z Biblii za drugim. Isis patrzy na mnie, oczy ma mokre i zrozpaczone.

Spoglądam na Jacka i natykam się na całkowite przeciwieństwo jej miny. Jego twarz nic nie wyraża, jest pozbawiona jakichkolwiek śladów uczucia. Równie dobrze można by patrzeć na puste płótno albo niezapisaną kartkę

papieru. Człowiek oczekuje, że coś tam będzie, cokolwiek, choćby plamka najjaśniejszego koloru, ale nic nie ma. Zawsze był zimny, ale to jest wręcz nieludzkie. Jeśli przyglądam mu się za długo, przeszywa mnie dreszcz. Człowiek nie może tak wyglądać, chyba że nie pozostała w nim ani jedna kropla życia. Jego mama trzyma go pod rękę i łka, ale on ani drgnie i niewzruszonym spojrzeniem wpatruje się w trumnę.

Avery też płacze, ale bezgłośnie. Boi się, że zwróci na siebie uwagę Jacka, jestem pewien, że o to chodzi. Od tamtej nocy zawsze się go bała. Po tym, co wtedy zrobiła, Jack na pewno chciał zamienić jej życie w piekło, ale coś go powstrzymało. Gdybym miał obstawiać, zgadywałbym, że Sophia. Zawsze po mistrzowsku potrafiła go uspokoić.

A teraz jej nie ma.

Stracił część siebie, wszyscy to widzą. Brązowe oczy Isis biegną do niego co chwilę, zawisają na jego beznamietnej twarzy, na dłoniach bezwładnie zwisających wzdłuż boków. Wygląda, jakby chciała podejść i go pocieszyć, ale nie wie jak. Nie jest pewna, czy wolno jej go dotknąć, naruszyć jego rozpacz.

To jasne, że go lubi. I od jakiegoś czasu wiadomo też, że Jack lubił ją. Ale teraz? Cokolwiek zaczęli do siebie czuć, skończyło się. Bo musiało. Śmierć Sophii zrównała wszystko z ziemią, wszystkie przyjaźnie, które się odbudowywały oraz związki. Na początku miesiąca skonfrontowałem się z Jackiem i zaczęło rozkwitać między nami coś na kształt szacunku, ale wiem, że nie ma już po tym śladu. Zacząłem odpychać nawet Kaylę, ciasniej owijając się otaczającą mnie peleryną smutku. Czy ja w ogóle zasługuję na szczęście po tym, co zrobiłem Sophii? Którekolwiek z nas zasługuje?

Ksiądz kończy odprawiać modły i niosący trumnę opuszczają

ją do grobu, a potem zaczynają zasypywać. Naomi pada na kolana, zawodzi i wyciąga rękę w stronę trumny. Opiekowała się Sophią bardzo długo, była dla niej jak matka. Najlepiej z nas wiedziała, że Sophia umrze, ale nie tak. Nie z własnej ręki, nie z rozpaczy, a może ze zmęczenia.

To jest najgorsze, że nigdy się nie dowiemy, czemu to zrobiła. Nie zostawiła listu, żadnej wskazówki. Gdy zobaczyliśmy się z Isis na parkingu przy cmentarzu, podeszła do mnie i pokręciła głową.

– Przepraszam. To przeze mnie.

– O czym ty mówisz?!

– Powinam była odczytać znaki. – Złapała się za głowę. – To ja z nią spędzałam najwięcej czasu i ona mi powiedziała. Powiedziała mi, że to zrobi, na tysiąc różnych sposobów, ale ja byłam za głupia, żeby to zobaczyć. Zbyt naiwna. A trzeba było zrozumieć. Powinam była wiedzieć. Tak mi przykro. Boże, jak strasznie...

Zaczęła płakać. Wyciągnąłem rękę, a ona wpadła mi w objęcia, jakby tonęła, a ja skoczyłbym, żeby ją uratować.

Próbowałem powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, ale słowa więły mi w gardle. Bo możliwe, że już nigdy nie będzie. Oni już nie będą tacy sami, chociaż bardzo bym tego chciał.

Patrzę na opuszczaną do grobu trumnę i robi mi się gorąco. Wtedy mnie to uderza, że już nigdy jej nie zobaczę. Już nie będę miał szansy jej przeprosić. Całe lata zbierałem się na odwagę i nie dałem rady. Zawiodłem ją. Zdradziłem jej przyjaźń, wszystkie spędzone razem lata dzieciństwa, wspólne dorastanie, nic nie miało znaczenia tylko dlatego, że bałem się Avery.

Na trumnę spadają ostatnie grudki ziemi, a Isis zaczyna płakać. W przeciwieństwie do Naomi płacze bezgłośnie, ale po jej twarzy spływają strumienie łez.

Jack ani drgnie.

Po pogrzebie mama zabiera mnie z parkingu przy cmentarzu. Na szczęście daje mi spokój, nie zadaje ani jednego pytania. Jestem wyczerpany emocjonalnie i w domu padam na łóżko.

Ale telefon nie zostawia mnie samego, a wyświetlacz rozbłyskuje esemesem od Kayli.

„Cześć. Jak się masz?”

„Jestem zmęczony. Było strasznie”.

Babcia Kayli spadła ze schodów i mama zmusiła Kaylę do podróży na Wschodnie Wybrzeże, żeby zobaczyła się z babcią, na wszelki wypadek. Próbowwała się wymigać, żeby przyjść na pogrzeb i wesprzeć Isis i mnie, ale jej mama rządzi twardą ręką. Najpierw rodzina, potem przyjaciele.

„Przykro mi. Za dwa dni będę w domu, pogadamy”.

„Tak. Nie mogę się doczekać”.

„Trzymaj się! :-) :-) :-) :-)”.

Nie wiem czemu, ale te rysunkowe uśmieшки poprawiają mi odrobinę humor. W ogóle Kayla sprawia, że czuję się lepiej. Zawsze o tym wiedziałem, ale nigdy nikomu nie mówiłem. Od tamtej nocy na imprezie, gdy Avery zamknęła nas w pokoju, zbliżyliśmy się do siebie. Najpierw próbowałem ją uspokoić, a potem zaczęliśmy chodzić razem na lekcje, dzielić się swoimi okropnymi doświadczeniami z Avery, a wkrótce zaczęła mnie prosić o pomoc przy matematyce i w zamian odwoziła do domu.

Jest zjawiskowa i znacznie bystrzejsza, niż wiele osób sądzi. Nie ma może ciętego języka jak Isis czy Jack i jest trochę naiwna, ale to sprawia tylko, że lubię ją jeszcze bardziej.

Nie powiedziałem jej tego.

Zaprosiłem ją na bal i jakimś cudem, choć absolutnie się tego

nie spodziewałem, zgodziła się. Ale teraz? Nie wiem, jak mogę iść. Nie wiem nawet, jak mam się jutro obudzić. Co mam mówić? Co robić? Okazywać smutek czy chować go, żeby nikt go nie widział? Muszę udawać, że wszystko jest w porządku, dla rodziny i dla Kayli. Nie chcę ich martwić jeszcze bardziej, już i tak się niepokoją.

– Sophia, przepraszam – mruczę w poduszkę i wreszcie płyną łzy, choć o wiele za późno. Maskę obojętności zdejmuję tylko w zaciszu swojego pokoju. Dopada mnie smutek, głęboki i rozdzierający.

Zachodzi słońce, a deszcz z gęstych chmur leje prosto w moje szyby, jakby świat płakał razem ze mną.

W środku burzy przychodzi jeszcze jeden esemes od Kayli.

„Rozmawiałam z Isis. Martwię się. Wszystko się ułoży? Dogadacie się kiedyś wszyscy?”

Chwilę trwa, zanim usiądę i otrę łzy, żeby widzieć litery. Moje chlipanie brzmi żałośnie. Ale przynajmniej mogę płakać. Żyję i mogę płakać. Sophia nie ma już tego przywileju.

Cokolwiek czuła, gdy popełniała samobójstwo, to nie było rozwiązanie. Nawet jeśli tego chciała, nie tego potrzebowała. Potrzebowała czasu. Więcej życia, nie śmierci. Tego akurat jestem pewien.

„Nie wiem”, odpisuję w końcu roztrzęsionymi palcami. „Ale ja będę się starał”.

Nazajutrz rano wyruszam do domu letniskowego Avery nad jeziorem Galonagah. Krzyżyk Tallie jest w miejscu, gdzie ustawiliśmy go tamtej nocy. Nie widziałem go, od kiedy gdy miałem trzynaście lat.

Nad grobem już ktoś stoi, ktoś w modnej kurtce i džinsach. Rude włosy tańczą jak płomienie, gdy igra z nimi wiatr. Ona też

jest tu po raz pierwszy od tamtej nocy.

Głęboko wciągam powietrze i udaję, że to mi dodaje odwagi.
Robi mnie twardym.

Podchodzę do dziewczyny, do grobu, pierwszy raz od pięciu lat.

– Cześć, Tallie – mówię do krzyża. Avery milczy, wpatruje się w kupkę ziemi skrywającej nasz największy wyrzut sumienia, ale potem powtarza cichutko jak echo:

– Cześć, Tallie.

Podziękowania

Dziękuję wszystkim czytelnikom. Dziękuję Tobie, która czytasz te słowa. Wiem, że jest ciężko, ale jeśli wytrzymasz, będzie lepiej. Daję słowo.

Gdy chodziłam do liceum, u chłopaka mojej siostry zdiagnozowano nieoperacyjny guz mózgu. Lekarze dawali mu pięć miesięcy życia i to było pięć najtrudniejszych miesięcy, jakie przeżyłam. Dla mojej rodziny, siostry, a przede wszystkim dla niego. Obserwowaliśmy jego ból. Nie było jak w filmach czy książkach, może tragicznie, ale z jakimś duchowym oświeceniem w pakiecie. Było po prostu smutno. I ciężko.

W pewnym sensie ta książka jest dla niego.

W śmierci czy samobójstwie nie ma nic romantycznego. Jeśli jest Ci ciężko, proszę, bardzo proszę, porozmawiaj z przyjaciółmi albo z rodziną. Albo zadzwoń do jednej z grup wsparcia. Znajdziesz tam ludzi, którzy przeszli przez to samo i będą umieli ci pomóc, chociaż być może myślisz, że nikomu się nie uda. Jesteś wiele warta, jesteś kochana.

Dziękuję Stacy Abrams, Lydii Sharp i całej ekipie z wydawnictwa Entangled/Macmillan za to, że są tak cudownymi ludźmi, gotowymi znieść wszystkie moje literówki i melodramatyczne bzdurzenie.

Wyjątkowe podziękowania kieruję do Andrew, wspaniałego pisarza, który stale inspiruje mnie do cięższej pracy i rozwoju.

Dziękuję też klubowi gier NK Beach Party – dzięki Wam nie

oszałam do reszty w trakcie korekt i w ogóle w tym moim wariackim życiu. Obiecuję, że w tym sezonie nie będę taka beznadziejna :-).

Na koniec dziękuję Jackowi i Isis, Wrenowi, Kayli, Avery i Sophii za to, że tak szybko i tak mądrze dojrzeli.

Wszystko będzie dobrze.